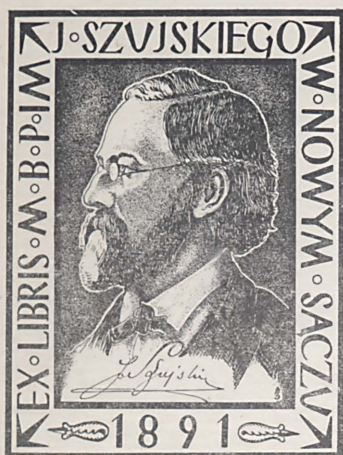


XIX
1869

EXHIBIT SPECIAL WE
XIX W.



Miejska Biblioteka
im. J. Szujskiego
W NOWYM SĄCZU.

Lp. 610

Umieszczenie: II
1217.



WINCENTY POL, JEGO MŁODOŚĆ I OTOCZENIE

Wydawnictwa księgarni GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA

WE LWOWIE.

Dr. ANTONI J. Opowiadania historyczne, 1 tom	zł. ct. 3 —
1. Pod Półksiężycem. 2. Książę Sarmaeyi. 3. Odwiedziny monarsze 4. Na kresach 5. Dwór Tulczyński. 6. Losy pięknej kobiety. 7. Tytina w końcu XVII wieku.	
— Gawędy z przeszłości, 2 tomy	5 60
BIBLIOTEKA POLSKA: Każdy tomiebroz. 1 zł. 80 ct., w oprawie	2 30
I—II. Krasiński, Z. Pisma. Wydan. z przedmowa Stanisława hr. Tar- nowskiego, 2 tomy. III—VI. Mickiewicz, Adam. Dzieła. Wydanie zu- pełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. VII—X. Zaleski, B. Poezye. Wydanie przejrzane przez autora. XI. Pamiętniki Paska. Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez dr. Węclawskiego. XII. Niemcewicz, J. Jan z Teczyna. Powieść historyczną. XIII—XVI. Słowacki, Juliusz. Dzieła. Wyd. przej. przez prof. dra. A. Małeckiego. XVII—XIX. E. y, (Asnyk Adam). Poezye, 3 tomy. XX—XXII. Małeckie A. Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wydanie drugie znacznie pomnożone 3 tomy. XXIII. J. Wybiicki, Pamiętniki. XXIV XXV. Mickiewicz, Dzieła. Tom V. VI.	
BOLESŁAWITA, B. Hybrydy. — Król i Bondarywna. Pamiętnik pani- cza — Dziennik Serafiny. — Nad modrym Dunajem. Każdy tom	2 40
CHŁĘDOWSKI, K. Sylwetki społeczne	2 40
JEŻ, J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnej	2 40
KACZKOWSKI KAROL. Wspomnienia 1808—1831 z papierów pozosta- łych po ś. p. K. K. generał-stab-lekarzu wojsk polskich, ułożył T. O. Orzechowski, 2 tomy	4 20
KANTECKI, K. Elżbieta trzecia żona Jagiełły	1 20
— Z podróży Oświęcima	1 80
— Dwaj Krzemienieczanie. Wizern ki liter., 2 t.	3 60
KRASZEWSKI, J. S. Pan z Panów. Powieść	2 40
Na cmentarzu na wulkanie. Powieść	1 80
KUBALA, L. Dr. Szkice historyczne. Dwie serye, każda	3 40
LEMCKE, K. Estetyka, 2 tomy	6 —
LISKE, X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamięć.	4 20
LISY Tadeusza Kościuszki zebrane i wstępem objaśnione przez L. Siemieńskiego	2 80
LISY Juliusza Słowackiego 1830—1848. 2 tomy	5 —
MONUMENTA POLONIAE HISTORICA. Pomniki dziejowe Polski; tom III. Wydanie nakładem Akad. Umiejęt., opracowane przez lwow. grono czł. komisji histor. tejże Akademii	12 —
NIEWIAROWICZ, A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu	2 20
PAMIĘTNIK damy polskiej z XVIII wieku	1 80
SAS BERLICH MUZAIIKA. Gawędy szlacheckie dat ubiegłych 2 t.	3 80
SEWER, Bratnie dusze. Powieść	2 60
STADNICKI, K. Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina, W. ks. Litwy	2 40
Wilkońska Na Teraz. Powieść	2 40
WIŚNIEWSKI, Sygurd. Powieści. Hidalgo. Odetta	2 60
WSPOMNIENIA Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w cytadeli warszawskiej i na Syberyi	2 80
ZACHARJASIEWICZ JAN, Teorya Pana Filipa. Obrazek	2 40
ZAKRZEWSKI, W. Powstanie i wzrost ref. w Polsce	2 40
ZWIERCIADŁO GŁUPSTWA. Powieść, nap. Ignotus	3 20

WINCENTY POL

JEGO MŁODOŚĆ I OTOCZENIE

(1807 — 1832)

PRZEZ

K. FSTREICHERA.



LWÓW,

NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

Z drukarni Wł. Łozińskiego.

1882.



ZBIORY SPECJALNE

~~303~~

JÓZEFOWI SZUJSKIEMU

EGZEMPLARZ TEN PAMIĘTNIKA

UŁOŻONEGO KU UCZCZENIU ZASŁUG NARODOWEGO POETY

PRZEZNACZA

Autor.

SZKIC BIOGRAFICZNY

JANUAREMU POŻNIAKOWI.

Ćwierć wieku temu upłynęło, jak razem pióra nasze szły o wyścigi, kombinując cytacye, ekspedycye, protokoły i t. p. wyparagrafowane elaboraty. Nie było święta i niedzieli, nie było słonecznego dnia bez ośmiogodzinnej i dłuższej nieraz zabawy z paragrafami kodeksów. Był to czas, kiedy sama znajomość z mężami o zajęciach literackich, dowodziła występku, samo ogłoszenie wiadomości o rozpoczęciu nowych sądów publicznych, groziło procesem, a drukowanie prac w *Rozmaitościach* lwowskich, było wystarczającą pobudką zatamowania karyery. Zostawały nam tylko wieczory i noce do oddawania się ukradkowo literackiej biesiadzie. Gdzieindziej sięgając a czego innego dosiagnawszy, biadałiśmy nieraz wspólnie, że los dla bióra powytrącał nam pióra. Tyś Rusin, więc nic dziwnego, że z uporem trzymałeś się drużyny literackiej, jam zarwał coś uporu twego, i obadwaj wytrwaliśmy. Nie opuściliśmy rąk — nie zaparliśmy się powołania. Gdyśmy jednak wówczas ucierali się z trudnościami, nie przewidywałeś tego, że za lat wiele, iż dzisiaj, kiedy w odstawkę poszedłeś, a ja mam się ku odstawce, przyjdzie nam znowu na wspólkę i to według skłonności naszej, ku literackiej zawrócić się niwie.

Skoro poeta zawarł oczy, Ciebie jedyne go powiernika zawezwałem. Stałeś do apelu. Wyświeciłeś mi całą prze-

szłość tak, jak pragnąłem tego. Co na zapomnienie było skazanem, wydobyłeś z pomroki niepamięci. Jedni uważać to będą za błachostkę, drudzy już dzisiaj będą nam obojgu wdzięczni, a tem bardziej dalsze pokolenie.

Tak trudno odtworzyć młodość poetów; drogi, któremi szli, nim doszli do sławy. Może to być dla wielu nieciekawem, dla mnie jest nieskończenie zajmującym, bo wierzę w potęgę poezyi w narodzie, w potęgę marzeń, z których czerpią siłę i tradycya i wiara, i przywiązanie i siła odporna. Aby zrozumieć poetę, trzeba dołą jego rozpatrywać, trzeba wiedzieć jak się wyrabiał i dlaczego tak się wyrobił. Śledziłem tego rozwijania się poety od kolebki, wpływów, jakim ulegał, związków, które budziły pierwszy zapal młodzieńczy.

Co piszę, co podaję, nie jest to krytyka, nie życiorys osoby wyłącznie. To coś więcej, to coś mniej, a to według tego, jak się kto na to zapatruje. To pamiętnik nie o życiu poety, lecz o losach pospolitego śmiertelnika, to raczej wcale prozaiczny referat śledczy, ze sprawy lat kilku żywota osoby wówczas obojętnej.

Człowiek wyrabia się w otoczeniu swoim, za młodu ma swój małeńki światek, w którego granicach żyje, rozrasta się, wykluwa, i rozbijając skorupę codziennego powszedniego stosunku, wydobywa się na świat rzeczywisty, na którym albo ginie w powodzi, albo wystrzela od razu w górę.

Żyjąc w otoczeniu, czerpie z niego zasoby na przyszłość. Zasobów tych rodzaj badając, przywołujemy otoczenie poety do życia. Obojętne stosunki osób obojętnych. Tak ogółowi zdawać się będzie. Co komu przyjdzie z tego, że ten lub ów krewniak poety, tak zwał się, tak żenił się, takie miał rodzeństwo? I to mieszczańska parantela! Ani kropla krwi karmazynu dla okrasy. Cóż czynić! Mnie i to dzisiaj interesuje, a za lat wiele, każdy dziś lekceważony szczegół będzie pożądanym, gdy się zatrą dzisiejsze stosunki, przelotną zapatrywania i wymrze dzisiejsze pokolenie.

Co do mnie, nie pojmuję kroniki życia pisarza, pojmuję historią życia jego. Im pełniejsza, tem światło pełniejsze pada na osobę. Nie rodziny częściej, lecz częściej to, co poecie najdroższem było, te węzły rodzinne, te stosunki koleżeńskie ciche a rzewne, a tak przykładowe, że aż żal się robi, że serce boleje, że dzisiaj coraz mniej takich stosunków.

Jałem się spisywać młodość poety ze spokojem, kończę niepokojem. Kiedy się rozpatruję w paśmie niepowodzeń i trosk żywota, jakoś mnie smutek ogarnia, że jemu nie było tak dobrze, jak sobie zasłużył, że marniał i zmarniał dlatego tylko, że miał serce wielkie, i że tak miłował kraj swój, jak miłował Kornelią i Ciebie January!

I.

PRACE I ŹRÓDŁA.

Zamierzając opowiedzieć życie poety z owych lat, kiedy jeszcze nikt o nim nie wiedział, i kiedy ani przewidzieć się dało, że stanie on w orszaku mistrza jako niepośledni jego następca, poprzedzę rzecz moją przypomnieniem, jak wyrastały prace Wincentego Pola w latach niewchodzących w ramy tego pamiętnika, jak go sądzono i jak go osądzono.

Że to są znane stosunki, więc tylko ogólnikowo dotknę ich, celem przypomnienia. Jest to może nieprawidłowem, że od dachu zaczynam a kończę na fundamentach. Używają tej architektury niektóre ludy dzikie, niechże się i to wyda komu dzikiem; nie mogę inaczej postąpić, bo lata od r. 1833 tylko za przypomnienie wiadomej rzeczy uznając, nie chcę się nad nimi rozwodzić.

Z kolei potem dotykam istoty przedmiotu. A najpierw zajmuje mnie rodzina poety; swat i brat, wszystko mi jedno, byle całe ognisko domowe. Z ogniska przeszedł do szkoły. Więc szkoła, co ona dać mogła, co dawała i co od niej brać mógł, lub pragnął. Ale obok szkoły żyli towarzysze i przyjaciele i znajomi rodziców i familji, więc i od nich i od szkoły brał po trosze poloru i nauki życia. Z grona tego przechodził do kółka, które szkoła wyrabiała zwolna. Więc koleżeństwo z jednej, towarzystwo z drugiej strony naginały umysł młodzieńczy; wyrabiała się cześć dla jednych, przyjaźń dla drugich, a po nad nimi rozwija się różowym kwiatem górująca miłość — pełna, gorąca, wytrwała, w zaraniu lat poety rozbudzona! Miłość podnieca poetyckiego ducha, stwarza marzyciela, spycha go z drogi rzeczywistości. Ale miłość ta pragnie życia, pragnie oparcia, pragnie wytechnienia. Szuka tego wszystkiego na

ziemi, tam gdzie jest posiew chleba, tam gdzie rękojmia przyszlności. Więc poeta święci niebo i pieśni i marzenia, dla prozy, dla chleba, dla zarobku — i pisze prozaiczne rozprawy, może bardzo pracowite, bardzo wymęczone, ale bez zapału naukowego, więc i bez istotnej naukowości.

Ten przegląd daje mi materyał do rozdziałów, które obejmują kolejno rodzinę, szkołę, towarzystwo, koleżeństwo, miłość, osobę poety, jego poezye i prozę.

Zaczynam zatem od dachu.

Historja rodzin cudzoziemskich, osiedlających się w Polsce od czasów saskich, byłaby zajmującą. Im bardziej kraj ekonomicznie upadał, tem silniejszy był napływ obczyzny. Jedni dostawali się do Polski za cudzoziemskimi ministrami, z obcem wojskiem, inni przychodzili jako służba wielkich panów, inni jako fabrykanci i przemysłowcy.

Naśmiewała się Polonia z owych wędrowców, co pojawiali się z tobołkiem na plecach a z psem na sznurku, z małpą lub z gipsowemi figurami, ale śmiech nie powstrzymał następstw, że ci, co za młodu wędrowali pieszo, na starość rozpierali się w karocy. Awanturników nie brakło, ale i nie zbywało na szukających pracy i dających pracę w kraju, jeżeli nie mlekiem, to przynajmniej miodem i winem płynącym. Tymczasem wszystko co rodzime, co tradycyjne, co od naddziadów przekazywane, upadało w narodzie. Do tego zeszło, że gdy pokuszono się o podźwignięcie oświaty, rycerskości, bogactwa kraju, szczepiono to zarodkami sprowadzanemi z zagranicy. Przewagę wychowania oddano cudzoziemcom, obcy pisywali elementarne dzieła, lub za wzór służyli, z obczyzny szli drukarze, lekarze, domowi pedagogowie, nawet wojownicy.

Rozrywka i moda, teatr i strój pozostawały na łasce cudzoziemskiego obyczaju. Zagranica nie mogła nastarczyć roboczej ludności, jak gdyby jej u nas nie dostawało. Rosła ludność napływowa w stolicy i prowincjach. Ta umiejąc pracować i szanując zarobek, dobijała się szybko fortuny, a z nią i znaczenia i wpływu na kraj. Raz zaś stanąwszy silnie na nowej ziemi, nawykła do niej, a w pokoleniu następnem wiązała dolę swą z jej dolą.

Pracą dając owoce trudu swojego, przekazywała ład, porządek i imię dobre w spuściźnie dzieciom i wnukom w nowej ojczyźnie. Ci spanoszeni nie wstydzili się rzemiosła rodziców swoich, lecz wiedli je dalej, ztąd rosły z ojca na syna nowe fortuny, i przemożność nowego mieszczaństwa. Z czasem zapominali pochodzenia swojego, częstokroć zmieniali nazwisko swoje lub przeina-

czali. kojarząc się z rodami gniazdowemi. I oto wyrasta w poro-
zbiorowej Polsce nowy stan, nowe pokolenie o cudzoziemskim po-
kroju z najszczytniejszą ideą nowej narodowości.

Nie szukać onych rodzin po naszych herbarzach teraźniejszych,
dogadzających próżności tych, co tylko próżność odziedziczyli po
przodkach — uwieczniających karmazynów w kołysce jeszcze kwilą-
cych. Znajdziemy tam parentele klejone sztucznie dobrze urodzonych
a lepiej jeszcze płacących, ale nie znajdziemy śladu tych rodzin,
które, przybywszy z obcego narodu, wskrzesiły w naszym upadłym
mieszczaństwie, w rozbitym próżniactwem społeczeństwie, pracę,
naukę, ład i oszczędność.

Historia rodzin mieszczańskich od lat stu, to historia w pe-
wnej, choćby małej części, odradzającej się Polski, ale przez żywioły
nowe. Żywioły te są czynnikami odrodzenia, nie biorąc udziału
w strącaniu kraju do zatury. Wznoszący się średni stan, na ruinie
przewagi tych, co dla domowych spraw poświęcali sprawę publi-
czną — jest wzniesieniem pracy, kapitału i rozumu po nad przy-
wileje. Aby równowaga nad przewagą wzięła kiedyś górę, przyjdzie
sama z siebie konieczność podniesienia się włościaństwa, a wówczas
historia dźwignięcia się rodzin włościańskich do tej wyżyny, do
jakiej doszły te rodziny w Czechach i na Morawie, będzie historią
odrodzenia się narodowości naszej zupełnie tak samo, jak włościa-
nie odrodzili narodowość czeską i morawską wówczas, gdy szlachta
w tych krajach zniemczała.

Jeżeli taka przyszłość czeka te stany, dobrze to zawczasie
mieć historię ich na oku. Ale jakże tu notować historię ludzi,
którzy nie piastowali godności przodowniczych, nie walczyli z bu-
ławą w rękę, nie nosili przydomków, nie znano ich na dworach
zagranicznych? Zapewne trudno pisać o tem, czego nie było. Wy-
szukiwać wypada to, co jest, i ograniczać się jednostajnymi sto-
sunkami domowego pożycia i domowej użyteczności. Ciche to
i małe zasługi, ale z takich luźnych małych i cichych wyrasta
głośna i wielka zasługa gromady.

Takie stosunki mam przed oczyma, gdy mi przychodzi opo-
wiedzieć młodość narodowego poety.

Lecz czy on jest poetą? Czy jest narodowym?... Za takiego
miano go za życia. Ledwo opuścił nas, aliści jedni jednego, drudzy
drugiego zaprzeczyli mu przymiotu. A jednakowoż Polska może
zdobędzie się kiedyś na drugiego Słowackiego, ale drugiego Pola
już mieć nie będzie. W nim i z nim ginie świat, który oglądał
i który opiewał. Polska będzie przez długie lata uczyć się na pa-

mieć *Pieśni o ziemi naszej*, choć ją chłodny krytyk nazwał rymowaną geografją. I choćby z katedry urzędownie odmówiono mu patentu na poetę, kraj cały będzie po *Panu Tadeuszu* czytać *Mohorta*, tak jak Bratranek po opracowaniu Goethego, wziął się do opracowania *Mohorta* dla Niemców.

Jakieś zalety lub wady są tego ludowego pieśniarza, szlacheckiego gawędziarza, nie ulega wątpliwości, że jest on na wskrós poetą polskim, tak wybitnym, tak wyrosłym z ludu, z zagrody, z zaścianku, że ani oddać go wiernie innym językiem, ani podobna upatrzeć analogii między pieśnią jego a pieśnią innych literatur.

Wincenty Pol występuje dopiero w r. 1833. Wielka katastrofa zerwania się z potężnymi siłami a rychłego upadku z bezsilności zapaliła umysł jego. Wyrosły *Pieśni Janusza*, które oczarowały naród. Zdawało się, że odżyły przygasłe ogniska obozowe, że odżył „Wielki tydzień Polaków“. Wydał jednocześnie po niemiecku *Volkslieder der Polen* (Leipzig 1833), które niby to tłumaczenie karpaczkich pieśni, lecz raczej własnych jego, były pewnym grzechem pióra polskiego, czego sam autor poniekąd wstydził się, bo o swojej niemiecczyźnie nierad wspominał.

W r. 1833 ogłasza pieśni ludowe w *Czasopiśmie Ossolińskich* (nr. 7). W r. 1836 *Kwartalnik Naukowy* drukuje rozprawę jego *Teatr i Aleksander Fredro*, która miała być powodem, jak wówczas twierdzono, że Fredro zamilkł, gdy rzeczywistą przyczyną była napaść lwowskiego dziennikarza w *Tygodniku literackim poznańskim*, napaść bezprzykładna i obrzydliwa. W r. 1837 ogłasza w *Przyjacielu ludu* powiastki *Obiady czwartkowe*, *Powrót do Jaworowa*, *Tanka* (nr. 15—22) a w r. 1839 daje J. N. Kamińskiemu do *Rozmaitości* (nr. 47—8) gawędę *Wypadki Winnickiego*; w r. 1840 *Sobótkę* (prozę), r. 1842 (nr. 30 i nast.) *Powieść z życia*, w r. 1842 wiersz *Anioł i pacholę*, w r. 1844 *Nie żli są ludzie* (nr. 12—14) i wiersz na Bełkotkę.

Rozmaitości przy *Gazecie Lwowskiej* wydawane, wyprowadziły nazwisko Pola na jaw i zwróciły uwagę na niego. Poemat o Winnickim zachwyił A. J. Szabrańskiego kolorytem historycznym i porywającą kompozycją. Tak pisze *Biblioteka Warszawska* (1841 tom I).

Obok kierunku poetyckiego obudzało się zamiłowanie przyrody. Zwyczajna to kolej. I Goethe był naturalistą. Zetknięcie się z naturą, pomiłowanie jej, wiedzie wprost do jej badania. Już r. 1842 drukuje w dodatku do *Gazety Lwowskiej* rozprawę *Rzut oka*

na północne stoki Karpat (nr. 83—4). W *Tygodniku literackim poznańskim* r. 1840 ogłasza *Obrazy z życia i podróży*, rzecz jedną z najpiękniejszych, jakie napisał. W *Dzienniku Mód Paryskich* w r. 1841 wyjątek z *Semenowych powieści*; w r. 1845 *Wspomnienia z podróży* (powieści proza); w r. 1847 *Artykuł na wezwanie*. W *Ogłoszeniach* z roku 1842 umieszcza *Karczma na Chwaniowie*, ustęp z *Przygód Benedykta Winnickiego*.

Rok 1843 był kulminacyjnym punktem sławy Pola, po wyjściu *Pieśni o ziemi naszej*. Któż nie uczył się na pamięć tego wiersza, nie wypowiadał, nie przepisywał! Nie śmiano się z owego: Bajże baję po zwyczaję... bo rozumiano, bo wierzone, bo uczuwano, że istotnie śpiewa „o tym naszym polskim kraju...“ że choć tam i błąd jaki był, i swoboda rymu, to zawsze na dnie tego tkwiła miłość, tkwiło przywiązanie do każdej garsteczki ziemi w każdym zakątku ojczyzny naszej. Była tam prostota prawdy, nie było kunsztowności sztuki.

W *Bibliotece Warszawskiej* ukazują się w tomie III, z roku 1843 wiersze *Stół cudowny* i *Ułamek*. Pietkiewicz zamieszcza także w r. 1843 w *Wyborze poezyi* (w Wilnie, tom VII, str. 160) wyjątki z *Pieśni o ziemi naszej*. W roku 1846 wydaje w Wrocławiu śliczną rzecz, klejnot poezyi: *Obrazy z życia i podróży*. W zbiorze *Żywie* (Poznań 1844) jest poezya jego *Pan Miecznik*, scena pierwsza dramatu. Wydane we Lwowie powiastkowe urywki p. t. *Obrazy* 1845 doznały życzliwego przyjęcia w *Przeglądzie Poznańskim* (1845, listopad).

W r. 1844 zwraca się na prozaiczne tory. Umieszcza w *Bibliotece Zakładu Ossolińskich* (t. XI, 1844) *Życie Willibalda Bessera*, krakowianina, botanika; w r. 1847 (t. IV) *Muzeum natury* we Lwowie. Kilka uwag etnograficznych (Mosbacha o Kaszubach); w r. 1848 (t. I) *Listy trzy z wycieczki*, w tomie I, 1847 *Przegląd dzieła Platera i Opis W. K. Poznańskiego*, w tomie II *Puszcza litewska*. W *Tygodniku rolniczo-przemysłowym* z r. 1847 (nr. 1—5) *Rzut oka na Galicyę* z mapą. W *Rozprawach Towarzystwa gospodarskiego galicyjskiego* z r. 1847 w t. III Wniosek względem nabycia na własność Towarzystwa gospodarskiego zbiorów geologicznych Zeisznera i przekład rozprawy Aug. Kunzeka „O konieczności wywołującej ograniczenie sadzenia ziemniaków“.

Ta jego słabość, jak twierdzą jedni, czy zamilowanie, jak chcą drudzy, do geografii Galicyi i jej przyrodniczych bogactw zbliżała go do jedynego galicyjskiego naturalisty Hyacenta Łoba-

rzewskiego, a razem (po wypuszczeniu z więzienia) do Sachera, dyrektora policyi.

Od tej pory zmienił Pol kierunek zajęć, a mając sobie oddane wydawnictwo *Czasopisma Ossolińskich*, napędzał współpracowników do prac poważnych, a odstręczając od poezyi. Kiedy mu młodziutki wówczas Zacharyasiewicz przyniósł jakieś rymy swoje, Pol zganiał zajmowanie się tem, i kazał mu pisać rozprawę o architekturze egipskiej (1848).

Złośliwi mówili sobie wiele na ucho o tych „konszachtach“ Pola ze Sacherem. Sacher lubił przestawać z mężami popularnymi, a tak jak jednocześnie dawał wsparcie młodemu historykowi po odsiedzeniu kary, tak znowu zamykał się godzinami z Polem i godzinami z nim rozprawiał o botanice, geologii i geografii, rozpatrując z nim bogactwa zbiorów, które gromadził. Ale w Sacherze było dwóch ludzi. Jeden to urzędnik gładki, surowy i bezwzględny, drugi, to człowiek istotnie naukowy, szczerze przedmiotem zajęty, znawca niepospolity. Ojciec mój naukę Sachera wysoce cenił, często też miewali narady w kwestyach obopólnie gromadzonych muzeów we Lwowie i Krakowie. Nie dziwnego, że Sacher zachwyciwszy jedyne go młodego Galicyanina, poważniej zapatrującego się na nauki przyrodnicze, rad go ku sobie ciągnął, i rad go zapoznawał z materyałami, których w Galicyi (prawdę godzi się wyznać) nikt wówczas oprócz Pola i Łoborzewskiego ocenić nie umiał. Złośliwość tępiła zęby, Pol pozostał nieskalany, a znajomość z człowiekiem istotnej wiedzy wyszła mu tylko na pożytek.

W czasopiśmie *Dzwonek* z r. 1850 (t. I—IV) zamieścił prozą: Myśli i ulotne refleksye, Muzyka religijna; wiersze: Skowronek, Dzwonek, Kropla rosy niebieskiej, Nie fraszki lecz ptaszki, Ni to ni owo, Do Wicia mego, Smutek i wesele, Do Władysława, W Dubiecku.

W latach 1848 i 1849 w Poznaniu i Lwowie drukuje *Siedm psalmów pokutnych*, które zganiono w *Przeglądzie Poznańskim*, przyznając wyższość Kochanowskiemu. W *Przyjacielu ludu* z r. 1848 zamieścił wiersze: Kwiaty, Ułamek. Osobno także wyszły: Gwiazdka (nr. 13 *Rozmaitości lwowskich*) z muzyką, we Lwowie r. 1844; Obrazy (prozą, we Lwowie 1845), ocenione w *Przeglądzie Poznańskim* z listopada r. 1845 (382—5); Widzenie Janusza (Lwów 1848); Hymn na cześć Dwernickiego (Lwów 1848); Kantata na cześć Augusta Kunzeka (Lwów 1848); Słowo a sława, poemat umieszczony w Wyjątkach w *Tygodniku Polskim* we Lwowie r. 1848. W *Wiąnkach*

Świętojańskich jest jego Stół cudowny, Rozmowa z dziewczyną, Rybka (1853). W Cegielskiego *Nauce poezji* przedrukowano całą *Pieśń o ziemi naszej*.

Kiedy Pol za przyczynkiem hr. Thuna objął katedrę geografii w uniwersytecie krakowskim, oddał się tej gałęzi nauki ze szkodą natchnienia poetyckiego. Chleb stwarzał prelekcye Adama o literaturze i prelekcye Wincentego o geografii, obiedwie jednej wartości, w obudwóch poeta góruje nad erudytem, fantazyja nad zagłębianiem się, powodowanie się swobodą przedmiotu nad opanowaniem tegoż.

Nie zadowolnił jednych i drugich. Jedni chcieli, aby rozwijał erudycyę, drudzy przypominali mu, że od czasu *Obrazów życia*, nie wydał poezji godnej swego talentu. Co bowiem w roku 1848 i następnych pojawiło się, było bładem i manierowaniem. Poeta tymczasem zapalczywie drukował studia geograficzne. Wydał: Północny wschód Europy 1851 (wyjątki są w Dodatku tygodniowym do *Gazety Lwowskiej*); Rzut oka na północne stoki Karpat (wydanie drugie 1851), którego błędy geologiczne wykazał Kr...r (niiby Kremer ale nie on) w *Czasie* 1851, nr. 179; Rzut oka na umiejętność geografii 1850, rozebrane w *Tygodniku Lwowskim* 1850 r.; Opis Dniestru; O naukowych wycieczkach do Niepołomic; Zasługi Długosza pod względem geografii — wszystko to wydrukowano w *Rocznikach Towarzystwa naukowego* 1850—52. W ostatniej pracy tłumaczy dosłownie część geograficzną z Długosza, nie wiedząc, że to samo już w roku 1841 przed nim tłumaczył Bornemann. Wreszcie w *Tygodniku rolniczo-przemysłowym* krakowskim, wydawanym przez Marcellego Jawornickiego, wydał rozprawę o koniach. Oddrukował ją przy edycji *Mohorta* r. 1857.

Jak kierunek jego naukowy, któremu oddawał się, raził i gorszył wielu, dowodem tego jest obszerny ustęp w *Listach o Krakowie* Peławskiego, wydanych w r. 1850 przez sławnego dziś historyka (str. 73—76), w których obsypuje szyderstwami naukowość Pola. Mówi tam między innemi np.: „Pan Pol profesorem jeografii fizycznej czy dlatego, że napisał kilka niezgorszych i kilka nędznych wierszyków? Czy dlatego, że z taborem jeździł po domach szlacheckich w podgórzach karpackich?... — Czyż uniwersytet jest domem podrzutków, czyż dlatego, że p. Pol może nie mieć na utrzymanie życia, służy mu prawo objęcia katedry, do czego go jedynie upoważniają gazeciarskie ogłoszenia i dwudziestoletnia fanfaronada. Ucho się od dzbanka urwało i woda się wylała. Żałujemy jego sławy, która się rozbiła, jak gliniana skorupa, żałujemy uniwersy-

tetu, któremu wolno nasyłać ludzi żadnych kwalifikacyj, i którzy go jeszcze jedną niezdolnością wzbogacili. Żal nam wreszcie tego narodu, co jak trzoda owiec jedno za drugim beczy na jeden ton, i w którego kilkowierszową gadką wmówić można, że się jest wielkim człowiekiem“.

Wybrałem delikatniejsze ustępy z tej szyderczej szermierki przeciw pracownikowi. Rząd usłuchał głosu historyka i pozbawił Pola katedry; ale też równocześnie zwinął katedrę w uniwersytecie. Czy nauka zyskała na tem, nie wiem. Lepszym jest wykład choć wadliwy, aniżeli żaden.

Jak z jednej strony ci, którym zdawało się, że reprezentują uczoność polską, okazywali lekceważenie starań Pola, z drugiej strony młodzi adepci kunsztu poetyckiego sarkali na zaniedbanie drogi na Parnas. W powodzi reductowych wierszy z r. 1852 otrzymał Pol wierszowane upomnienie, aby ocknął się z słodkiego *far niente*. Było tam:

Głos twój powiał raz i wtóry
Przed zbryzgane krwią ołtarze.
Czy cię zlekły blade twarze?
Czy cię wstrzęsły krew lub chmury,
Żeś oniemiał! Biada! biada!
Czyje milkną pieśń i rada,
Gdy ich żąda lud w boleści,
Opuszczony, i bez wieści.

Jedne i drugie zarzuty były bolesne, bo od swoich pochodzące, i niesłuszne, bo przesadzone. Na pierwsze szyderstwa o jego mniemanych manuskryptach, zrabowanych przez chłopów i pewnie Rossyanom do Żańskich biblioteki posłanych, odpowiedział szeregiem wydrukowanych geograficznych studyów. Na drugi zarzut, iż:

Pol Wincenty zaległ pole.
Chociaż bieda go zaboje,
On ojczystym obyczajem
Far niente mieniając rajem,
Duma w myśli: My Polacy
Do rozrywki nie do pracy.

-- odpowiedział w kilka miesięcy później napisaniem w maju 1852 *Senatorskiej zgody*. W roku 1853 napisał: *Z klasztoru i boru, Ze dworu, Sejmik w Sądowej Wiszni* — a w grudniu roku 1852 urodził się *Mohort*. Nakoniec w grudniu 1853 r. i styczniu 1854 dyktował kanonikowi ks. Scypionowi *Wita Stwosza*.

Więc po otrzymanej żałobie o zaniedbanie poezyi rozwinął cały zasób swych poetyckich zdolności. Ustęp z *Wita Stwosza* ogłosił w dodatku do *Czasu* (1857 r. t. I) i tamże (r. 1856 I) wiersz *Zima w puszczy*. Wyjątki z poematu *Stryjanka* ukazały się w *Kronice* r. 1858, nr. 155 i w *Czytelnicy dla młodzieży* 1860 r. Wreszcie w *Kronice* 1859 za luty wydrukował ten poemat. W *Czasie* 1854, nr. 67—78 ogłasza: Przebolało, Z klasztoru i boru, A zkąd? Pacholę na grzybach, Z dworu, Czarna krówka, Kościółek wiejski, Legenda w pustyni św. Jana z Dukli, Chata pod puszczą, Cóż tam w starym dworze, Pierwsza noc we dworze, Kometa. Poezycy te jego ocenił Lucyan Siemieński w *Czasie*, które to ocenienie jest także w *Pogadankach literackich* z 1855 r. Czarną krówkę, osobno wydaną, potępiły *Nowiny*, (Lwów 1854, II, nr. 97).

W *Nowinach* z r. 1854 umieścił Reguły staropolskie, Krzyż na stepie, Opowiadanie ks. biskupa (ze *Zgody senatorskiej*); w roku 1855 Mohort w Warszawie, Pszczoła hetmańska; w roku 1856 Do Suchodolskiego. W *Gazecie Warszawskiej* (1854, nr. 84) Krzyż na stepie; r. 1855, nr. 101 Wiersz do Jachowicza; nr. 287 Reguły staropolskie. W *Dzienniku Literackim* lwowskim 1857, t. II Ustęp z poematu Wit Stwosz, Pieśń o domu naszym (pierwej drukowana w *Gazecie Codziennej*). W *Gwiazdce Cieszyńskiej* z r. 1860, nr. 77 Rozmowa z dziewczyną. W *Kółku Rodzinnem* (Lwów 1860) Dzień 25 lutego (wiersz na zgon Z. Krasińskiego), Rapsod z Pacholęcia hetmańskiego i prozą: Wniosek do Towarzystwa muzycznego (nr. 19). Wniosek w sprawie zdrojowisk krajowych. W *Czytelnicy dla Młodzieży* z r. 1860: Modlitwa dla moich dzieci, Et haec meminisse. W r. 1857 wydaje zbiorową edycją prac poetyckich w czterech tomach. Pisał do *Czasu* ocenienie poezyi Jadwigi Łuszczewskiej a dla teatru krakowskiego dorobił czwarty akt komedyi Dmuszewskiego: Barbara Zapolska.

Z owego czasu znajdujemy pewne wskazówki do życia poety i do rzetelnego ocenienia talentu jego. O jego *Mohorcie* rozpisuje się szeroko Leopold Jakubowski w *Bibliotece Warszawskiej* (1856 r., t. 64, str. 174—184). *Mohort* w ogóle najwięcej obudził literackiego zajęcia. Ludwik Grudziński z Bałty pisał wiersz ku czci poematu (w *Kronice* 1858, nr. 265); profesor Bratranek ocenił pochwalnie w *Oesterreichische Blaetter* (1855, nr. 29) i podał tłumaczenie ustępów: także niemiecki przekład ukazał się w *Krakauer Zeitung* z r. 1858. Oceniono *Mohorta* nadto w *Nowinach* (1855 t. I), *Dzienniku Warszawskim* (1856, nr. 48—9), w *Gazecie Warszawskiej* (1856, nr. 69) zganiono go; lecz tamże (nr. 109) Kra-

szewski życzliwie o nim się wyraził. Zeno Fish prostował w *Dzienniku Warszawskim* (1856, nr. 17—19) pojęcia błędne o historii, objawione w przypisach. Ludwik Kondratowicz rozpiął się z uwielbieniem o *Mohorcie* w *Gazecie Warszawskiej* (1855 r., nr. 342). Tenże poemat, jakoteż *Winnicki*, *Zgoda Senatorska*, *Czarna krówka*, *Sejmik*, doczekały się gruntownego ocenienia w *Przeglądzie Poznańskim* (1855, półrocze I i II, tom I i II). *Mohort* bity w tysiącu egzemplarzy, odrazu rozechwytało, i zaraz bito edycję drugą.

Rozbierano poezję jego w *Nowinach* r. 1854. O pracach jego pisałem w *Dzienniku Literackim* (1854, nr. 34). Biografię ogłasza kalendarz Wildta na r. 1855. Portret i ocenienie podaje Illustracya petersburska 1859 przez I—ów. *Wita Stwosza* ocenił Fr. Lewestam w *Gazecie Codziennicy* 1857 r.

Dnia 28 sierpnia 1855 traci Pol swego anioła opiekuńczego, Kornelię, w wieku 44 lat. Porzuca w r. 1859 Kraków i osiada we Lwowie. Były to najsmutniejsze lata jego żywota. Zazierał niedostatek często, lecz boleśnieszem było zdarzenie z niego wieńca zasługi w mieście, w którym od młodości wychował się i w którym nauczył się kraj swój miłować. I było to po latach uczenia go pułharem w Wiedniu (1857), po latach uczenia w Warszawie (1858), po ofierze Firlejówki, odkupionej dla niego przez Lublinian.

Lwów, który od roku 1840 był widownią nieustannych niepokojów literackich, w rodzaju korsykańskiej *vendetty* na pióra, przedstawiał w roku 1860 dwa wojujące obozy. Działo się to z powodu, że część poważna pisarzy zakrzętnęła się około utworzenia drugiego literackiego pisma.

Zacharyasiewicz i Al. Szedler dali firmę. Do niej przystąpili Aug. Bielowski, A. Małecki, Walery Łoziński, Ksaw. Godebski, Przyłęcki, Pol, Pilat, Zygmunt Kaczkowski, Widmann i kilku obywateli jak adwokat Rajski. Należałem także do tej kompanii.

Nowo powstałe pismo otrzymało nazwę *Kółka Rodzinnego*. Miało zamiary szlachetne, pisarzy wyborowych, artykuły oryginalne i wytworne, mimo tego upadło, bo strona przeciwna użyła taktyki codziennego napadu kolejno na najpoważniejszych współpracowników, posądzaniem ich o brak patryotyzmu, brak tendencji, pedanteryę i wsteczniectwo. Nawet Bielowski nie był patryotą.

W toku tego wzajemnego rozdrażnienia, wcale szkodliwego dla sprawy wspólnej, zjawił się niezależnie od tego namiętnie napisany, gorący, potępiający artykuł przeciw Polowi. Miał on wszelkie pozory prawdy, tak, jak pozorem prawdy łudzą nierozpatrzone

skargi. Kto go zimno odczytywał, widział śliczne słowa, ale gruntu nie dostrzegał. Była to kaskada słów, wodospad, ale woda zamącona, źródło nie kryształowe.

Choć zarzuty wyrosły z osobistego przekonania, czemu nie chciałbym przeczyć, lecz nieszczęśliwie się zbiegły z chwilą, kiedy Pol przystąpił do współpracownictwa w *Kółku Rodzinnem*. Ztąd powstał zamęt większy, i źródło ogólnego rozdrażnienia mniej jasne.

Mówiono wówczas, że przed wydrukowaniem aktu oskarżenia, odczytano go Polowi, żądając, aby odstąpił od wyznawanych zasad. Pol miał odrzec, iż obojętnem mu jest, co napisano o nim. Niech więc drukują słowa potępienia, on przekonania ma czyste.

Oskarżenie wywarło piorunujący skutek. Gromy, były dla tłumów dowodami winy Pola, a co zabawniejsza, winy *Kółka Rodzinnego* dlatego, że on należał do redakcyi pisma. Więc jeden i drugie musieli upaść w opinii publicznej. Dali się obłędowi uwieść oprócz bezmyślnej gromady i poważniejsi, co zresztą nie nowina w naszym społeczeństwie. Pieśniarz ludowy pisał wnet z zagranicy list do Brunona Bielawskiego, ciesząc się, że z taką miłością gromiono Pola. Co za ironia! Miłość odmawia patryotyzmu!

Zerwał się Maurycy Dzieduszycki a za nim August Bielowski z rozumną obroną poety. Nierozum nad rozumem przemógł. Dostało im się za to szyderstwo, a na murach Lwowa ukazały się dnia 21 lipca 1860 roku plakaty z wielkim napisem: „Boże chroń nas od obrońców Pola“. Do czego wiedzie zaślepienie, kiedy je prywatą poprze. Górą poszło potępienie pieśniarza Januszowego, opiewacza Kilińskiego. Tłumy rade klaszczą i gwiżdżą jednocześnie, byleby im się zdawało, że i one coś znaczą w świecie.

Tymczasem zacierali ręce ci, dla których literackie obrazy wojujące były pokrzepieniem, którym rozwój żywiołu polskiego był nie na rękę. Rozżalony poeta nie pozostał dłużnym odpowiedzi. Wydał tegoż roku w Warszawie gawędę *Stryjanka*, rzecz słabą, i słusznie zganioną w rozbiórce A. A. Krajewskiego (*Biblioteka Warszawska* 1860, tom IV). Na końcu poezyi tej umieścił rzecz o dziennikarstwie, z okazji wydawnictwa *Kółka Rodzinnego* napisaną. Poprzedził ją wyrazami pogardy dla dziennikarzy, przemieniających pióro w sztylet. Nie zrozumiał tego J. I. Kraszewski, bo mu pobudki wewnętrzne rozterek znanymi nie były, i zabrał głos nie w porę i niepotrzebnie w *Gazecie Codziennej* 1860 r. Zdanie Kraszewskiego jako powagi skwapliwie oddrukował *Dziennik Literacki* lwowski (1860, nr. 95).

To wszystko zaogniało domową walkę, a rozgłos, jaki nabierała, a niesmak, jaki wywoływała, były wstrętne nawet dla osób obojętnych. Raz w kasynie niemieckiem radca Emminger zastanawiał się, czem mogłaby Austria się podźwignąć. Radca January Pożniak odciął: „Przywróceniem Polski“. Na to pierwszy odrzecz: „O nie, dziś przywróciwszy Polskę, doczekamy od razu jej upadku. Sami się pozjadacie, jak się żrą literaci wasi i jak zjadają swoich pisarzy narodowych“. Dotkliwem było to słowo, tem bardziej dojmującym, że przykładowi nie można było zaprzeczyć — tłum bowiem potakiwał potępieniu, nie mającemu podstawy, nie mającemu rozsądku ani zastanowienia. Ktoś wystrzelił bezsenssem, ale że był piękny, podobał się tak, jak się podoba kobieta ograniczonego umysłu, ale czarująca powabem.

Poeta nie zwracał pozornie uwagi na to, co o nim piszą, ale ból zawsze był bolem, zwłaszcza, że do tego drugi się łączył, to jest troska o utrzymanie, o przyszłość, o rodzinę. Cóż pomódz mogły i słowa uznania od innych usłyszane?

W toku szermierki niesumiennej, rozpatrzyłem jego prace, wykazałem ich zalety, podniosłem zasługę, broniąc przed napaścią nierozsądną. Pierwszy podałem niejaką całość o Polu w piśmie wiedeńskim *Postęp* (1860 zeszyt 3). Za tą biografią poszły inne w *Tygodniku Ilustrowanym* (1862, t. V, str. 187 i VI, str. 41) pióra Fel. Faleńskiego. Nie zabiłoby to rany zbyt zadanej głęboko.

Pod wpływem tego niepokoju ducha żył i pracował. Owoce nie mogły być dojrzałe, mroziła je rzeczywistość. Ogłasza kolejno: *Pacholę hetmańskie*, dwa tomy (Warszawa 1862); *Kilka kart z krwawego dziennika* (Lipsk 1864); *Z wyprawy wiedeńskiej, rapsod* (Lwów 1865). Zamieścił w *Bibliotece Warszawskiej* (tom VII, VIII i IX) poezye drobne, wyimki z dramatu *Powódź*, *Głos na posiedzeniu Zakładu Ossolińskich*, *O potrzebie zawiązania towarzystwa opiekującego się językiem i piśmiennictwem polskiem*. Dwie prelekcye o potrzebie wykładu geografii handlowej. Osobno wydał: *Pamiętnik do literatury polskiej XIX wieku* (Lwów 1866). *Historyczny obszar Polski* (Kraków 1866). *Rok myśliwca* (Poznań 1870. Pierw drukowany w *Tygodniku Ilustrowanym* 1869). *Pieśń o domu naszym* (1866). W *Kłosach* 1869 zamieścił: *Na jeziorach*, opowiadanie z czarnego lasu i z czarnej góry.

Te były główne prace Wincentego Pola aż do śmierci przypadłej dnia 2 grudnia 1872. Rozpoczął je *Pieśnią Janusza* r. 1833 i skończył *Pieśnią Januszową* o krakowskim grodzie, wydaną w Krakowie 1872 r. z datą r. 1873. Więc czterdzieści lat

zawodu poetyckiego, zawiązuje i rozwiązuje Januszowe natchnienie. Prace te wszystkie dokładnie wymienione ogarnia bibliografia moja. Dlatego tylko przeszedłem je mimochodem.

Trudno zaprzeczyć, że w ostatnim dziesiątku lat duch jego osłabł, bo spokój jego życia zakłócono. Nie mógł tworzyć z rozmysłem i czekać na chwile natchnienia. Codzienna walka nie dawała wypoczynku, a troska o jutro zmuszała do pośpiechu w twórczości. Jedno i drugie okupywał wysiłkiem myśli.

Spiewał Baliński Karol: „Sprzedawać pieśni hańba poccie!“ Dźwięcznie to brzmi w poezji, ale konieczność co innego szepee. Pol sprzedawał pieśni swe, a nabywcy sądzili, że sprzedaje drogo. A jakże było inaczej czynić, skoro żyć trzeba było i dawać na życie licznej rodzinie.

Szybko wyrastały pieśni, gawędy i rapsody. Wołano: Pol wypisał się, powtarza się, zaniedbuje formę, jednej sceny dekoracje zmienia! Popadł w niełaskę. Niebezpieczna to rzecz dla poetów pisać za wiele i za długo. Gdyby był utworzył *Pieśni Janusza*, *Obrazy z życia i podróży* i *Mohorta*, byłby nieśmiertelnym, podziwianym i przedrukowywanym. Malczewski może dlatego tak rozgłośny, że jedną *Maryę* utoczył. Drobne jego poezye nie nie warte. Nie żał więc, że nie więcej nie doszło nas. Baliński jednym *Farysem* dokupił się sławy, co więcej pisał, nikt nie pamięta. Syrokmlą pomiatano za życia dlatego, że za wiele wyśpiewał. Zapominano, że był autorem *Margiera*. Taka to już natura ludzka. Wybierając, patrzy na to, co jest karłowatem, a nie widzi tego, co wyrosło nad miarę. Patrzy przed siebie a nie po nad siebie.

A jednak i to co jest słabsze, ma urok serdecznego przejęcia się przeszłością. Nie uprzedzenie to moje. To zapatrywanie się wytrawniejszych odemnie. Dość przeczytać, co Kraszewski pisze o *Pieśni o domu naszym* (*Rachunki* z r. 1866, str. 236): „Wziął on jak pszczoła, co było miodu na uschłym dziś kwiecie naszej wiosny i lata, co było woni najczystszej i złożył je w tych śpiewach z różnych epok, zawsze jednym tęsknym zgasłego bytu bolem natchnionych. Pol obrał sobie jasną stronę przeszłości, może jednostajną trochę, może w szczupłym obrębie widząc tylko wybrane postacie, ale cudownie uczuł ich charakter, ich wielkość i urok. Pol ma swój język własny, rzekłbyś jakąś zapomnianą starą polszczyznę, którą on tylko mówić umie, ma swe pogadanki, powtarzanki, własne przysłowia, świat swój, który z trumiennych szczątków stworzył. Nie jest to może tak jak było — a mnie to zdaje się prawdą jedyną. A bije w nim serce starem tętnem i umie za-

płakać i lknąć tak boleśnie, że wyrazu nie posłyszawszy, jęk zrozumiesz. Tajemnicą jego poezyi, jego natchnienia, jego talentu — miłość. Kocha tak Polskę starą, że ją najobojetniejszym kochać każe... A tak, trzeba się z Polem w tym starym domu polskim rozkochać, choć z niego szatańsko cynicznie szydzą apóstaci pijani. Śliczna ta pieśń, niech płynie aż do najgłębszych ziemi naszej zakątków i niesie z sobą rosę ożywczą na stare pamiątki. To, cośmy powiedzieli o *Pieśni*, uwalnia nas od jej rozbioru. Nie rozbiera się poezya tego rodzaju, aby analiza chłodna nie odebrała jej balsamu i woni, które posilają i leczą. Cóż, że się powtórzą strofy, że się rysy od łez zatrą miejscami, że nie ma tu tego pokoju, który roztaacza powoli obraz po obrazie w świątecznych jasełkach? Z całą smętnością, powtarzaniem, drżącemi nieco obrysy, pieśń ta mówi więcej jeszcze do serca pewnie jak najkunsztowniejsze dzieło sztuki. Miłość, co ją natchnęła, stawia ją wyżej nad wszelką krytykę“.

Podawałem ustępy tylko z zapatrywań się Kraszewskiego na Pola. Były one niejako spóźnionym balsamem, leczącym rany zadane *Listami z pod Lwowa* przed laty siedmiu.

Cóż dodać z mej strony do tego? Może już nie — bo powaga znawcy wystarcza. Może powtórzyć, com już raz dawniej powiedział, że sława Pola zasadza się na tem, że utrzymał i wyidealizował tę prostotę w poezyi, którą Brodziński starał się zaszcześcić. Nie zaślepił go Mickiewicz, Zaleski, Goszczyński i Słowacki, nie szedł z nimi lub za nimi, lecz obrał sobie drogę przed nim prawie nieuczeszczaną, a po której także wybrał się, lecz znacznie później, lirnik mazowiecki.

Wybór był dobry, bo go odrazu wyróżnił od całego pocztu większych i mniejszych poetów, których się po roku 1830 mnogo u nas naroiło. *Pieśń o ziemi naszej* była w literaturze niespodzianką, dotarła w chwili pojawienia się do wszystkich zakątków ziemi i formalnie oczarowała kraj prostotą swoją. W oddaniu naturalnem tej prostoty spoczywało wrażenie natchnienia.

Tak samo w *Obrazach z życia i podróży*. Zwiedzając wyżyny Karpat, przysłuchiwał się pieniom po siołach i górach, chwycił pamięcią ich ton, ich zacięcie, nie uroniwszy ani jednej nuty, i owym zmysłem artystycznym, który geniuszem zwiemy, przerabiał je w głębiach ducha swego, aż stały się wyłączną własnością jego.

Cokolwiek było artystycznego, natchnionego swoją trafnością a jasnością, to wszystko przyswajał duchowi swemu, zaś to wszystko,

co było w pieśni ludowej rdzą, chropawością, prostactwem, odpadło jak odpada skorupa, gdy po jej rozbiciu wyłania owoc pożywny. Do przystrojenia pieśni wybrał wiersz najprostszy, płynący szparko, gładziuchno, jakby stworzony pod nutę. Skojarzenie formy z treścią w ten sposób utworzyło pieśń prostą na pozór, niby łatwą do wygłoszenia a nie podobną do naśladowania. Ktokolwiek próbował pójść w ślady Pola, upadał, bo nie znał jego tajemniczego uroku.

Pojawienie się wioskowej i zaściankowej nuty Pola było pożądane od dawna i nastąpiło w porę... Za wiele mieliśmy już tych aniołów i szatanów, edenu i piekła, farysów i huryszek, cedrów i piramid. Wszystko szło za Bajronem, czy za Wiktorem Hugo, czy za mistrzem Adamem. Chcąc wzlecieć wyżej niż przewodnicy, sięgać głębiej niż sięgał duch mistrza, łamali skrzydła fantazyi i tracili samodzielność.

Wincenty Pol szedł nie za mistrzami, lecz za ludem polskim. Dlatego sprowadził przewrót w dziedzinie obrazowania myśli. Nie tylko bowiem, że sam przedmiot obrał prosty, pospolity, że opowiada go dobroduszenie, nieraz ze szczerą naiwnością, ale co ważniejsza, w myślach i obrazowaniach swoich nie odbiega nigdy od kraju swego, nie porównywa on obrazów i uczuć swoich do piramid egipskich, nie wybucha pierś jego ogniem Etny lub Wezuwiusza, nie jęczy z boleści niebываłych, nie pali go piasek Sahary, nie napawa się kwiatem pomarańcz. Dziedzina obrazowań jego, choć urozmaicona, umiała w granicach ojczyzny własnej znaleźć przedmioty codzien podpadające pod oczy i wyidealizować je. Umiała wyczytać w nich ducha, dopatrzyć się uroku, i niemi posługując się wyobraźnią poety sprawiła, że czytelnik ciągle wraz z poetą stąpa po własnej ziemi, śpiewa tylko o niej i dla niej, a unosząc się w najrozleglejsze przestworza nie rozbija się o Czymborasso, lecz ciągle ma przed oczyma siny łańcuch Karpat i śnieżyste ich szczyty. To używanie (choć czasem nadużywanie) porównań i obrazów wyłącznie takich, jakich używa lud nasz i wyrzeczenie się wszystkiego, co narodowi obcem jest, wyrzeczenie się nawet w chwilach, w których fantazyja wyszukuje barw najsilniejszych, jest cechą charakterystyczną W. Pola, jest jego własnością — jest tak osobliwym typem poezyi jego, że te już dlatego samego nie mogą być bezkarnie naśladowane, a nawet prawie niepodobne do przekładu wiernego na obcy język.

Za tą cechą idzie i druga, wywiązująca się z bystrego pochwycenia charakterystyki ludowej poezyi, jest to przysłowiowość.

Jemu wiersze lub wyrażenia przysłowiowe narzucają się same mimo wiedzy, mimowolnie. Zbieracze przysłów mają tu skarby. W pieśniach ludu najłatwiej o powiedzenie przysłowiowe. W naturze ludu spoczywa ta pochoptność, ta łatwość ujmowania prawd stałych w słowa najkrótsze.

Powab ma także wiersz Pola, wiersz niezmiernie łatwy, płynny, prawie improwizowany. Lud ma dar stwarzania podobnego rymu, ale nie dba o jego formę, o wyrobienie formy. To, co u ludów południowych jest naturalną właściwością formy wierszowej, to widzimy tylko w poezji ludu naszego, gdy w poezji piśmiennej byłoby herezyą. Mówię tu o końcówkach. Rym w uściech ludu nie jest nigdy zupełny, u niego przybrzmienia czyli assonanse wystarczają dla ucha, dlatego lud nasz rymuje: „siostra i przyniosła“, „pocies i ociec“, „liście i szczęście“, „buty i roboty“ i t. d. nie zwracając uwagi na niezupełność brzmień. W poezji pisanej nie próbowano u nas tego rymu (z wyjątkiem drobnotki Aleksandra Fredry), który do pewnego stopnia może pojawić się w przyszłości, bo przyzwyczaić się doń łatwo można, a w dramacie dałby się przyswoić jako pośredniczący między białym a zwykłym wierszem. Pol nie ośmiela się na stwarzanie ludowego rymu połowicznego, nie przenosi go z poezji ustnej do pisanej, jednakowoż swobodą wierszowania zbliża się do swobody końcówek ludowych. Nie wygląda on, nie wyszukuje wiersza, nie jest tak kunsztownym jubilerem rymu, jak np. obecnie Asnyk, on przeciwnie, przyjmuje i podaje wiersz w tym pokroju, w jakim mu go przyniosło pierwsze natchnienie. Ta niekłopotliwość o formę wywołała zbyteczną swobodę, łatwość, a za nią i niedbałość poszła.

Droga poważnej prostoty, którą ustalił w naszej poezji Pol, jest wielką zasługą jego. Odgraniczył ją od sztucznej, ekleiwej sielankowości do jego czasów uprawianej i od prostactwa, które brano za jedno z naturalnością. Nie obłąka ona talentów poetycznych, tak jak to się działo z Bajronizmem i Hugonizmem, który, że pomnę takich jak Zmorski, Berwiński, Żygliński, narażał na szwank nieraz i takie potęgi, jaką był Juliusz Słowacki. Naturalność obrazów, ciągłe odnoszenie do natury, oparcie fantazji na żywiołach poetycznych w własnym kraju, wśród ojezystych niw i gór, chroni uczucie od nadużycia sił, od wczesnego zwiędnięcia, skłania je do przemawiania jasnym, krynicznym, zrozumiałym językiem, do rozrastania się na swojej niwie, wśród swoich i dla swoich.

Krótko i pobieżnie zastanowiłem się nad pracami Pola z lat 1833 do 1872, bo nie są one zadaniem obecnej pracy. Chciałem

tylko przypomnieć i zasługi i zawody, i zniewagi doznane. Szerzej o tem piszą Maurycy Dzieduszycki w wydaniu dziewięcio - tomowem dzieł Pola, Buszezyński Stefan w broszurze odbitej z *Kraju* 1873 r. i Ludwik Dębicki w życiorysie, ogłoszonym w *Przeglądzie Lwowskim*, a powtórzonym w *Kronice* z r. 1880.

Z czem się w datach biograficznych nie zgadzam z niemi, to w toku rozprawy bądź pomijam, bądź prostuję.

II.

R O D Z I N A.

Osobliwy to talent Pola. Myśli on, obrazuje i opowiada, jak gdyby z rodzinnej tradycyi kilku stuleci zaczerpnął natchnienia, jak gdyby krew polska z dziada pradiada płynęła w rodzie poety. A jednak był to syn Niemca! A jednak i rodzina matki z cudzoziemców wiodła swe konary! Tem większy tryumf wpływu naszej ziemi, tem większa zasługa jego osobista.

Kiedy w r. 1860 wydałem życiorys jego, powiedziano mi, że Pol niekoniecznie rad był wywodom moim pochodzenia z Niemiec. Ależ to chluba, że takim stał się, mogąc być innym. Toć chlwała jemu, że on z obcego gniazda, dawał przykład, czem być należy, a to tym, którzy nie umieli stać się tem, czem byli ich przodkowie.

Nie szukać zatem rodowodu Polu w Duńczewskim, Warszawskim lub Wielądku. Rodzina przywędrowała z obczyzny i zespoliła się z mieszczańskim światem w czasie wielkiej klęski narodowej rozbioru Polski.

Był jeszcze inny odłam Pohlów, już za Sasów. Z tego pnia wyrósł głośny misyonarz, Andrzej, urodzony r. 1740 w Łowiczu a zmarły 1820. Może też od tego pnia wywodzili się Justyn i Romuald, filareci wileńscy, o których familijnych związkach nie mi nie wiadomo.

Według opowieści Wincentego Pola, ojciec jego, Franciszek Ksawery, pochodził z rodziny wygnanej z Anglii za Stuartów, która osiadła w nabytej wsi Borki w Warmii. W tradycyi tej pojawia się i nazwisko kardynała Polusa, głośnego w Anglii za czasów prześladowania. W Warmii żyli Polowie w pobliżu cudownego miejsca św. Lipki. Ojciec Wincentego urodził się miał w Warmii

1748, wychowany w Brunsberdze w kolegium jezuickiem, następnie za staraniem biskupa Grabowskiego udał się do Hollandyi, gdzie się kształcił w inżynieryi, lecz że mu to nie przypadło do smaku, udał się na uniwersytet krakowski, gdzie skończył studia prawne, a imię jego zapisano w księgach matrykularnych uniwersytetu Jagiellońskiego. Jeszcze w roku 1832 odwiedzał Wincenty ciotkę zamieszkałą w Warmii pod Besslem.

Choć to tradycja familijna, nie można dawać jej wiary. Już to wiązanie nazwiska Pohła z kardynałem Polusem wcale zabawnie wygląda, i nie powinno być powtarzane w biografjach.

Urodził się nie 1748, jak twierdzi Dębicki, lecz najprawdopodobniej r. 1751. Że zaś biskup Grabowski już w roku 1766 nie żył, więc trudno przypuścić, aby Pol w piętnastym roku życia ukończył kolegium jezuickie, i tak młody, dzieciak jeszcze, mógł być za granicę wysłany przez Grabowskiego, celem inżynierskich studyów. Również tradycja o zapisaniu jego w metryce uniwersytetu Jagiellońskiego, jako ukończonego prawnika, jest tylko tradycją, nieczem więcej. Z rzeczywistością nie zgadza się, przynajmniej takiej metryki z nazwiskiem Pola nie zdarzyło mi się wynaleźć. Są to wszystko fantazyje tak długo, jak długo dowodami nie dadzą się poprzeć.

W takich podaniach familijnych wyobraźnia gra rolę wielką. Jedno napomknięcie, jakiś szczegół, podaje wątek do przypuszczeń, a te z czasem nabierają cech prawdopodobieństwa, aż w końcu stają się prawdą. Polowi samemu nasuwały się rojenia nieoparte na fundamencie. Krótco przed śmiercią zapowiedział lekcję publiczną o Mickiewiczu, i całą godzinę mówił ślicznie, z wiarą i przejęciem o Mickiewiczu, jak w Petersburgu dawał dzisiejszemu cesarzowi Aleksandrowi w obecności cesarza Mikołaja lekcję literatury i historii polskiej. Powtórzył wszystkie rozmowy tak jasno, tak szczegółowo, jakby sam z własnej świadomości to zapamiętał. A jednak o takich lekcjach biografowie Mickiewicza mileżą. Kto wierzyć chce podaniom, niechaj wierzy. Co do mnie, wolę wyszukiwać daty, grupować je, i z pewnego stosunku wnioskować o niepewnych.

Czy się urodził stary Pol w r. 1751, na to równie pewności nie mam, jak też, czy się w istocie w Warmii urodził. W gnieździe rodziny, gdzie jeszcze miemana ciotka Wincentego mieszkała, czynił poszukiwania kanonik Hipler na prośbę profesora Łepkowskiego, lecz nie znalazł Franciszka Ksawerego w latach jego narodzin. W księgach chrztu znalazł w Rösslu tylko tych Polów: Andrzej Pol *praediarus Soc. Jesu*. Dzieci jego rodziły się w latach 1738,

1745, 1745, 1747, 1748, 1751 (cóрка). Między synami nie ma Franciszka. Jan Pohl *inquilinus* ma dzieci w latach 1742, 1750. Jakób Pohl *distractor mercium* ma dzieci r. 1750, 1752, 1754, ale obydwaj nie wydali Franciszka. Więcej Pohlów nie ma w metrykach. Zatem o naszym Franciszku ani słyhu. — Zkąd więc dowód iż z Warmii pochodził, skoro metryki nie potwierdzają tego? Polegać trzeba na powadze tradycyi gołosłownej. Na wszelki wypadek nie wyszli ci Polowie z Röslu; tutaj bowiem były całkiem inne rodziny, noszące tylko toż samo nazwisko.

Dzieduszycki i Dębicki idą za tradycją, że Pol był uczniem uniwersytetu krakowskiego. Toż samo z tegoż źródła pisze mi January Poźniak, najbardziej wtajemniczony w stosunki, bo należący do familii. Pomimo tego nie wierzę temu. Gdyby był Pol z Warmii przybył do Krakowa, aby na polskim kształcić się uniwersytecie i pod polskim rządem, byłby, jako przygotowany uniwersytecko do polskiej służby, tutaj rozpoczął swój zawód urzędniczy. Tymczasem dostrzegam co innego. Galicya była wtedy pod rządem austriackim. Rząd nowy ściągał urzędników Niemców i nimi obsadzał nawet posady nauczycielskie. Uczono w języku niemieckim. W gronie téj napływowej gromady zjawia się i to na drugim końcu kraju Franciszek Pol jako nauczyciel w szkole normalnej.

Skąd się wziął pod cudzoziemskim rządem, z polskiego uniwersytetu, na którym nie mógł być usposobionym do służby austriackiej, bo tam nie uczono niemieczyny i niemieckich ustaw? Coby go w takim razie wiodło do Krakowa, do nieodpowiedniego przyszłej jego karyerze uniwersytetu? Jedne chyba rodzinne stosunki. Ale tu ani śladu rodziny Polów, ani też śladu Pola na uniwersytecie. Wprawdzie pisze Kausch w *Nachrichten über Polen* (1793, II, 135) na podstawie listów Zöllnera, że pastor Pohle z Tarnowicz odprawiał prywatnie w Krakowie nabożeństwa po kilka razy do roku, zjeżdżając w tym celu, lecz rodzina protestancka nie mogła mieć związku familijnego z katolikami.

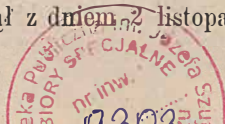
Mnie co do uniwersyteckich studyów starego Pola inaczej się rzecz przedstawia. Zastanowić się wypada, kiedy wstąpił do służby? Pewna data jest rok szkolny 1785 na 1786, zatem miał lat 35. Był więc już niemłody, kiedy rozpoczynał karierę publiczną. Czem był pierwiej, nie wiadomo. Szlachectwo udzielił mu cesarz dnia 21 lipca 1815 na jego prośbę wniesioną w lutym tego roku. Oparł on się na statucie erekeyjnym Stanów królestwa Galicyi z roku 1782, w moc którego sprawy szlachty mogły być sądzone i rozstrzygane tylko przez szlachtę. Że zaś Pol został radcą przy sądzie szlacheckim,

wypadło mu starać się o nobilitację. Udzielono mu jej z uwagi na 29 lat służby i na to, że gdy był naczelnikiem urzędu fiskalnego w Lublinie, wykrył kilkanaście kapitałów i dóbr należących do funduszu edukacyjnego, a ówczas zatraconych, nadto, iż zaskarbił sobie względy przełożonych podczas urzędowania w komisji likwidacyjnej długów skarbu przy sprawdzaniu majątku lubelskiego duchowieństwa, że wreszcie od roku 1805 do 1808 było radcą sądu szlacheckiego, zaś obok tych zajęć objął kierownictwo magistratu lubelskiego.

Aby służyć przy prokuratury skarbu, trzeba było nietylko studyów prawnych lecz i doktoratu prawa. Pol więc ukończyć musiał studia prawne. Ale kiedy i dlaczego nie prostą drogą poszedł na drogę sądową, zwłaszcza w tak późnym wieku życia? Mniemam, że dlatego, że do tej służby nie był jeszcze uprawniony.

Jeżeli Pol dopiero w 1785 na 1786 został nauczycielem, to był nim całe lat dziesięć; przez ten czas, do 42 roku życia, nie doprowadził stanowiska wyżej nad nauczycielstwo podrzędne w szkole normalnej. Jeszcze w r. 1796 pełni obowiązek nauczyciela trzeciego, lubo już od roku 1793 jednocześnie praktykuje u fiskusa. Gdyby był miał jakiegokolwiek uniwersyteckie studia, byłby niewątpliwie z praktykanta fiskalnego od r. 1793 rychlej awansował i byłby nie potrzebował jeszcze lat tyle męczyć się z dzieciakami. Karyera sądowa tem łatwiej by mu przysła, że należał do pierwszego niemal pocztu urzędników, werbowanych przez rząd do Galicji po zaborze kraju.

Wiadomo, że gdy rząd prowincję tę na swój ustrój przeistaczał, nie miał pod ręką dostatecznej ilości urzędników umiających po niemiecku. Brano ich ze wszelkich warstw, byle mogli się wypisać w urzędowym języku. O Janie Kamińskim mówią, że gdy go ujrzał jakiś dygnitarz, czytającego na ulicy ogłoszenie niemieckie, ciągnął go gwałtem, chcąc mu dać posadę. Aby niedostatkowi zaradzić, utworzono r. 1784 we Lwowie uniwersytet. Do uniwersytetu ściągano zewsząd ochotników, którzyby zajęli urzęda, a że szlachta wstręt miała od niemieckiej szkoły i w ogóle od wszelkiej nauki a tem bardziej publicznej, więc ułatwiono osiągnięcie nauki szczupłej garstce mieszczan. Ułatwiano też uzupełnienie nauk urzędnikom, pełniącym już obowiązki. Ci mogli w pozabiurowych godzinach uczęszczać na uniwersytet i zdawać egzamina. Możliwem jest przypuszczenie, że Pol, będąc nauczycielem, dopełniał studyów prawnych we Lwowie między rokiem 1784 a 1793 i dopiero w tem ośmioleciu, złożwszy egzamina, porzucił małe stanowisko nauczyciela normalnego i rozpoczął z dniem 2 listopada 1793 służbę u fiskusa.



Jestto tylko mój domysł nieczem niepoparty. Mogłyby go poprzeć tak zwane *Specimen laboris*, wydawane dla gimnazyów co roku. a z których tylko rocznik 1776 w Bibliotece Ossolińskich dochował się, a w nim nazwisko Aleksandra Lonszana jest zamieszczone. — Mogłyby więcej jeszcze coś wyjaśnić lwowskie wykazy uniwersyteckie. Atoli w katalogach słuchaczów wydziału filozoficznego nazwiska Pola nie znalazł Poźniak. Zaś spisy uczniów prawa zniszczone. W protokołach ekshibitów znalazł tylko w roku 1794 zanotowane, że Bazyli Patalewicz prosił o komunikowanie mu obrony nauczyciela Pola przeciw jego skardze na Pola zamiesionej. Dnia 4 stycznia 1794 dostał proszący odmowną odpowiedź. Przypuszcza January Poźniak, że Pol mógł także kończyć prawo w akademii Zamojskiej, która jeszcze w roku 1783 wydała dyplom doktora obojga prawa jego dziadowi.

Franciszek Pol w wykazach urzędowych pisany bywa do roku 1793 jako Pohl, od r. 1794 ginie *h* a przybywa drugie *l*, więc go drukują Poll. Równocześnie urzęduje w sądownictwie jakiś Józef Pohl, Niemiec, o którym nie bliższego nie wiem. January Poźniak utrzymuje, że zdaje się, iż nie był to krewny Franciszka, choć się pisał tak samo; pewności co do tego żadnej nie ma. Co się tyczy podania familijnego, że Fr. Pohl był w orszaku cesarza Józefa II (1787) jako tłumacz, to choć rzecz tę powtarza Dzieduszycki, jest ona całkiem błędną. Był cesarz i w r. 1780 we Lwowie lecz bliżej nie wiadomo, kto mu był przydzielony. W roku 1799 Franciszek Pohl urzęduje w Lublinie jako adjunkt fiskalny.

Podczas urzędowania Franciszka Pola w Lublinie, jednocześnie przemieszkowała tamże u ciotki swej Pelagii Gautierowej, panna Eleonora Lonszanówna. Przebywała u nich w Geleczwi, a że pozostawała jeszcze pod opieką Meisnerów we Lwowie, wniosek więc z tego, że jeszcze w r. 1800 nie miała lat 24, że zatem co najwcześniej mogła się urodzić po roku 1776.

Z niemieckich rodzin Lonszanów i Meisnerów wyrasta nowy pień szczeropolskiego drzewa. Czem oni byli? Niekiedy pisali się Lonszanowie Berger de Lonchamps. Więc ostatnie było bądź przydomkiem lub wskazaniem miejscowości, z kąd wyszli, a następnie przeistoczyło się w nazwisko rodowe. Już w r. 1755 na pełnomocnictwie w układach z Marcinem Mercenier i Maryanną Corrado, wdową po doktorze medycyny, podpis jest po prostu Franciszek Lonchamps. Rodzina ta pierwotnie francuska przeniosła się z powodu prześladowań religijnych do Szwajcaryi a ztąd do Lwowa. Więc tradycya tułaczki familii ojca i matki Wincentego jest jedna

i taż sama; jedni mniemają, że byli katolikami, drudzy, że byli reformowani, lecz oba rody emigrowały z powodu ucisku religijnego.

W roku 1767 napotykam nazwisko Franciszka Lonszana jako rajcy miasta Lwowa a zarazem kupca. Był już zamożny. Czyni ciągle transakcje ze szlachtą, z księciem Lubomirskim, Protym Potockim, Sapiehą, Rościszewskim, Paparą, i mieszczanami Janem Dekiertem, Franciszkiem Roesslerem, znanymi w kupiectwie warszawskim. W r. 1787 podejmuje on cesarza Józefa II w swoim lasku Lonszanówką zwanym. Na pamiątkę tego stawia w r. 1781 posąg Minerwy z napisem w czterech językach. Odtąd Lonszanówkę przewano *Kaiserwaldem*, a posąg Minerwy roztrącony, mimo że go jeszcze w r. 1844 miasto restaurowało, a możni Lonszanowie rozproszeni i bez mienia. *Sic transit gloria*.

Z Lonszanem wiązał się znany przemysłowiec, Jan Fryderyk Preschel († 1808). wychowaniec warszawskiego bankiera Teppera. Oni to, sprowadziwszy w r. 1769 z Liège garbarza Danblève, założyli w Busku pod Lwowem wielką garbarnię, przybrawszy Marcina Merceniera, radnego miasta Lwowa, do spółki. Szło z razu wybornie; wysyłano już w r. 1771 skóry do Lipska i Brunswiku. Niebawem założyli ogród przepyszny. Lecz gdy w administracyą wkradł się nieład, spółka zbankrutowała.

Franciszek Lonszan umarł r. 1781, pozostawiwszy z Genowefy Mercenier dziewięcioro dzieci. Z tych najstarszy, Jan, poszedł do legionów, a tym sposobem rodzina wkupiła się w narodowość polską. Drugi syn Józef, doktor medycyny, pisał się Berger de Lonchamps i wydał w r. 1789 w Wilnie przekład *Nauki położniczej*. Trzeci Aleksander, także doktor, ożenił się w r. 1797 z Eleonorą Rudnicką. Ten był ojcem Wincentego, Bogusława i Franciszka, znanych we Lwowie obywateli. Cóрка, Genowefa, poszła za Jędrzeja Meisnera, ławnika miasta Lwowa, Pelagia za Gautiera, Anna za Ignacego Wemmera do Warszawy, Katarzyna za utrzymującego pensyonat Franciszka Pique de Replonche (w r. 1784), a najmłodsza cóрка Franciszka Lonszana, była Eleonora.

Były trzy Mersenianki, znane piękności, to jest Genowefa Lonszanowa, Maryanna za doktorem Józefem Corrado, i Urszula za Adamem Ziętkiewiczem. Do tej Urszuli wdychał Antoni Ziętkiewicz, doktor, brat Adama, a gdy Urszula tamtemu rękę oddała, został księdzem.

Rodzina Ziętkiewiczów zażywała poważania we Lwowie od dwóch stuleci, piastując aptekarstwo. Już w r. 1680 napotykamy Macieja, aptekarza, doktora filozofii i prawa. Od niego szli aptekarz

Mikołaj i Maciej, kanonik kapituły krakowskiej. Od Mikołaja poszli aptekarz Tomasz (ur. 1780 r.), Antoni doktor a razem kanonik kapituły lwowskiej, tudzież Adam, kupiec. Ten miał syna Józefa, właściciela wsi Mostek, ojca czterech córek, który ożenił się w r. 1797 z Maryanną Nieszkorowską. Córką Adama, Zuzanna, poszła za męża za kupca żelaza, Leonarda Joehera.

Drugi syn Mikołaja, Tomasz, aptekarz, sekretarz nadworny Stanisława Augusta, ożeniony z Teresą Corrado miał córki Maryę Hallerową, Józefę Huppenową i syna Wincentego (ur. 1775) aptekarza, który ożenił się z Wiktoryą Meisnerówną. Syn jego Wiktor utrzymał aptekę w rodzinie, lecz fortuna Ziętkiewiczów przepadła. A była to fortuna znaczna. Teść Wincentego, Andrzej Meisner, był dorobkiewiczem świeżej daty. Nie wiem, czy pochodził od rodziny aktorów niemieckich, którzy w r. 1785 pojawili się we Lwowie? Majątek jego rósł na ruinie upadającej własną winą szlachty, wyzuwającej się z ojcowizny. Kupuje on w r. 1798 od Jana Batowskiego dobra Kalników, i w r. 1820 przekazuje je w posagu córce swej Wiktorii Ziętkiewiczowej, wianując z tego drugą córkę Dorotę, żonę Ignacego Korzeniowskiego. Tenże Andrzej Meisner zeznaje w r. 1800 dług 1585 złotych na rzecz Eleonory Lonszanówny. Schedą po Adamie Ziętkiewiczu dzieliła się rodzina w r. 1793 a ostatecznie Józef Ziętkiewicz zobowiązał się w roku 1818 spłacić siostrze swej Zuzannie Joeherowej, ze sprzedaży jurydyki Kolkocieczna zwanej sumę 706 dukatów.

Tak więc jedną rodzinę tworzą Ziętkiewicze, Lonszanowie, Meisnerowie, Gautierowie, Pique, Wemmery, Pohlowie, Corradowie, Huppeny, Hallerowie, Merceniowie — rodziny cudzoziemskie (z wyjątkiem Ziętkiewiczów) świeżo osiadłe, niezwiązane z krajem tradycją. Z tego amalgamatu obcego pierwiastku wyłonić się miał kruszec szlachetny, chwala narodowa. Napływ cudzoziemszczyzny, jeżeli warunki sprzyjają, przeradza lecz zarazem odradza narodowość, jeżeli warunki niekorzystne, zabija ją. Tutaj grunt sprzyjał, wpływ Ziętkiewiczów przeważał, żywił obcy uszlachetnił wysoce to, co samo przez się było szlachetnem.

Trzy rodziny lwowskie osiedliły się w Lublinie. Gautierowa wychowywała Eleonorę Lonszanównę, pannę już pełnoletnią, a Franciszek Pol został adjunktem fiskalnym. Pol już domierzał pięćdziesiątki. Poznał pannę i oświadczył się. Na konkury nie było czasu, więc nalegał o pośpiech. Panna, choć to Niemiec, przyjęła ofiarę serca, poznawszy zacność i uczciwość konkurenta i wiedząc o jego stanowisku. Wymiana listów z tej okazji nie była długą. Jak się

na małżeństwo to zapatrywały strony obiedwie, widać z pism, które przytaczam.

Pierwszy list, datowany w Gelezwy dnia 16 czerwca 1800, pisany bardzo nieortograficznie, opiewa po usunięciu błędów:

„Donoszę WPanu, że pan Pol, adjunkt fiskalny, w przytomności naszej o rękę i słowo panny Leonory żądał, która mu nie odmówiła, mając dla niego przyjaźń. Jest człowiek powszechnie znany z poczciwego charakteru. Z sytuacyi i zdatości w urzędzie, który piastuje, nawet we Lwowie go znają. Pokazywał mi dekrét wiedeński, że ma pensyi 1200 reńskich z przyrzeczeniem, że tymczasowie. Jest na tej funkeyi i większy go awans czeka. Spodziewa się być wkrótce starostą cyrkularnym, gdyż o to się stara. Z naszej strony uważamy to za szczęście dla panny Leonory. Spodziewam się, że WPań przychylił się do ukończenia losu jej i zatrudnisz się tem, co jej w takowych okolicznościach potrzebnem jest, gdyż życzeniem pana Pola jest, aby to wesele jak najprędzej przyspieszyć, mając interes jechania do Wiednia, co wyraziwszy jestem zawsze życzliwy przyjaciel

M. Gautier.

Dalsze listy opiewają, jak następuje:

Mes très cheres Socur et Frere.

Nie mogę przenieść na siebie, żebym nie dzieliła z WPaństwem tego ukontentowania, które czuję z powodu przysłego i szczęśliwego losu siostry naszej Eleonory; nie można nie cieszyć się, widząc człowieka tak słusznego, poczciwego, roztropnego i powszechnie szanowanego — dość jest powiedzieć, że wszystko mówi za nim, a zatem szczęście jej jest nadto pewne, czem się cieszymy mocno, więc do nas należy, abyśmy się przyłożyli szczerze do ich żądania, żebyśmy nie mieli sobie coś do wyrzucenia przez opóźnienie czegoś. Jak wyczytacie WPaństwo z listu JW. Pana Pola i z listu męża mego, że czas jest krótki, co zaś względem wyprawy to WPańi znasz, jakie są potrzeby, więc jak najoszczędniej rachowałam; tu mniej nie można jak cztery tysiące, co proszę, żebyście mi donieśli, na kiedy będą a podług tego doniesienia będziemy się regulować, ale żeby nie bankocetelami, gdyż tu wielka strata na nich. Proszę przez najspiesniejszą pocztę donieść, gdyż czas krótki do zrobienia wszystkich potrzeb. Już teraz spodziewam się, że nie odmówicie swojej bytności, choć przy tej okazji dostanie mi się to ukontentowanie mieć W. Państwo w domu moim. Teraz nie zostaje mi więcej, jak powtórzyć mi moje ukontentowanie i zaręczyć ich, że widok przysłego losu siostry naszej tyle mi pociechy robi,

ile własnej mojej córki. Całuję W. Państwa serdecznie wszystkich i zostaje kochającą siostrą i sługą

P. Gautier.

10 czerwca Gielczew.

Mes très chere Soeur et Frere!

Czułość starania, które odbierałam przez lat tyle, dotychczas od WM. Państwa Dobrodziejstwa nadto mnie przekonywują o przywiązaniu dla mnie i ich dobrem sercu, ażebym wątpić miała, iż nie znajdziecie ukontentowania, dowiedzieć się o pewnem i szczęśliwym ustanowieniu mego losu. Nie wątpię tedy, żebyście mi pomogli z serca w tej ważnej życia mego okoliczności, która jednak dependuje od WM. Państwa Dobr., jako od tych, których mi rodzice zostawili na swoim miejscu i którzy przez swoje dla mnie starania zastępowaliście łaskawie ich miejsce. W ostatnim liście swoim WPan Gautier namieniał podobno o partyi, która wtenczas mi się prezentowała początkowie — teraz zaś, kiedy już jest wszelka pewność i już w przytomności państwa Gautier odebrał JW. Pan Poll odemnie zapewnienie, nie zostaje mi tylko, jak udać do WM Państwa Dobr., spodziewając się tego, że mi dopomóżecie w tem chętnie, o co proszę, i udaję się w tem jak do rodziców, których WM. Państwo zastępujecie. Co Wm. pan Meisner Dobr. będzie łaskaw podać do magistratu i wyrobić mi pozwolenie na moje zamęście. JW. pan Poll jest znany we Lwowie zapewne i w magistracie. Wm. Państwu Dobr. zaś daje się poznać przez list, nie mogąc dla funkeyi swojej być osobiście, coby chętnie uczynił.

Wiadomi jesteście Wm. Państwo Dobr., że przy tej okazji potrzebuje oporządzenia, którego tak dawno potrzebowałam. Po obrachowaniu z panią Gautier potrzeb tylko najgwałtowniejszych — nie chcę więcej, ale też mniej żądać na wyprawę nie mogę jak 4000 pol. złotych. *Ma Soeur*; wiesz, że futro, srebrne łyżki, bielizna i łóżka, co to samo kosztować może. Nie nadto żądać nie chcę, bo znam to, że co wezmę na wyprawę, tyle stracę z kapitału; nadto, że moja bielizna terazniejsza jest dosyć szczupła i futro mizerne, sukien zaś jak najmniej staram się sprawiać, gdyż ustawiczne odmiany mód do tego mi przeszkadzają. Więc Jegomość Dobr. żeby z łaski swojej chciał mi przysłać 4000 na te wydatki, i niech nam z łaski swojej także doniesie, kiedy, na który czas mieć możemy te pieniądze, ponieważ na sprawienie wyprawy potrzeba czasu a WM. pan Poll oświadczył się, żeby chciał mieć pod koniec przed Szeptembrem, gdyż w tym miesiącu ma przed sobą podróż, więc o zwłokę długą będzie trudno. Powtarzam jeszcze raz moje prośby do przy-

chylenia się Wmgo Państwa Dobr., tyle, ile tego moja sytuacja wymaga. Razem proszę, żebyście Wm. Państwo Dobr. byli pewnymi nie tylko za ich wszystkie dawne starania i teraźniejszą pomoc mojej wdzięczności i przywiązania, z którem być nie przestanę, Wmgo Państwa Dobrodziejstwa szczerze przywiązaną siostrą

Eleonora Lonchamps.

P. S. Wm. pannę Wiktoryę i pannę Dorotę jak najserdeczniej całuję. Nie mogę donieść determinowanego czasu na wesele, więc i prosić na niego nie wiem kiedy, aż podług rezolucyi Wmch Państwa Dobr., ale proszę, żebyś mi WPaństwo Dobr. chcieli na miejscu rodziców błogosławić, i proszę wierzyć, że go tyle szacuję i życzę, ileby od nich samych.

Wohladelgebohrener Herr!

Ich hab das Glück gehabt die Zuneigung des Fräuleins Eleonora Lonchamps zu gewinnen, und unser Glück ganz zu gründen, hängt blos von der Einwilligung Euer Wohladelgebohren ab, unter dessen Vormundschaft sie steht. Um also die Ehe nach den Vorschriften des Gesetzes mit ihr schlüssen zu können, bitte ich gehorsamst um dero gütige Einwilligung und um die Bewirkung des Consenses von der Pupilar-Instanz. Ich schmeichle mir mit der Hoffnung, das Euer Wohladelgebohren diese Bitte mir nicht abschlagen werden, ohngeachtet ich Ihnen vielleicht nicht bekannt seyn dürfte. Wie ich beschaffen bin, wird Euer Wohlgl. Herr von Gautier schreiben, indem die Bescheidenheit nicht zulässt, diese Seite von sich selbst zu berühren. So viel hab ich die Ehre Euer Wohladelgebohren zu melden, dass ich in Lublin als Fiscalamtsvorsteher mit 1200 fl. angestellt bin, und dass der Herr Praeses dann mehrere Herrn Magistratual-Räthe in Lemberg mich persönlich können. Ich empfele mich Euer Wohladelgebohren gütigem Wohlwollen, und bin mit der schuldigen Hochachtung und Verehrung. Euer Wohladelgebohren ganz ergebenster Diener

Poll.

Lublin den 18 Juni 1800.

Ich bitte sobald möglich mir die Einwilligung gütigst zu überschieken, da ich eine Reise vorhabe, und gern noch früher die Sache beendigt haben möchte. Ihr gehorsamster Diener

Poll.

Małżeństwo łatwo przyszło do skutku. Cieszyła się z tego rodzina. Jeden z poczciwych kuzynów, podobno Józef Ziętkiewicz, przesłał Eleonorze wiersz: *Rada kuzynce wstępującej w stan mał-*

żeński. Bardzo poważnie i długo wyklada jej obowiązki żony, a kończy tem:

Więcej ci już nie podam, lecz za przykład rzadki
Weź własne wychowanie szanownej twej matki,
Jej enoty w Ciebie wlane, jej sposób myślenia,
Są to prawe twojego szczęścia zaręczenia:
Niechaj z mej przychylności godzi się wywróżyć,
Że wam stała pomyślność będzie zawsze służyć.

Częstochowskie zacięcie rymów, ale z prawdziwego affektu, dlatego można im wiele przebaczyć.

Pol ożeniwszy się, nabył zapewne z majątku żony folwark pod Lublinem, Firlejówkę, a wszedłszy w rodzinę polską, przyjmował obyczaje tej rodziny. Z biegiem czasu szedł w służbie w górę, o co było najłatwiej, bo Galicya nie miała wówczas urzędników odpowiednio uzdolnionych. Gdy w r. 1805 piastował Pol posadę radey sądu krajowego w Lublinie, wówczas sprawowało urzędy jedynastu radeów, a posady dwunastu, to jest większej połowy, nie były obsadzone. W roku 1806 mieszkał Pol przy ulicy katedralnej pod nr. 44, następnie przy ulicy Grodzkiej nr. 111, i tu urodził się dnia 20 kwietnia 1807 Wincenty Ferencyusz Jakób Pol. Chrzest odbył się w katedrze. Rodzicami chrzestnymi byli Karol Scypio, dziedzic Byehowca i Nerona z Scypionów Grabowska. Chrztu dokonał Wincenty Jezierski, oficyał lubelski.

Piszą, że służył Pol czas pewien w Stanisławowskim sądzie szlacheckim pod przewodnictwem Pietruskiego. Tam, według Dzie duszyckiego, doznawał poważania ze strony prezesa, który w obywatelstwie zażywał czci a u rządu poważania. Pamięć zacnego Pietruskiego krążyła długi czas w okolicy, jak i krążyła w osobliwym panegiryku, ukutym przez profesora Piaseczyńskiego a deklamowanym przez gimnazjalną młodzież na cześć Pietruskiego i komisarza sejmowego. Żałuję, że nie mogę wydrzeć z niepamięci wierszów innych tego poety, który poprzedził muzę Adama. Podaję urywek tylko jako przedsmak tego, co tworzyło biesiadę poetycką:

To Franciszek Piaseczyński,
Co przez język swój łaciński
Gimnazjalnym profesorem.
Wszystkich stanów szczęścia tworem
Pan Rzewuski ów komisarz,
Z szabli rycerz, z pióra pisarz.
Któż Pietruskiego nie zrówna prezesa?
Do polityka, Grek Demostenesa.

Komu szambelana
Wielkość nie znana?

Ze Stanisławowa dostać się miał Pol do Lwowa na radcę sądu. Tej tradycyi familijnej a drukiem utwierdzonej, zaprzeczam. W schematyzmie galicyjskim za rok 1806 znajduję trzech Polów. Jeden Wencel Pohl jest chirurgiem w Kamieńczyku, drugi Józef Pohl, jest radcą sądu w Stanisławowie, trzeci Franciszek, piszący się w zmienionej ortografii Poll, urzęduje w Lublinie. Widocznie podanie familijne pomieszało Franciszka z Józefem, który był znacznie młodszy w służbie.

Dekretem nadwornym z dnia 23 lipca 1810 przeniesiono Polla do Lwowa na radcę sądu szlacheckiego. W początkach roku 1815 został sędzią apellacyjnym. W r. 1823 dnia 25 marca umiera, mając lat 72. Nadworna kamera orzeczeniem z 28 marca 1824 roku, l. 12341 wyznaczyła wdowie emeryturę i dodatek na wychowanie dla małoletnich; synom do ukończenia lat 20, córkom do ukończenia lat 18. Z dokumentu tego osiągamy daty pewne narodzin dzieci. I tak Leon Pol urodził się 16 kwietnia 1805, Wincenty 20 kwietnia 1807, Zofia d. 15 maja 1809, Józef dnia 14 grudnia 1813, Ewa Wiktorya d. 24 grudnia 1817 r.

Pol, jakkolwiek Niemiec, rychło przez stosunki z rodziną żony nawykł do obyczaju polskiego. Był towarzyski i gościnny. Wysoce wykształcony, znając dobrze język francuski i włoski, lubił literaturę. Grywając dobrze na skrzypcach, urządzał u siebie wieczory muzykalne. Znanemi były ówczas polonesy Pola, ale nie jego utworu; miały one z Litwy pochodzić. Szczegóły domowego życia i domowego rygoru opisał St. Buszczyński według opowiadań Wincentego.

Polowie pozostawili czterech synów i dwie córki. Choć dla literatury tylko jeden Wincenty zajmującą jest postacią, nie od rzeczy będzie rozpatrzyć się w losach całej rodziny, bo jej losy, bo domowe sprawy, wiążą się ściśle z dolą pisarskiego zawodu. Tem tylko sobie wytłómaczyć można, dlaczego autor zaszedł daleko lub nie zaszedł, czemu ustać musiał, z jakiego powodu rwały się myśli i mąciła się swoboda.

Syn najstarszy był Franciszek, urodzony 1801 r. Nosił imię po ojcu i po ojcu odziedziczył niemieczynę. Rzecz to dość zwykła w Galicyi, że jeden syn za matką, drugi za ojcem idzie. Za ojcem szło najstarsze, bo ojciec był w sile wieku, chciał i mógł czuwać nad pierworodnym i kształcił go na swoją modłę. Gdy się czwarte dziecko urodziło i podrosło zdolne do nauki, ojciec, już w sędziwe zaszedłszy lata, pozostawił chłopca opiece matki, a ta urabiała go

w myśl swoich uczuć patryotycznych. Więc wychodził Franciszek niemieckim pisarzem, a wytwarzał się Wincenty na pisarza polskiego. Nie przeszkadzało to, że mógł Franciszek uznawać się za dobrego Polaka, i że był nim istotnie, bo wówczas umiano z tem godzić niemieckość, tak iż to nie raziło wcale. O ile Wincenty był charakteru nieuległego, samodzielnego, o tyle Franciszek nasiąkł niemiecką systematycznością i powagą. Pracował na to, aby praca chleb dała. Dlatego kończył filozofią i prawo w latach 1820—1823. Nie zawsze tam szło bez ale; poprawiał egzamin z prawa kościelnego i polityki austriackiej. Nie dziwnego; wiersze roily się po głowie, więc cały rok 1824 przepróżniaczył na kochaniu się w Mostkach, zanim zdobył się na dokończenie studyów.

Urszula Ziętkiewiczowa zajęła go serdecznie. Dla niej zapragnął co rychlej dorwać się kawałka chleba a przytem nie stracić z oczu swej ukochanej. Zwykła karyera praktyki w sądzie zapewniała świetniejszą przyszłość, ale była powolną — jemu szło o pospiech. Wybrał tedy karierę mniej wróżącą, mniej ponętną. Wstąpił do justycyaryatu kameralnego Szczerzec w r. 1825. Justycyaryusz i urząd ekonomiczny tego państwa rezydowali w Siemianówce o pół mili od Mostek. Zatem Franciszek przebywał więcej w Mostkach aniżeli w Siemianówce. Nie było mu jednak przeznaczonem zażywać szczęścia. Jocher pisze w końcu maja w liście do matki swej, że zastał Józefa Ziętkiewicza po ciężkiej chorobie, i panią Józefową także, a przytem wielki smutek, bo w tych dniach w ich domu umarł nagle najstarszy syn Pola, młodzieniec pełen nadziei, który właśnie skończył nauki i miał objąć urząd. Było to w roku 1826. Zwłoki jego przeniesiono do Szczerca, gdzie matka jego mieszkała.

Był on podporą pisma *Mnemosyne*, wydawanego we Lwowie w r. 1824. Redakcyja pisma zmienia się z rokiem 1825 i obywa się bez galicyjskich współpracowników. Dopiero w latach następnych, gdy Zawadzki wrócił do redakcyi, przypomniał sobie o pośmiertnych pracach Franciszka Pola. Znane mi są z nich następujące: wiersz na otwarcie pisma, *Narciss*, *Der verbannte Amor*, *Der Bach*, *Der Mond*, przekład satyry Krasickiego *Die Frau nach der Mode*, *Die Arbeitsamkeit*, *Zephyr*, *Mein Heerd* (według Cottona), *Pigmalion*, *Die Wette*. Mickiewicza *Świtezianka* jest w nr. 81. W roku 1827 umieszczono wiersz *Spinngewebe*, w r. 1828 Kropińskiego *Luitgarde* przekład sceny 1—5, r. 1829 grano we Lwowie d. 11 marca w teatrze niemieckim *Krakowiaków i Górali* Kamińskiego, przekładu Franciszka Polla. Rękopis zaginął, tylko kilka ustępów zapamiętał jeszcze January Poźniak, który wraz z Wincentym Polem,

zajmował się urządzeniem tej reprezentacyi. Przytaczam owe zwrotki z tłumaczenia Krakowiaków.

Śpiewka organisty tak opiewała po niemiecku:

Magere Pfründen, nichts als Plagen,
Schlecht ist dieses Leben,
Was nützt Klingelbeutel tragen,
Niemand will was geben;
Niemand stirbt, dass Gott erbarme,
Taub ist jeder Reiche,
So verschwinden bei dem Harne,
Unsere werthen Baeuche.

Śpiewkę Jonka przełożył tłumacz, jak następuje:

In der Stadt gibts Wunderdinge,
Man nennt diese Welt gelehrt,
Doch ich grader Junge singe,
Diese Welt ist ganz verkehrt.
Abends ist das Mittagsessen,
Wenn die Sonne untergeht
Puppen sieht man auf den Gassen,
Blasse Häringe im Bett.

Szkoda, że tłumaczenie to *Krakowiaków* zaginęło.

Miedzy poezjami wyróżnia się jego ballada o 210 wierszach p. t.: *Roman und Minwana*, drukowana 31 stycznia 1824 w piśmie *Mnemosyne*. Za osnowę poezyi wziął Maryę Komorowską, wyprzedził zatem rokiem pojawienie się *Maryi* Malczewskiego. Czyżby się dwaj poeci znali z sobą, czy przypadkiem jednocześnie z jednego czerpali źródła? O tłumaczeniu Mickiewicza *Świtezianki* w r. 1824 donosi *Monitor Warszawski*, o przekładzie komedyi *Zrzędnosc i przekora* pisze *Dziennik Wileński* 1825 r.

Drugim synem Franciszka był Leon Pol. Temu nie szła nauka do głowy, więc skrzypeczki wziął ojcowskie w spuściznie, i poszedł w świat, aby ludziom wygrywać tak, jak go poduczał Karol Lipiński. Ożenił się był z starszą od siebie, bo blisko pięćdziesięcioletnią siostrą cioteczną, wdową, Antoniną Jabłońską z domu Pique, i osiadł w zaborze rossyjskim. Ale że się charaktery nie nadały a nie było do małżeństwa uzyskanej dyspensy, więc łatwo było wyrobić sobie w sądzie szlacheckim unieważnienie małżeństwa. Ożenił się powtórnie z wdową, Franciszką ze Skibińskich Petrykowską, w r. 1842, która oddawszy dobra swe córce Małachowskiej,

osiadła w domu swym w Krzemieńcu. Leon nie przeżył żony. Dzieci nie było z tego podwójnego związku.

Po Leonie szła Zofia, osoba rozległego wykształcenia. Właściwie kilkoma językami, biegłą była pianistką. Gdy ojciec zmarł, wyjechała do krajów zabranych jako guwernantka. Była aniołem opiekuńczym całego rodzeństwa. U Sierakowskich poznała się z Teodozym Bułharowskim, profesorem logiki w Kamieńcu. Był to człowiek już niemłody, lecz, jak to mówią, dobra partya. Jako profesor logiki pobierał 400 dukatów płacy; oprócz korrepetycyi miał majątku swego 3000 dukatów. Zakochawszy się w niej, uczynił jej zapis i sprawił całą wyprawę, zgodził się, aby siostrę Wiktoryę utrzymywała przy sobie i matkę wzięła na zimę. Ślub odbył się w dzień św. Piotra 1828 r. Nowożeńiec podobno nie był bardzo powabny. Wyróżniał się naroślą na czole, którą, żeniąc się, kazał wyciąć sobie. Ztąd Antoni Jabłoński, ojciec, nazwał go *ex-gulką*, która to nazwa utrzymała się w rodzinie.

Kiedy w sierpniu 1830 bawili młodzi małżonkowie w Mostkach, przedstawiali obraz szczęśliwego małżeństwa. Antonina Ziętkiewiczówna pisze o nich do Jochera: „Znasz tych biednych dzieci (Polów), okoliczności i powód ich nieszczęścia, który zawsze jest jednakowy. Zofia teraz miejsce matki im zastępuje, która także w świat pójść musiała. Bóg jej nagroził dobrym mężem. Była tu z mężem teraz i z Wikcją, którą edukuje jak własną córkę. Dobrze ją prowadzi. Męża ma najpocziwszego. Zupełnie mi ciebie najlepszy Adasiu przypomniął, figurą, mową, wzrostem, łagodnością, delikatnością, charakterem najpocziwszym; włosy nawet nosi tak jak ty. Ile byłam szczęśliwą w ten dzień, com go widziała! Nawet nazywałam go Adasiem“.

Tak było w r. 1830, lecz w następny po rewolucyi mąż postradał posadę. Zalecał go kuzyn, Puzdrowski Ignacy, (ożeniony z Ziętkiewiczówną, córką Ignacego a wnuczką Adama) do hetmanowej Branickiej, aby mu wyrobiła posadę w Wydziale naukowym, lecz rzecz szła oporem. Do niepowodzeń tych przyłączyło się i to, że mąż stary, srodze zazdrośny był o młodą żonę, przytem skąpy i nudziarz. Taiła Zofia przed rodziną długi czas niepokoje domowe, lecz gdy te przebrały miarę, rozwiodła się z mężem w roku 1834. Wyszła powtórnie za mąż za Franciszka Ławrynowicza, lekarza z Odessy, wdowca, ojca trzech synów i dwóch córek. Jakkolwiek wiodła mu się praktyka, nie mógł wytrzymać pod uciskiem, czy też uległ za drugimi chorobie emigracyjnej. Wyjechał na czas pewien do Galicyi, a synów oddał w Poznańskie. Córkę jedną, Łucyę,

wydał za lekarza, Korsaka, w Kamieńcu, a sam wyniósł się do Francyi, potem do Algieru. Za nim podążyła Zofia. Wincenty Pol wyprawił ją w r. 1847 z Berlina wraz z pasierbami. Nie zagrzeali tu miejsca. Szukał Ławrynowicz szczęścia w Ameryce, a jednego syna, Mieczysława, pozostawił w Poznańskim. Ten zmarł wkrótce wskutek ran odniesionych w powstaniu pod wodzą Mierosławskiego. W Ameryce nie lepiej szło. Zmarł Ławrynowicz i dwaj synowie jego na żółtą febrę. Została więc Zofia z cudownie piękną pasierbicą Rozyną, osamotniona i bez utrzymania. Wypadło wracać do Galicyi. Na wsiadanem w hotelu przy obiedzie poznał je bogaty kupiec, Szwajcar, Sturzneger, mający domy handlowe w Szwajcaryi i Ameryce. W parę dni oświadczył się i wkrótce ożenił się z Rozyną. Osiedli wszyscy w Szwajcaryi. W r. 1858 Zofia zjechała do Lwowa do brata Wincentego i mieszkała do r. 1861. Pod onę porę umieściła r. 1860 w *Czytelnicy dla Młodzieży* artykuł p. t. *Niewiasta*. Wróciła napowrót do Zurichu do pasierbicy. Tymczasem Sturznegerowie strwonili majątek i wrócili z Zofią do Ameryki. Tutaj do reszty utracili mienie. Rozyna umarła w niedostatku w r. 1872 a po niej mąż wkrótce. Została Zofia z małą dziatwą Rozyny. Działwę zabrała familia do Szwajcaryi. Zofia złamana nędzą, straciła pamięć, zdzieciniała — i oddana do domu przytułku dla starców, zgasła przed laty kilku w Nowym Orleanie w Luizjanie.

Trzeciem dzieckiem Polów był Wincenty, poeta. Chrzest otrzymał dnia 2 maja 1807 roku w katedrze lubelskiej. Do gimnazyum uczęszczał we Lwowie. Po zgonie ojca i rychłem zejściu brata Franciszka nie było komu dopilnować nauki. Gdy w r. 1823 nie szło dobrze na wydziale filozoficznym, oddano go na rok do Tarnopola, ztamtąd wrócił do Lwowa. Jak mu się wiodło, wyłuszczyć rzecz szczegółowo na innem miejscu.

Czwarty syn Polów, Józef, gorącego był ducha. Zaledwie w młodzieńcze porósł pierze, jeszcze dzieciak, wyruszył w r. 1831 na wojaczkę do Zamościa. Tu byłby zginął od trudów, lecz go uratował Stanisław Niezabitowski. Kończył on chirurgię we Lwowie. Następnie wyjechał do Wirzburga z ułomnym Towarnickim, którym miał się opiekować podczas jego kuracyi w ortopedycznym zakładzie. Tutaj kończył medycynę, do czego w r. 1841 dopomogli mu funduszami matka, brat Wincenty i Ziętkiewiczze z Mostek. Za granicą ożenił się z Niemką Netti, kobietą wielkiej zamości. Niemczyzna ocaliła Józefa w roku 1846 od śmierci, gdy bowiem będąc lekarzem w Krośnie, schronił się do Polanki Trzecieckiego, tam chłopci w czasie rzezi napadli na dwór i rzucili się na Józefa z pał-

kami. Zależniona małżonka padła na kolana i głośno ją odmawiać modlitwy po niemiecku. Chłopi, słysząc język niemiecki, puścili Józefa. Taki był wpływ urzędowego języka na chłopów. Później umieścił go książę Sanguszek w Sławucie jako lekarza, tam umarł na cholerę w r. 1848. Netti wyjechała z dwiema córkami i synem do Wirzburga. Tutaj poszła za mąż za swego krewnego, który także umarł, zapisawszy jej znaczny majątek.

Wiktorya Ewa, najmłodsze dziecko, wychowywała się przy siostrze swej Zofii, która obchodziła się z nią jak z własną córką. Później przeniosła się do matki. W liście z r. 1836 pisze Antonina do Jochera: „Józio uczy się doktoryi. Wiktusia bawi przy matce, czeka swego przeznaczenia“. I doczekała się. Bóg nie opuszcza sieroty. Wyszła za mąż za swego brata wujecznego, Wincentego Lonchana, który w r. 1846 był sekretarzem księcia Sanguszki w Tarnowie. W ruchach 1846 r. uwięziony, w roku 1848 amnetyowany, następnie komornik pograniczny we Lwowie, a nakoniec notaryusz w Przemyślu, tutaj umiera d. 18 stycznia r. b. w wieku lat 73.

. Niechaj to nikogo nie gorszy, że rozpisuję się o ludziach, którzy nie wywierali wpływu na kraj, nie zajaśnili niczem. Nie czynię to pierwszy i nie ostatni. Skoro bowiem dzisiejsi heraldycy notują skrzętnie rodowody najobojętniejsze, czasem osób wstrętnych, jeżeli nie pomijają i dzieci w kolebce, pisząc imiona ich z pełnemi tytułami, to tem bardziej wolno mi zwracać uwagę na rozrost tych rodzin, których choćby jeden członek zaszczyt przyniósł krajowi. Jeżeli chlubą narodu jest poeta, chlubą jest i ród jego, który go wydał, bo tylko dobre drzewo, dobry owoc wydaje. Przyjaciół poety jest razem przyjacielem familii, inaczej być nie może. Dlatego z zamiłowaniem zwracam uwagę na rodzinę Wincentego i na całe jego otoczenie. Poznawszy jedno i drugie, możemy nabrać wyobrażenia, o ile wpłynęło dodatnio na rozwój jego wyobrażeń, kierunek natchnień poetyckich i wyrobienie uczuć.

Rodziną, która Wincentemu udzielała opieki, była rozgałęziona i zamożna familia Ziętkiewiczów. Ta rodzina tworzyła ówczas dwa domy. Wincenty Ziętkiewicz mieszkał we Lwowie, posiadał kilka kamienic i dobra Kalników. Wybudował on we Lwowie strzelnicę z salą balową i podarował ją municypalnemu korpusowi strzeleckiemu, którego był kapitanem. Znano jego zasobną piwnicę ze stuletniem winem; przechowywał familijny starodawny ołtarz srebrny. W rodzinie tej zawsze syn najstarszy zostawał aptekarzem, a tak byli Ziętkiewiczowie dumni ze swego mieszczaństwa, że gdy mu gubernator chciał wyjednać szlachectwo za dar strzelnicy, odparł:

— Moje stare mieszczaństwo więcej warte niż nowe szlachectwo.

Ziętkiewicz posiadał liczny zbiór dokumentów z XVII i XVIII wieku, testamenta, intercyzy, działy majątkowe, fundacye; wszystko to odnosiło się do rozgałęzionego rodu. Umarł w czerwcu 1836 r., pozostawiwszy mienie mocno nadszarpane. Wincenty Pol domownikiem bywał tutaj, i często przezierał papiery familijne, które go wtajemniczały w stosunki rodzin polskich.

Józef Ziętkiewicz miał dobra Mostki pod Lwowem. U niego dochował się starodawny portret antenata z XVI wieku, z czasów zawiązania oficyny aptekarskiej. Na portrecie tym znajdowało się też samo godło, które do dziś dnia zdobi aptekę Ziętkiewiczów. I mieszczaństwo umie chlubić się przeszłością. Natura ludzka wszędzie jest jednaką.

Matka Józefa Ziętkiewicza jako Mersenianka z domu, była ciotką Eleonory Polowej, matki Wincentego. Ztąd rósł ścisły związek dwóch rodzin.

Józef Ziętkiewicz był pierwotnie kupcem bławatnym i właścicielem kamienicy we Lwowie, lecz już w r. 1814 czy 1815 zwinął sklep i przeniósł się do Mostek. Gorący patryota, gościnny, z wylanem sercem dla każdego, podejmował po staropolsku całą rodzinę swoją, zubożałych przytulał do siebie najserdeczniej. Tutaj przebywali starzy Polowie bardzo często. Pol, ojciec, brał udział w muzykalnych producyach, a zarazem uczył dziewczęta Ziętkiewiczów po francusku, który to język znał gruntownie. Ziętkiewicz i Pol byli członkami loży wolno-mularskiej, czego pamiątki pozostały w rodzinie.

Ziętkiewicza dom prawdziwie był patryarchalny. Jakby wizerunek zdjęty z wieku zeszłego. Rano i wieczór szedł po bożemu. Pospólnie rodzina cała i wszystka czeladź odmawiali nowennę do Najśw. Maryi Niepokalanie poczętej; odczytywano stacye męki Pańskiej. Odprawiano je klęcząc, zaś passye odczytywano stojąc. Wincenty, ilekroć bawił w Mostkach, przepowiadał im modlitwy.

Wincenty zabawiał rodzinę porą jesienną. Umiejąc Mickiewicza prawie całego na pamięć, deklamował go rodzinie zgromadzonej w pokoju kominkowym. Kominek zmurowano według jego instrukcyi, rozpalano na nim ogień, a po zgaszeniu świec, w pomroce, wyłaniała się deklamacya.

Latem urządził wycieczki do lasu. Tam rozniecano ognisko, bawiono się, przeplatając rozrywkę deklamacyą z Mickiewicza. Tak więc za wpływem poety, królował mistrz poezyi w murach, po ła-

nach i po lasach okolicy Mostek. Pięknie się bawiono, bo duch rósł, rosła i miłość tego, co naszym ideałem być powinno.

Dwór w Mostkach miał fizyonomię staroświecką. Koło domu ośm świerków wychylało czoła ku niebu, jak opowiada Wincenty :

W milej ustroni położonej włości,
Gdzie osiem świerków obciążonych laty
Patrzac na milę w sąsiednie powiaty,
Zdała witają spieszących gości.

Aleja lipowa wiodła do dworu, a otaczająca dwór fosa, woda wypełniona, broniła przystępu. W środku fosy widniała mała kępa. Stary Pol, wielbiciel Napoleona, nazwał ją Elbą i ztąd utrzymywała się nazwa, mimo oporu dziedzica, który Napoleona nie lubił.

W latach przed i po roku 1831 dwór w Mostkach był ogniskiem ruchu patryotycznego. Tam dowiadywano się najpierw, co się za kordonem dzieje, i tam zapał listopadowy gorzał najszlachetniej. Zbrojono, strojono i błogosławiono na drogę młodych entuzyastów, a po klęskach [kojono żal i wysyłano za granicę nieszczęśliwych. W lecie 1832 r. bawił tu pomiędzy innymi Wiktor Zienkiewicz przez kilka tygodni, poczem wyprawiono go do Francyi. Wiktor Zienkiewicz tak zapamiętał gościnność Ziętkiewiczów, że dorobiwszy się znacznej fortuny jako inżynier w Medyolanie, poszukiwał w r. 1879 rodziny Ziętkiewiczów, przysłał 100 marek na zakupno dzieł popularnych dla szkół ludowych w okolicy Mostek i zaprenumerował *Towarzysza pilnych dzieci* dla szkoły tamtejszej.

Małżonka Józefa Ziętkiewicza, Nieszkorowska Marya, kobieta rżądna i energiczna, kierowała domem. Matka jej, stuletnia staruszka, ociemniała, Katarzyna Nieszkorowska, mieszkała we Lwowie. U niej przebywał często Wincenty Pol, słuchając opowiadań o jej mężu konfederacie barskim, o Targowicy i o stratach fortuny męża. Umarła r. 1825.

Ziętkiewicz Józef miał cztery córki. Antonina najstarsza, była to osoba tkliwego serca, myśląca poważnie, szlachetna i wielce ujmująca prostotą a szczerością swoją. Tak przynajmniej maluje się jej piękny obraz z listów jej do Joehera, który chciał się z nią żenić, ale odmówiła z powodu bliskiego krewieństwa. Antonina była wyższego na świat poglądu i jak inne siostry literacko wykształcona. Przez wiele lat starał się o nią kupiec Gołębski, prawy i uczciwy, ale niedosięgający jej umysłowości. Gdy odmówiła mu, ponownie konkurował po dorobieniu się majątku, po zwinięciu handlu i po nabyciu pięknej wsi, ale i tym razem bez skutku. Konkury

trwały długo, panna tymczasem się podstarzała. Zajął się nią wówczas kuzyn jej, Franciszek Lonchamps. Byli w równym wieku, usposobieniami i charakterem podobni do siebie. Pobrali się i wyjechała z nim do Sącza.

Za posag żony kupił wieś Świdnik. Gdy dzieci dorosły, sprzedał majątek i cenę kupna rozdzielił między dzieci. Syn Stanisław miał sklep żelazny w Samborze i tam zmarł. Córka Amalia poszła za aptekarza w Gródku, Aleksandra Tomaszewskiego. Ci dorobili się majątku. Amalia, wierna tradycji rodziny Ziętkiewiczów, miłowała poezję, wielbiła Wincentego. Popróbowwała uprawy niwy poetyckiej, a próba wydała wdzięczne owoce. Jakże zgrabny jest wierszyk jej pod tytułem *Nie kochaj* w roku 1878 Januaremu Pożniakowi udzielony.

Nie kochaj! bo miłość różą,
W pogodny patrzy świat —
Gdy losy burze wywrózą —
Róża się złęknie przed burzą...
I straci woń i kwiat.

Nie kochaj! W zacisznej chacie
Spokojny żywot twój —
W wiosennej, ułudnej szacie.
Miłość się jawi w twej chacie,
A z nią i cierpień rój.

Nie kochaj! Prawda, śnić miło,
A miłość jest pięknym snem;
Lecz gdy w najlepsze się śniło,
Jakżeż się zbudzić nie miło,
Pogodzić z dawnym złem!

Nie kochaj! Zdrowe masz serce
I czerstwą myśl i dłoń,
Myślą godź braci w rozterce,
Sercem za dobre płać serce,
A dłońią kraju broń!

Franciszek Lonszan żyje dotąd, ma lat 83. Żona jego, Antonina, umarła na suchoty.

Druga córka Ziętkiewiczów, Urszula, słabowita, jeździła często do Lubienia na kurację. W niej się kochał Franciszek Pol i miał się żenić w r. 1828. Śmierć jego złamała życie i humor dziewczęcia.

Rzewnie odczuł poeta tę cichą boleść za utraconem szczęściem, tem dotkliwszą, że młodzian padł ofiarą szlachetnego serca. Pielęgnował bowiem chorych Ziętkiewiczów i od nich tyfusem się

zaraził. Wincenty kochając brata, i w Urszuli siostrę ukochaną widząc, ułożył z ich przygody rzewną piosenkę w formie gminnej, pod tytułem *Urszula*.

W pańskim sadzie jest taki krzew młody,
Co ku fałom swe gałązki miecie,
Jakby pragnął wypatrzeć w nich kwiecie,
Które dawno wpadło już do wody!

W pańskim dworze jest i panna taka,
Którą duszy nie już nie ocuci;
Wiecznie niema, martwa i jednaka,
W nocy płacze a we dnie się smuci.

Bywał niegdyś panicz w naszym dworze,
Bawił nieraz po kilka miesięcy;
Dzisiaj smutno w panieńskiej komorze,
Bo nie ujrzy już go nikt tu więcej!

Bywał, bywał panicz w naszym dworze,
Pokochała go panienka młoda,
Bo był piękny, jak poranne zorze,
A tak dobry jak żrała jagoda.

Zawsze raczył najpierwsze kosarze,
Zawsze witał w polu pierwsze żęńce,
Na obrzynkach stawał nieraz w parze
I częstował i odbierał wieńce.

Dobłą przyszłość tuszyła gromada,
Poważali go wielce sąsiady,
Panna była z jego duszy rada.
Stary ojciec był ze statku rady.

Raz ostatni — tak się zdało Bogu!
Przybył nocą po zbyt wielkim trudzie
I już więcej nie przestąpił progu —
Już go z dworu w trumnie nieśli ludzie.

Dzwony głoszą wiosce stratę pewną,
Płacz się rozległ przez wiejskie zagony,
Ach, dziś jeszcze, jakąś myślą rzewną
Zdjęta dusza, gdy uderzą w dzwony.

I za lasem mogiłę wzniesiono,
I za lasem rośnie topól cztery,
I za lasem czarny krzyż utkwiono
Opisany złotemi litery.

Lecz już liter nikt dziś nie wyczyta,
Grób się zapadł, obrosły go zioła,
Smukła topól już wiatr górny chwyta
Ach i wszystko cicho tam dokoła!

Gdyba ptaszek czasem tam przebywa,
Pędząc światem swoje dni tułacze
I na krzyżu jakąś piosnkę śpiewa...
Ach, a panna płakała — i płacze!

Wilno, w październiku 1830.

Trzecia siostra, Aniela, żywa, roztropna, usposobienia wesołutkiego, roztrzepana. Umiiała ona poważnego Jochera przy grach rozruszać, a co większa tak go figlami ująć, że aż uczona powaga zdobyła się na wierszyk do niej, nie tęgi wprawdzie, ale zawsze ujęty w rymy. Poczeiwy Jocher nieraz jej się po odjeździe przypominał — nawet kiedy jej się stary doktor Reichel nawinał, wybiła go paluszkami po jego kościstych palcach za to, że jej w wisku śmiał króla zabić. Spostrzegła się rychło, że to nie palce Jochera, bo ją od kości eskulapowskich zabolalo, ale nie było przeprosin, tylko doktor uśmieł się z pomyłki, co niemiara. Po latach r. 1831 posmutniała i spoważniała. Dzisiaj staruszka przeszło 70 letnia, małżonka Ludwika Cieleckiego, przechowała z całą żywością lat młodych miłość dla ojczyzny. Ona to dawnemu znajomemu z Mostek, Sewerynowi Goszczyńskiemu, zamknęła oczy, pielęgnując go w chorobie. Do niej zapewne odnosi się wierszyk Wincentego Pola, który ją jak siostrę swoją kochał.

Luba zdradziła serce wiarołomnie,
Rozpacz zatrula moje lata młode,
Z bólu pobiegłem nad bieżącą wodę,
A woda biegła koło mnie.

Tutaj w rozpacz nachyliłem czoła;
W głowie straszliwe czułem odurzenia,
I prawie byłbym wleciał do strumienia,
Tak świat mi chodził do koła.

Wtem jedną razą z nadbrzeżnej opoki,
Gdzie do strumienia leciał potok rzutki
Ozwał się do mnie głoszeczek milutki:
„Strzeż się, bo strumień głęboki!”

Coś mnie przejęło na wskrós w całym cielesie,
Spojrzę, a piękność zobaczywszy wielką

Jakże cię zowią? pytałem — „Anielką!“
Ach, jakżeś dobra, Aniele!

Tyś mnie wstrzymała, ocalony tobą,
Wdzięczność winienem w mojem życiu całym.
Lecz życie samo darem dla mnie małym
Bądź także życia ozdoba!

Tu wyruszałem moich skarg tysięcy —
Spuściła oczy miłosnym zwyczajem,
Dałem całuska, odebrałem wzajem,
I — o topieniu nie więcej.

Wincenty, wyjeżdżając z Mostek 1830 r., napisał Anieli Ziętkiewiczówny te wiersze na przedartej karteczce:

W tej karcie znajdziesz naszych serc obrazy —
Równie jak ona będą kiedyś starte!
Równie jak ona czyste i bez skazy,
Ach, i bez winy — od losu rozdarte!

Czwarta córka Ziętkiewiczów, Agnieszka, pieszczona Agnes, Jagusia, Jadzia, bardzo muzykalna, wspólnie z Anielą dobierały muzykę do piosenek Wincentego Pola i Januarego Poźniaka. Obie dwie Wincenty serdecznie jak siostry polubił. Czytywali wiele wspólnie i razem kształcili serce. Kiedy miał Wincenty Pol wrócić w roku 1832 do Mostek, przysłał w liście piosenkę: „Leci liście z drzewa, co wyrosło wolne“, prosząc, by do niej dorobiono muzykę jak najsmutniejszą. Żmudzin, emigrant, który to przywiózł, umiał jakąś żmudzką piosenkę. Z tej nutę zastosowały dziewczęta do pieśni Pola i nuta utrzymała się. Następnie przysłał Wincenty pieśń: „Grzmia pod Stoczkiem armaty“. Do niej dorobił nutę Kapliński, dzierżawca Glinny, wioski koło Nawaryi, i pieśń ta rozbiegła się od razu po całej okolicy. Jagusia miała talent dramatyczny. Kiedy na św. Agnieszkę grano w Horbachach teatr amatorski roku 1827, produkowała się bardzo zręcznie w roli ciotki.

Wincenty Pol w Wilnie bawiąc, tęsknił za domowem szczęściem pośród sióstr w Mostkach, o nich to myślał, gdy pisał pieśń gminną, którą możnaby nazwać *Goście*, a którą poeta nazwał w brulionie *Jadzia*.

Ja widziałem moja matko droga,
Ja widziałam przez okienko wczora
Naszą pannę, jak biedna nieboga
Dać se rady nie mogła z wieczora.

Jak chodziła długo po komnacie,
Potem nagle na łożo upadła,
Potem wstała i jakby po stracie
Opuściła główkę i pobladła.

Jak roboty brała i rzucała,
Bo jej robić nie dawało czucie
I w zwierciadle swe oczy skąpała
I poczęła piosnkę w smutnej nucie.

Lecz i piosnka nie chciała posłużyć
Ach, cóż począć, serce nie wydola!
Sama jeła sobie z kwiatka wróżyć,
Obrywając listeczki dokoła.

I krzyknęła, bo wyszło do razu:
„Ach przyjdzie! stało do rachuby,
I błękitny był ów kwiatek luby
I milutki i pełen wyrazu“.

Panna w śliczne uderzyła dłonie.
A gościńcem kolaseczka jedzie,
I na moście zatętniły konie,
I wysiedli, a pierwszy ich wiedzie.

Trzech ich było, jeden był układny,
Drugi, jakieś niby miłe panie,
Trzeci, rosły, rumiany i ładny,
Czój, czy pannom w sercu nie zostanie!

Sama pani wita mile gości
I kolejno sadza przy kominku.
„Czemże służyć pozwolą ichmoście?
Czy żądają jadła, czy spoczynku?“

Wraz wyniosła jadło dworska służba;
Lecz nie jedli — bo czekali społem,
Rychło klamką brząknie dobra wróżba.
Rychło wyjdą panny z jasnem czołem.

A panienki tymczasem w pokoju
To szeptały, to z cicha się śmiały,
Poprawiwszy i włosów i stroju,
To szły ku drzwiom, to znów się wracały.

Aż gdy matka zawołała na nie:
„Przecież gości powitać się godzi“,
Wyszły razem nasze jasne panie
A z siedzenia porwali się młodzi.

I do późna państwo się bawiło
 Przy wieczerzy w malowanej sali,
 I do późna z okien światło biło,
 I do późna śpiewali i grali.

Dzisiaj z cerkwi, gdy wrócili rano,
 Już stawniczy wygotował łodzie,
 A na kępie duży stół zadano,
 I panienki śpiewały na wodzie.

Szczęśliwe życie tej zacnej rodziny rozwiało się z r. 1835. Śmierć Józefa Ziętkiewicza opisuje strapiona żona do Jochera następującemi słowy: „Na Wielkanoc kochana nasza p. Kopystyńska z dziatwą nas odwiedziła, a że więcej nikogo nie było tylko Józio Poll, który się uczy chirurgii, więc się dzieci przebierały. bawiły jak mogły, mąż mój był wesoły, śmiał się, całował każde po kolei — o jedenaściej poszedł spać wesoło. Taki był miły, uśmiechający, zdało się, że ta noc będzie najlepsza dla niego. Po pierwszej obudził służącą, aby Józia do niego prosiła, ale żeby Jejmość nie wiedziała. Przyszedł Józio, widzi że to astma, kazał zbudzić Jagusię. Obie z Anielką przybiegły, na co ja się zbudziła; schodzę, wszystko co w takim razie doktor ordynował, robiło się; ogrzewania, proszki, ziółka, synapisma. W nocy o drugiej po doktora się posłało. Wołał księdza, Januarego, w piersi się bił. Trzymałam mu głowę z poduszczką wyżej, żeby go tak nie dusiło. W tem zaczął się wyciągać, oczy i usta zamknął, żem głowy utrzymać nie mogła i już ducha nie było. Jak sprawiedliwie żył, tak i skończył, bez westchnienia, w momencie. Widzę, że czoło zimne i pot zimny, otworzywszy, zaczęłam dmuchać, myśląc, że przyjdzie do siebie, nie — już nie było znaku życia...”

Józef rozporządził majątkiem; żonie odstąpił Mostki z obowiązkiem spłacania dzieci. Gdy nie było komu gospodarzyć, sprzedano Mostki w roku 1847 pani Mikołajowej Szolańskiej za 65.000 złk. Dziś one warte drugie tyle. Tak przeszły znaczne fortuny w obu liniach zamożnej niegdyś rodziny Ziętkiewiczów. Józefowa Ziętkiewiczowa żyła jeszcze do roku 1863 i umarła przy córce swej Poźniakowej licząc coś około 90 lat.

Siostra Wincentego Ziętkiewicza poszła za Kaspra Huppena. Ci posiadali w Żółkiewskim wieś Rykliniec, a sami mieszkali we Lwowie. Brat Kaspra Adam, sztuka zawadyacka, ruszył na wojenkę już w 15 roku życia, bił się za Kościuszki, w legionach i pod Napoleonem, któremu towarzyszył na Elbę. Wrócił jako pułkownik z piersią okrytą ranami i orderami. Cesarz Aleksander I odmówił

mu pozwolenia powrotu do kraju, mimo że pochodził z Warszawy. Nim odjechał do Francji, przebywał długi czas u brata, a Wincenty Pol był najpilniejszym słuchaczem jego opowieści.

Do rodziny Polów, jak już mówiłem, należeli Lonchanowie. Aleksander, lekarz we Lwowie, był bratem Eleonory Polowej. Miał synów bliźniaków, Wincentego i Bogusława. Ci ukończyli w r. 1826 wydział filozoficzny we Lwowie. Dwa lata dalsze pauzowali. Na jesień 1828 pojechali do Pragi. Wincenty słuchał prawa, a Bogusław medycyny. Tu poznali się z Niewiarowiczem i rozprawiali mu o talencie poetyckim Pola, pomimo że ten dopiero później jako poeta zasłynął. W r. 1831 poszli na wojnę. W r. 1832 kończyli studia w Pradze i wrócili do Lwowa. Nie chwyтали się rzemiosła autorskiego, ale gorąco garnęli się do literackiego świata. Dlatego to od początku r. 1828 Lonszany, Wincenty Pol, January Poźniak, Stanisław Pilat, Bazyli Lewicki i Antoni Jabłoński ojciec, tworzyli nierozzerwaną spółkę. Pol kochał Lonszanów jak braci swoich, schodzili się codziennie prawie, to u wdowy Lonszanowej, Rudniekiej z domu, to zjeżdżali do Mostek, to bywali u pani Olszewskiej wdowy.

Jeszcze jedna odrośl rodziny, która z Wincentym Polem w zażyłych stała stosunkach. Byli to Jocherowie. Leonard Jocher, kupiec, odziedziczywszy w roku 1789 sukcesyją w Wilnie po bracie swoim Benedyckie, wyjechał ze Lwowa, pozostawiwszy handel żelazny Józefowi Ziętkiewiczowi w administracyę, a to w moc transakcyi z dnia 8 kwietnia 1790 roku. Tak więc Jocherowie porzucili gniazdo ojcyste. Jocherowa owdowiawszy, wychowywała synów Józefa i Adama. Pierwszy kształcił się w Lipsku, drugi w Wilnie. Ten był filologiem z powołania a później stał się bibliografem, oddając literaturze niespożytą przysługę. Ziętkiewicz zawiadywał kamienicą Jocherów, miał rachunki ze sklepu i ciężący proces ze spadkobiercami Karola Schraufferta — należało więc raz uregulować familijne rachunki. W tym celu wysłała Jocherowa syna swego Adama do Galicji.

Adam zjechał do Mostek w końcu maja 1826 r. i bawił do końca lipca. Przyjęty serdecznie przez Wincentego Ziętkiewicza i jego czterech synów, przez Józefa Ziętkiewicza i jego cztery uroczne córki, rozruszał się w familijnem gronie. Przybył on w dni kilka po zgonie Franciszka Pola syna, ciężki zastał smutek, lecz rozproszyło go usposobienie wesołe młodzieży. Jedna Urszula nie rzuciła żałoby. Bo też ludno i gwarno bywało w Mostkach. Bawiono się i bawili tu goście, mijając się kolejno. Więc przesiadywała wdowa

Hallerowa, siostra Wincentego Ziętkiewicza, i córka jej Aniela Kłopotowska, szwagrowie Kasper Huppen i Korzeniowski, Pelagia Gautierówna, osoba wysoce wykształcona, krewniaczka Antonina z Witkowskich Dąbczeska, sąsiedzi Kopestyński Antoni i Agnieszka, stara Duniewiczowa Zofia, co przy każdej okazji opowiadała o czasy Kościuszkowskich i zajęciu Galicyi przez Austryaków. Dosia-
dywał także sekretarz Ignacy Puzdrowski, który w r. 1828 ożenił się był z córką Ignacego Ziętkiewicza.

Do towarzystwa należeli Ząbeccy. Ona Czerwonkówna szlachcianka, choć żona ekonoma, była poufałą w towarzystwie dzieci-
dziejów. On, acz ekonom, dobrze traktowany, bo gospodarzył zna-
komicie. Że tam coś na bok odkładał dla siebie, na to patrzano
przez szpary, a jak mu Ziętkiewicz uczynił uwagę: „Ale Ząbesiu
kradniesz mnie“, on odparł: „Prawda, ale gospodarzę dobrze, że
i pan masz i ja mam“.

W taki dom dostał się Adam Jocher. Było tam wiele dawnego
dostatku i wydatku; życie na dzisiaj bez troski o jutro. Kto raz
w ten wir wpadł, wirował z drugimi, bawił się i o nic nie trosz-
czył. Podobało się to życie Jocherowi, podobała się szczerłość ro-
dziny, a co się tyczy interesu pieniężnego, ten poszedł bezspornie.
Wypłacił Ziętkiewicz 350 dukatów a drugie tyle pozostał dłużny.
Od tego płacono mu procent przez dom Hausnera. Spłata trwała
długo, bo Ziętkiewiczowi nie wiodło się na wsi, a kiedy Jocher
ożeniwszy się w r. 1828 upominał się o kapitał, otrzymał odpowiedź
raz, że nieurodzaj, to znów że zbyt urodzaj, a wreszcie po roku
1839 wychodźca Michał Czacki z Boreml tak Mostki dzierżawą
zrujnował, że stał się powodem upadku fortuny Ziętkiewiczów. To
jednakże nie zachwiało serdecznych związków z Jocherami. Jocher
całym sercem przylgnął do sióstr. Wesoły, delikatny i swobodny,
pokochał je i dochował im przyjaźni na długie lata. Odjeżdżając,
ofiarował najweselszej Anieli wiersz swojej fabryki. Zobaczmy jak
to wyglądają rymy ciężkiego wagomiaru, rymy bibliograficzne ba-
dacza Pelargów na ziemi polskiej.

Cna niebios córo, człeka pociecho!
Godów mistrzyni, myśli wesoła!
Żyj swobodna pod tą wiejską strzechą
Żyj tu do koła!

Na miłych czole żyj nieskalana,
Pędź szybkim skrzydłem trosków pomroki,
Ucz społem z wiarą cześć niebios Pana
Święte wyroki!

Usposób człeka do tej krainy,
Gdzie się duch jego wiecznie weseli,
Gdzie mają swoje błogie dziedziny

Święci anieli.

Niebian tych stań się Anielo godna,
Podziel ich enoty, szczęścia, wesela,
Imieniu swemu bądź nieodrodna,

Zawsze Aniela!

Wesołe myśli niech żyją w tobie,
U stołuc siedzą, twe łoża ścielą,
Być w życia każdej można rzec dobie :

Zawsześ Aniela!

Do liczego grona rodziny zaliczał się Antoni Jabłoński, wnuk Katarzyny z Lonszanów Pikowej, siostry Eleonory Polowej. Był to poeta w życiu i w piórze. Szkoda, że niestatek i niedostatek nie dozwoliły rozwinąć się zdolnościom jego. Przyjaźnił się wielce z Wincentym Polem. Pisywał z wielką łatwością wiersze roman-sowe i satyryczne, pięknie rysował i malował i pysznie deklamował ballady i ustępy *Dziadów* Mickiewicza. A że był i młody i żywy i poetyczny, więc co kilka tygodni wynajdywał sobie coraz inny ideał, w którym kochał się na zabój. Ideały odwiodły go od pracy, nie umiał szanować grosza, więc kiedy bieda, to do Mostek. Tam przesiadywał tygodniami, aż póki matka jego, która w zaborze rosyjskim trudniła się dawaniem lekcyj języków francuskiego i niemieckiego i muzyki, nie zasiliła go groszem. W rewolucyi był podporucznikiem w jeździe Mazurów, poczem wrócił do Galicji i znowu nawiedził Mostki. W końcu wyjechał do matki do krajów zabranych i tam objął posadę guwernera. Tam zmarł, papiery po nim przepadły. Dwie tylko poezijki dochowały się w rękę jego syna Antoniego, który w Kijowie uczęszczał na Uniwersytet, brał udział w wypadkach roku 1863, zakosztował Sybiru, a ztamtąd wydobyty jako obcopoddany, wachmistrzował ułanom galicyjskim, aż ożeniwszy się zakosztował chleba dyurnisty w Złoczowie pod opieką prezydenta Poźniaka, a obecnie pełni służbę przy kolei Czerniowieckiej. Ten także posiada dar szczęśliwego rymowania po rusku i po polsku.

Że Antoni Jabłoński, ojciec, miał talent poetycki, że go zmarnował i że go nie uszanował, zaprzeczyć się nie da. W do-

wód przytaczam obiedwie ocalałe poezyjki jego. Pierwsza poezyjka jest tłumaczeniem z niemieckiego, Beera, pod tytułem *Przędka*:

Na dworze mgła, w komorze mrok,
A prządce nudno prząść:
Bo tęskna łza słoni jej wzrok,
Wrzecziona nie da wziąć.
Przędzie i śni... Przędzę i sny ---
Nić miękką kręci wspak:
„O gdyby to, jak miękkie lny,
Mój duch dał zprząść się tak!
By zprząść się dał jak nitki lnu,
Jak nitka dał się rwać ---
Byłby już spokój w sercu, tu ---
I wiecznie mógłby trwać!
Już by mię z lubym łączył grób,
Kryłby mię grobu cień;
O Boże mój, cud Boże zrób ---
W nić ducha mego zmień!“
Przędzie i śni. Chce wstać, chce sięść ---
Z wrzecziona rwie się nić,
Wycieka z rąk: ustała prząść,
A serce czuć i bić.

Drugi wiersz do L[udwiki] P[uławskiej] jest następujący:

O mój aniele! pójdziem połączeni
Przez świat i życie i jego boleści...

Mickiewicz.

O mój Aniele! wkrótce rozłączeni
Pójdziem przez życie, każde w inną drogę;
Lecz ja bez ciebie w cześciej świata przestrzeni ---
Ja być szczęśliwym bez Ciebie nie mogę.

Więc cię Aniele, do dni moich końca
Dla mnie umarłą, w piersi moich grobie
Piastować będę; z tobą i przy tobie
Czekać zachodu będę mego słońca.

O mój Aniele! dla siebie stworzeni,
Wzajem ku sobie szlemy dusz ramiona;
Konieczność jakaś --- ciemna, niewzruszona,
Chce, byśmy wiecznie byli oddaleni.

A więc mi żegnaj, żegnaj mój Aniele!
Nam nie iść razem, nie wspierać się w życiu.
Tobie ach, tobie, --- inne ścigać cele,
Mnie, kochać ciebie i --- cierpieć w ukryciu.

Tak to w rodzie Lonszanów dochowała się iskra poetyczna, a w życiu coś fantazyi. artyzmu, co wykolejało życie z prawidłowego kierunku. Z rodziny tej pochodziła także aktorka panna Pique (pani Szturmowa), zachwycająca artystka, jeżeli nie najpiękniejsza, to jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie się na scenie polskiej pojawiły. Prawdziwe imponujące zjawisko a obok tego skromność niepospolita. Ojciec jej był teatralnym maszynistą.

III.

S Z K O Ł A.

Rozpowiedziałem o rodzinie Wincentego Pola, aby wskazać, z jakiego gniazda wyszedł. Rodzina jednak nie urabia stanowczo kierunku umysłowego mężczyzny. Działają silniej zewnętrzne wpływy. W rodzinie zaczerpnąć mógł uczuć patriotycznych, swobody myśli, czystości obyczajów, a tem samem i czystości wyobrażeń — ale to jeszcze nie wystarcza. Cóż więcej jeszcze wpływ wywiera? Szkoła i otoczenie po za szkołą i po za familijnem kółkiem.

O szkole nie wiele powiedzieć można. Nauka systematyczna nie licowała z marzeniami fantazyi. Jakże tu deklinować, gdy się deklamować pragnie, jakże się przykuwać do stolika, gdy się chce bujać fantazyą! Próżno tam poecie mówić o nauce. Gdyby choć wierszami odpowiadać było można? Gdzie tam! Były książki i skrypta do nauki dosłownej, na pamięć, mechanicznej. Zapisany w r. 1822 na 1823, zaraz na pierwszym półroczu złożył egzamin z filozofii a przepadł z historyi, więc dalej już nie składał egzaminów. Drugie półrocze zmarnował, nie uczęszczając na wykłady. W r. 1823 na 1824 od października uczęszczał w Tarnopolu na pierwszy rok filozofii. Dłużej nad rok nie przebywał w tem mieście. Od października 1824 roku zjawia się we Lwowie i uczęszcza na drugi rok filozofii prywatnie, co znaczy tyle, jak gdyby nie uczęszczał wcale. Rok cały 1825 pauzuje. Od października r. 1825 jest na drugim roku i składa egzamin z filozofii i greki, lecz dostaje trójkę z fizyki, i znowu drugie półrocze schodzi marnie. Dopiero w r. 1826 składa dobrze egzamin z filozofii, fizyki i greki, za to dostaje dwójkę z religii, lecz ją poprawia. Że początki niepomyślne były we Lwowie, dlatego to kontynuował przez rok naukę w Tarnopolu. Było to po

śmierci ojca. Matka jego rozmiłowana w gospodarce, jeszcze za życia męża swego trzymała w dzierżawie wieś Dobrzany nieopodal od Mostek. Tam przebywał u niej Benedykt Winnicki jako przyjaciel domu i doradzca w gospodarstwie. Na tej dzierżawie straciła. Gdy więc mąż jej umarł, dzierżawę tę opuściła, a Winnicki zabrawszy z sobą Wincentego, wyjechał do Tarnopola. Tutaj utrzymywał studentów na stancyi. Był to typ szlachcica z ośmnastego wieku, wybornie nadający się do postaci, którą po nazwisku wprowadza Pol w swych *Gawędach*.

U Jezuitów wielką miał powagę ksiądz Wincenty Buczyński, który uczył filozofii. Był to gorący patriota i wywierał zbawienny wpływ na młodzież, więc i na Wincentego. Miał się on poznać na darze poetycznym młodzieńca. Bywał też Wincenty u świeckiego księdza, Wiktora Ożarowskiego. O nim wspominał Wincenty z wielką czcią, i że dużo mu wiedzy przysporzył. Za wiele jednak Dzeduszycki i Dębicki przywiązują wagi do wpływu tych mężów na Pola, mianowicie ostatni, który rozwodzi się o Plutarchu i Żywotach Świętych i filozoficznego gruntu chce się dobadać. Pol miał lat 16, gdy dostał się do Tarnopola. Dla czego go tam oddano? Dlatego zapewne, że w domu nie umiano nim kierować, lub też on zawczasie bujał na wolności. Trzeba pamiętać, że uboga wdowa, otoczona liczną rodziną, tylko koniecznością zagnalona być musiała do wysłania syna, i ciągnęła się z ostatniego, byle zmienić miejsce nauki. Oddawano i oddają jeszcze dotąd do szkół jezuickich znaczny procent takiej młodzi, która bądź w szkołach publicznych nie uczy się, bądź w domu karności nie ma. Szkoły te mają, zdaje się, sposoby ugłaskania upornych i niesfornych. Nie ubliża to sławie poety, gdy powiem, że od młodości miał niezależny charakter, swoją fantazyę, swój tryb życia. Tarnopol miał go ująć w karby światowego rygornu. Czy dokazał tego? Bynajmniej. Dziesięć miesięcy nauki szkolnej nie wystarczały. Próba snąć nie skutkowała, skoro go odebrała matka po roku szkolnym. Nie sądzę, aby szesnastoletni młodzian mógł poufalić się czy z Buczyńskim, czy z Ożarowskim, bo ci zawsze uważali go za niedorostka, mogli mu ojcowskie przestrogi dawać, mogli informować. Ale i te przestrogi, informacye i nauki jeszcze, nie skutkowały od razu, co widno z dalszych lat studyów jego uniwersyteckich, skoro to nie uczęszcza do szkoły, to znowu przepada raz po raz w egzaminach. Co najwięcej, wpływ dwóch tych mężów mógł się rozciągać do ugruntowania w nim zasad religijnych, czego tak dalece nie potrzebował, bo zasady te wyniósł z domu Ziętkiewiczów.

Czy wiele istotnie, czy mało zawdzięcza pod względem nauki i wiedzy tym dwóm mężom — o to nie będę zresztą się spierać. Dość, że Pol wspominał ich mile, a tem samem i szkołę tarnopolską zachował w miłym wspomnieniu. Takiego wspomnienia nie przechował o uniwersytecie lwowskim. Najwięcej zajmować go miała katedra literatury polskiej, lecz że literaturę tę sam pilnie badał, nie mógł cenić wykładów. Uczył bowiem od r. 1826 Michalewicz wcale niedbale. Poprzestawał na tem, że powtarzał Pierwsze zasady języka polskiego z książki Mrozińskiego, wydanej w r. 1822. Michalewicz uczniom nie wspomniał, z czego czerpie swą wiedzę uniwersytecką, lecz fortel był daremny, bo Pol jak i inni wykształceńsi uczniowie dawno czytali tę książkę. Wykłady z literatury, ograniczały się na lichych wyciągach z Bentkowskiego, którego również uczniowie znali. Zdawano jednak przed Michalewiczem egzamina, a to tylko przez patryotyzm, aby rząd katedry nie zwinął. Jednemu tylko studentowi imponował erudycją swoją profesor. Był to około 50-letni Tłuchowski, właściciel pensjonatu, który głośno kolegom wychwalał wykłady. Słyszał to Ksawery Krasicki, syn Ksawerego z Liska, młodzieniec wielkiego dowcipu — i raz przed wykładem napisał kredą na tablicy wielkimi głoskami: Wielbi—*ciele* Michalewicza: Tłuchowski etc. Był z tego śmiech powszechny.

Zamiłowanie do historii mógł Pol zawdzięczać Mausowi, który, acz Niemiec, cenił Polaków i wygłaszał zasady sprawiedliwości dla narodów. Biegłym też był Wincenty w dziejach ojczystych, tak, że w sporach z Bielowskim co do wiadomości niczem mu nie ustępował. Bielowski tylko górował przetrawieniem kronik łacińskich, nad którymi poeta nie łamał sobie głowy.

Biografia Pola, ogłoszona w *Czasie* po jego śmierci, powiada, iż Pol uczył się od Piwockiego eks-pijara, gramatyki łacińskiej. Toż samo powtarza Dębicki (kronika 1880, nr. 20). Atoli Piwocki nigdy nie był księdzem, a tem mniej Pijarem. Miał on synów, z których jeden, pensyonowany starosta obwodowy, jeszcze żyje, drugi był adwokatem. Piwocki ładnie wykladał klasyków rzymskich i zachęcał młodzież do studyów. Pozwalał on, aby zamiast wypracowań łacińskich, jakie dokonywać się miały w szkole, obrabiano temata po polsku, z tym warunkiem, aby układane były wierszami. Mieli jednak ten przywilej ci tylko, o których przeświadczony był, że umieją dobrze po łacinie. Było to za dobrych jeszcze czasów wierszowania w szkole, które wyrabiało nie poetów, lecz stylistów dobrych, bo uczyło nadawania stylowi form zaokrąglonych i harmonijnych.

Jeden z profesorów utkwiał w pamięci Pola na całe życie. Był to Grzegorz Jachimowicz, Rusin, (później arcybiskup), z Polakami Polak, z Niemcami Niemiec, z Rusinami Rusin, typ urzędniczej maszyny. Wymagał on od uczniów filozofii, aby egzamina z religii zdawali jak uczniowie teologii, obszernie i dosłownie. Wincenty nie mógł zdobyć się na spamietanie osnowy skryptów. Do końca życia mawiał, że gdyby nie zła nota Jachimowicza, toby gryzmolił akta sądowe a poezya by przepadła. Mimo tego nie przeboleł urazy, a gdy Jachimowicz zorganizował polityczne stronnictwo, określił przed Ksawerym Godebskim ten hufiec biskupi bardzo złośliwym czterowerszem, który zaczynał się od słów:

Ty Polaku stań w szyszaku...

Estetyka i pedagogika były przedmiotami nadobowiązkowymi. Nie miały stałych profesorów, lecz je wykładano ubocznie, lub wyręczano się suplentami, i to przez półrocze jedno. Na te wykłady mało kto uczęszczał, bo nie dawały do niczego prawa a słuchacza nie obowiązywały do egzaminów. Rząd nawet niechętnie patrzył na napływ uczniów, a raczej na wpływ na uczniów nadliczbowego suplenta. Kiedy Tatzauer, sekretarz gubernialny, autor sławnego wiersza p. t.: *Der Krieg*, wymierzonego przeciw Kriegowi, rozpoczął wykłady estetyki, które gromadziły zarówno uczniów jak i obywatelstwo, zabroniono mu odczytów.

Pedagogię wyładał ks. Jachimowicz. Był to przedmiot przeważnie dla katechetów i nauczycieli gimnazjalnych, dawany według lichej niemieckiej książeczki. Z tych dwóch przedmiotów, jako małoważnych, egzamin był łatwy, i nie utrudniano go wcale, bo mało kto chciał go składać. Pol zdał egzamin z tych przedmiotów, a skoro egzamin ten odbył w r. 1830 w ostatniej chwili przed wyjazdem do Wilna, to uczynił dlatego tylko, aby z czemś przecie w Wilnie się pojawić.

Więc nie da się zaprzeczyć, że nauce za mało czasu poświęcił!

Nie można tego pochwalać. Systematyczne studia uniwersyteckie wyrabiają czy poetę, czy uczonego. Bez nich nie mielibyśmy Mickiewicza. Widać, że Pol nie miał kierunku domowego. Ojciec był już stary, matka gospodarzyła na wsi, a ciągle rozrywki i przejażdżki, to do matki, to do ciotki, nie mogły wpłynąć na skupienie ducha, jakiego nauka wymaga.

Pol z swoją olbrzymią pamięcią, z szerokim poglądem, byłby świetnie błyszczał jako poeta, gdyby mu dostępniejszą była naukowość. Po niewczasie winić go dzisiaj o niestatek w pracy; wolę przyrzeć się osobom, które mu zastępowały lekcję życia szkolnego.

IV.

TOWARZYSTWO.

Swojego czasu wymieniał Pol trzy imiona swych znajomych: Wróblewskiego, Zachara i Białkowskiego, mówiąc, że były to żywe kroniki, z których uczył się więcej aniżeli z drukowanych. Oni mu nasuwali opowiadaniem tkanę do obrazów poetyckich. Kto oni byli?

Kiedy dwór w Mostkach, gdzie poeta spędził tyle chwil swobodnych u pp. Ziętkiewiczów, obwiedziony był jeszcze murem i stanowił rodzaj obronnego miejsca, około niego skupiała się szlachta uboższa, mając oparcie i poparcie zamożnego dworu. Już po upadku Rzeczypospolitej, jeden z właścicieli czy dzierżawców Mostek wyłudzić miał podobno od owej szlachty dyplomy, pod pozorem, że je przesłał do zatwierdzenia nowemu rządowi. Dyplomy zniszczył, a po pewnym czasie poodbierał szlachcie karabele i zniewolił do danin i pańszczyzny. Tak więc z czasem istniała szlachta Wróblewski, Niewęgłowski, Zatorski i Kalinowski przeistoczyli się w poddanych. Opowiadał to stuletni staruszek, Stanisław Wróblewski. Pamiętał jak z całą rzeszą tej szlachty zagonowej ruszał na sejmiki, jak ich tam pojono i jak głosowali. Ziętkiewiczze szanowali starca, który zmarł przed 1831 r., posyłali mu codziennie ze dworu jedzenie, bo grubej strawy spożywać nie mógł. Pol, ilekroć bawił w Mostkach, przesiadywał u starca, któremu nawet jadło zanosił i całemi godzinami słuchał jego opowieści.

Pasiecznik Zachara, przezwany Rusinko, był postacią typową. Umiał z pszczołami rozmawiać, sadił zioła skuteczne, znał takie, na których przy koście łąk łąmią się kosi. Wierzył we wszystkie gusła z fantazją poety ludowego. Uczył Pola przedstawiania z pszczo-

łami, botaniki ludowej i rozpoznawania między wygrzebanemi kośćmi, kości polskich od tatarskich. Na starość już gracyalista, dożył coś 90 lat, a pobłogosławiwszy Polowi i Kornelii, żonie jego, w dniu ślubu dnia 8 kwietnia 1837, wkrótce w tymże roku umarł. Upamiętnił go Pol w poezyi: *Przeboleło*.

Stary dworzec modrzewiowy
Stał na kępie — w koło wody
Były sady i ogrody,
W dali łąki i dąbrowy.

Smukłe świerki nad sadami,
Były widne już z daleka,
A za sadem i lipami
Był tam futor i pasieka.

W niej to miałem przyjaciela
W starym naszym pasieczniku,
I radości tam bez liku,
W dniach dzieciństwa i wesela.

Był to starzec tak życzliwy,
I jak słońce tak pogodny,
Jako dziecko tak łagodny,
A jak ziemia miłościwy!

On mnie szczepić uczył drzewa,
On poznawać uczył zioła;
Co się zbiera, co się siewa,
I jak żyje w ulu pszczoła...

Z nim na mannę i na grzyby
Biegłem w łąki i w dąbrowy,
I w dzień postny z nim na ryby
I na kwiaty w dzień godowy.

A w południe, gdy wesoła
Na świat cały grała pszczoła;
Utrudzony wśród pszczoł brzęku,
Usypiałem mu na ręku i t. d.

Żołnierz Kościuszkowski, legionista a w końcu Napoleończyk, wachmistrz Białkowski, zjawił się w Mostkach po r. 1815, zalecony przez Jąźwińskiego, oficera Kościuszkowskiego. Przytulił się tutaj jako leśniczy, ożenił się z pokojową Ziętkiewiczów, która im nianczyła dziewczęta po kolei. Białkowskiego uważano jakby członka rodziny. Polubił on Pola, gawędził z nim o Kościuszcze, o starych

bojach i przygodach, bo wiele zapamiętał. Pol, tworząc wachmi-
strza Dorosza, miał niewątpliwie przed oczami Białkowskiego. On
to uczył poetę jeździć konno, zrobił mu lance i nią władać na-
uczył i śpiewał młodemu stare wojskowe pieśni, jak n. p.:

Trąby, waltornie. puzany,
Surmy, kotły i hoboje,
Zabrzmiście marsz na przemiany
Rycerstwo idzie na boje.

Podczas wypadków z r. 1831, Ziętkiewiczze wyprawiali młódź
do powstania, zaopatrując ich w datki. Starowina, zaprawiony
w trzech kampaniach, nie mógł pojąć, iżby się obeszło bez niego.
Nuż więc napierać się, aby Ziętkiewicz wykwapował go, a gdy mu
przedstawiono, że tylko by zawadzał, nie dał się przekonać. Zabrał
się do robienia sobie siodła, i przy tej robocie usnął na wieki.

Nieopodal Mostek, w Szczercu, mieszkał sędziwy ksiądz Józef
Strzeszkowski, proboszcz obrz. łac., gawędziarz, niewyczerpany
narrator z przeszłości, bo zapamiętał Kościuszkę. Nawiedzał Pol
tego zacnego kapłana, który mimo iż miał probostwo wielce in-
tratne, obywatel się lada czem, po dyogenesowsku, a wszelkie do-
chody szły na zaopatrzenie potrzebujących.

Poezya Pola *Przebolało*, którą pierwotnie podyktował Stani-
sławowi Tarnowskiemu na uczczenie kanonika Scypiona w dzień
imienin, jest odbiciem Mostek i Złoczowa. Właścicielem Złoczowa
był Komarnicki. Do niego zjeżdżał w wolnych chwilach stary Pol
z synem podczas feryj sądowych. Wincenty Pol już jako starzec
tak opisuje mieszkanie swe w zamku złoczowskim:

W starym zamku króla Jana
Był tam pokój w narożniku,
W okna biła zorza rana
I stoliczek stał w kącieku.
Na nim pióro, kałamarzyk,
Kilka skryptów, książek parę,
A nad łóżkiem relikwiarzyk,
A przy łóżku krzesło stare...
Wielki komin marmurowy
Płonął nocą w drugim rogu.
Nad nim hetman stał surowy,
Co ojczyznę złecił Bogu...
A na środku tej komnaty
Stał stół duży, a na stole
Stał krucyfiks strojny w kwiaty.

Komarnicki był to typ szlachećcia gdzieś z saskich czasów. Magnat dumny i butny. Jako dziedzic zamku zbudowanego przez króla Jana wiązał tradycję sławy dawniejszej ze swoją osobą. Podreperowawszy nieco zamek, opasany murem, basztami i wieżyczkami, kazał wmurować w zewnętrzną ścianę marmurową tablicę z napisem: *Joannes III rex fundavit. Comes Komarnicki restauravit.* Zamek złoczowski przeszedł później w ręce żydowskie. *Sic transit gloria.* Gdy zaczęto niszczyć mury, uratował w r. 1873—4 prezes Pożniak pamiątkę, skłoniwszy rząd, iż zamek odkupił, odrestaurował, obróciwszy go na więzienie i biura sądowe.

Mimo próżności i szlacheckiej dumy, od czego wielu nie jest wolnych, Komarnicki był to człowiek uczciwy i szanowany. Chętnie tam przebywał Wincenty, odbywał wycieczki do Podhorzec i Oleska, ucząc się przeszłości na pomnikach i pamiątkach. Komarnicki trzymał u siebie Kozaka, starca z czasów rozbioru Polski. Z nim gawędził chętnie nasz pieśniarz. Postać ta poetyczna przemawiała tak żywo do wyobraźni poety, że o jego gawędziarstwie częstokroć w późniejszych latach wspominał. Dłuższe wspomnienie poświęca mu w znanym wierszu:

Po nauce po dniu całym
Wracał mentor do klasztoru;
A ja sam już zostawałem
Sam z kozakiem od wieczora,
I nie miałem towarzysza
Prócz człowieka do usługi;
Kozak, komin, nocna cisza,
To młodości mentor drugi.
Z Ukrainy był on rodem,
Tęsknił po niej jak po raj, u
Bo wiązała go z narodem
Pieśń od Dniepru i Dunaju.
W zamku zwano go sokołem,
Boć sokole miał też oko;
W świat spoglądał hardem czołem;
A już serce tak wysoko
Nosił w piersi — że z postaci
Niktby pewnie go nie ganił
Wśród rycerskiej nawet braci,
Gdyby hufcem zahetmanił.
Słów nie wiele — wiele treści,
Wiele życia w oku, w ruchu,
W sercu wiele miał boleści
I rozpaczy pięknej w duchu,
Jednem słowem umiał zganić,
Lub przytulić i pochwalić,

Umiął rzutem oka zranić,
 I pochwycić lub zapalić. —
 On to serce me zagrzewał,
 I do konia mnie układał,
 I wieczorem dumy śpiewał,
 Nocą gadki opowiadał,
 I pod niego, chłopię małe,
 Jam się tulił w tém zameczysku —
 I wieczory, noce całe
 Siadywałem przy ognisku,
 I przy jego pieśni wdzięku
 Jam usypiał mu na rękę.

„Dziś paniezu wyście młodzi;
 Lecz gdy dojdą wasze lata,
 Znać wam trzeba, że ze świata
 Mileżkiem schodzić się nie godzi!...

Wiele w świecie się przedziało,
 Dziać się będzie jeszcze wiele;
 W stepach mogił tam nie mało
 I niemało dusz jest w ciele“...

Tak mi mawiał — a ta gadka
 I ta jego pieśń ponura,
 To mych pierwszych natelnień matka,
 To mój Homer i Padura!

I po dziś dzień w duszy jeszcze
 Grają jego pieśni wieszcze;
 Gdy świat zmroczy mgła jesienna,
 Gdy zat sknię do ogniska,
 Gdy nadechodzi noc bezsenna
 A pierś ciężko coś uciska:

To po dziś dzień wielki Boże!
 Jak się wsłucham w nocną ciszę,
 Jak się w tamte czasy wdrożę,
 To pieśń jego jeszcze słyszę
 Jak od stepów, jak od szlaku...

Gdzieżeś? gdzieżeś, mój śpiewaku!

Jeszcze jedno gniazdo, które było dla Wincentego szkołą poznawania świata minionego. Był to dom Antoniego Kopystyńskiego w Horbaczach, odległych o mil dwie od Mostek. Podstolic Małborski, tytułowany zawsze podstolim, tak jak się zwykło poruczników nazywać kapitanami, był to sobie chłop barczysty, otyły,

rosły, strojny w kapotę, a od parady w kontusz, do czego miał wielorakie pasy i karabelę barską po ojcu. W r. 1828 liczył do 60 lat, jako szlachcic z antenatów umiał tylko po łacinie i po polsku. Co rano i wieczor odmawiał modlitwy po łacinie. Wstawał jeno świt, a skoro dziewiąta wieczorem, on i dwór cały szli na spoczynek, około gospodarstwa pilnie zachodził, dzierżąc sam klucze od wszystkiego. Gość w dom, Bóg w dom — mawiał; więc gość każdy przyjmowany był otwartemi ramiony.

Człek byleby miał własny herb w krwawniku, to ważył wiele u niego, bo był bratem szlachcicem, karmazyn *bene natus*, z nieherbowym braterstwa nie lubił. Że zaś konstytucya trzeciego maja była jego wyznaniem wiary, więc kochał po tem wyznaniu mieszczan Ziętkiewiczów, jako posesyonatów, zatem już przez posiadanie dóbr uszlachconych. *Possessionati* byli tem samem *bene nati*.

Kościuszko, Dąbrowski, Poniatowski Józef, Batory — były jego ideały. Stanisławem Augustem pogardzał. Praktyk nowoczesnych nie rozumiał, posty ściśle zachowywał, książek nie czytywał tylko łacińską do nabożeństwa. Jednak historję polską *expedite* znał, parentele rodzin także. Był rubacha, ale szczery i prostoduszny. Z włościanami pańszczyzny nie rachował, lecz wymagał robocizny do dworu, a biedakom dawał na zasiew i zaoranie gruntu.

Zona jego Agnieszka z Ufniańskich, o dwadzieścia lat młodsza, była to wychowanka epoki napoleońskiej. Francuzczyzna królowała w jej salonie, Rousseau, nieodstępny towarzysz jej wyobrażeń; rubasznosc męża drażniła jej nerwy. Roztkliwiała się nad Mickiewiczem i Bohdanem Zaleskim. Westchnienia i łzy bywały na porządku dziennym, bo taka to już była moda ówczesna, która nadpłynęła po modnych spazmach z epoki Stanisława Augusta. Mimo tego sentymentalizmu szczęśliwą była, bo choć temperamentu odmiennego, jednakże kochała męża i była mu uległą.

Najstarszy ich syn Feliks, piękny mężczyzna, prawnik, ogłędny, szlacheckimi tradycjami przeziąkły, dlatego zwany podstolicem, był dobrym towarzyszem. Ów podstolic był nieprzyjacielem jazdy koleją i ledwie raz dał się namówić do wyruszenia do Lwowa poczem rzekł:

— Prawda, że bezpiecznie, ale proszę uniżenie, co mi to za jazda, gdy nie mogę popasać, kiedy mi się podoba?

Było cztery córki: Apolina, Cyryla, Laura i Sylwia, widocznie sentymentem matki tak ochrzczone, i najmłodszy synek Staś, którego młodziuchna Agnes Ziętkiewiczówna, będąc podlotkiem, w którejś parze trzymała. Stanisław, dziś podporucznik na Węgrzech

osiadły, a Feliks na kawalerskim chlebie żył u siostry Laury Pawlikowskiej, powtórnego ślubu Bezowej, a w końcu na Węgrzech.

Tak więc wyludniły się Horbacze. Dawniej brzmiały one weselem, gdy bawiono się kolejno z Mostkami. Kiedy do Horbacz wzięto guwernantkę, wówczas Agnieszka Ziętkiewiczówna przeniosła się do Kopystyńskich i tam blisko półtora roku mieszkała, celem edukacji.

Z domem Kopystyńskich łączyły młodego poety stosunki serdeczne, niemal familijne. Wincenty jeździł tam także, bo jejmość lubiła go dla pięknie deklamowanych poezyi i dla znajomości francuskiej literatury, a znajomości tej nabrał, czytając z Agnieszką dzieła francuskie. Agnieszka tłumaczyła mu pisma pani Staël, a on jej objaśniał znaczenie ich, kształcąc jej tem umysł i ucząc zastanawiania się nad pisarzami. Pol umiał się przypodobać i Kopystyńskiemu, lubo stary szlachcic młokosów nie lubił. Jedną go sobie uszanowaniem dla jego wieku, więc stary gawędził z nim rad o gospodarstwie i minionych czasach.

Bywał tam i January Poźniak, ale już nie umiał tak zjednywać sobie życzliwości zardzewiałego szlachcica. Odwetował się za to na nim pan January, wykoneypowawszy wiersz na wezwanie Pola i według jego instrukcyi, w którym odmalował stosunek obojga małżeństwa:

Ja karmazyn, nikt kaduka
Z braci zadać mi nie może.
Wprawdzie harda ze mnie sztuka,
Ale zawsze się ukorzę:

Przed obrazem, przed kapłanem,
Przed zasługą, przed, zacnością,
Przed krakowskim kasztelanem,
I przed drogą mą jejmością.

Dobrze chodzę koło roli,
W kniei jestem jakby w domu,
Wiem, że krzywda zawsze boli,
Wiem, co się należy komu.

Braci kocham z całej duszy,
Umiem w puhar brzęknąć dziarsko,
Lecz jeśli kto honor ruszy
To go kropię szablą barską.

Gdy chodzi o dobro kraju,
To wy o tem jejmość wiecie,
Że po dawnym obyczaju,
W kąć prywata, fraszka życie.

Jeśli jejmość się przymili,
To na wszelkie jej usługi,
W złej i dobrej życia chwili,
Jestem gotów, jakem długi.

Tylko nie każ proszę ciebie,
Żebyś wzdychał do księżycy —
Myślą bujał gdzieś po niebie.
Bowiem zgubisz tem szlachcica!

Niech po niebie słońce chodzi,
A za sobą niech w półkole
I miesiąc i gwiazdy wodzi —
My zaś na tym tu padole

Miłujmy się po dawnemu
Bez tych modnych ceregieli;
Moda dała przystęp złemu...
Bodajby ją czarci wzięli.

Krasicki Ksawery także typowa postać. Wojownik z pod Dubienki, Zieleniec i Grobli Boruszkowickiej (1792). Znał z przeszłości gotowe postacie do poematów. Wiele widział i wiele opowiedzieć umiał. On to natchnął Wincentego do napisania prześlicznego obrazu *Mohort*. U niego to przebywał w Lesku szlachcic Morelowski, tak podeszły, że już za konfederacyi barskiej dzierżawami chodził. Jego gawędy również Polowi nie jedno przyniosły. Co zawdzięcza Pol Krasickiemu, podaje to Maurycy Dzieduszycki i L. Dębicki (*Czas* 1880 r.).

Tak więc każda z wymienionych osób, zabarwiona staroświeczyzną, przesądem czy tradycją, składały imaginacyi poety daninę z swoich nawyknień, słabostek, cnót i wyobrażeń, a wszystko na tle szczeropolskiem, znikającym z teraźniejszości, przeistaczającej się w kosmopolityzm. Zatem Adam Huppen, Benedykt Winnicki, St. Wróblewski, Komarnicki z Kozakiem, Zachara, Białkowski, Szołajska, stara Duniewiczowa, babka Nieszkorowska, matka Ziętkiewiczowa, Lisowski, Antoni Kopystyński — te wszystkie postacie używały po trochu pocie materyału, z którego później stwarzał panoramę przeszłości.

KOLEŻEŃSTWO.

Otoczenie rodziny, otoczenie towarzystwa związanego z rodziną urabia niewątpliwie dorastające pokolenie, lecz jest jeszcze czynnik trzeci, który na ostateczne ustalenie charakteru stanowczo wpływa. Z gmachu szkolnego można nie wiele wynieść, gdy nauka idzie nie sporo, lecz zawsze wynosi się poniżenie lub podniesienie ducha, a to według stosunków koleżeństwa. Szkoła może nie nauczyć, ale zawsze wytwarza członków społeczeństwa dobrych lub złych, według tego, jak się młodzieniec w złe lub dobre zapłącze towarzystwo. Zajmującą rzeczą jest dociekać, jakim wrażeniom, namiętnościom lub skłonnościom ulegał talent poety w latach zarania swojej twórczości.

Każde zjawienie się wyższych zdolności ma obok siebie grono współdziałające. Jakby z jednego ogniska wylatuje płomień w towarzystwie płomyków. Taki Jan Kochanowski miał około siebie wierszopisów przyjaciół, z którymi wyrabiał się pospólnie. Były takie grona za Krasickiego lub Książnina. Za najświeższych czasów około Mickiewicza krąży wspaniały poczet młodzieży, świetniejącej zdolnościami. Kiedy się zjawia Edmund Wasilewski, rosną z nim Żygliński, Szugt, Łukaszewicz, Mułkowski i kilku innych.

Zupełnie tak jak w gospodarce wiejskiej. Są lata nieurodzaju, jałowacizny, są lata plonów, a w latach tych buja nie jeden kłos, ale różnorakie na raz. Jeżeli więc poznajemy gwiazdę przewodnią, znajmy i jej satelitów a poznamy wówczas owe gniazda talentów, napotykanne co pewną ilość lat, owe gniazda, z których wyrosli mężowie, co dali hasło do przeistoczenia społeczeństwa galicyjskiego. Przeistoczenie to w rzeczy samej nastawało w chwilach,

gdy dojrzewał talent Wincentego, gdy dojrzewali towarzysze jego. Było to na niewiele lat przed zawieruchą listopadową.

Komu znane są dzieje umysłowości galicyjskiej z epoki wcześniejszej, zna, iż twierdzą nie bez zasady. Wychowanie młodzieży szlacheckiej było niedbałe, powierzchowne, a że przeznaczano ją do roli, więc służba publiczna pozostawała w ręku Czechów i innych cudzoziemców lub w ręku synów Niemców w Galicyi od czasu zaboru osiadłych, a którzy chętni byli się tem, że są Galicyanami, jakimś odrębnym narodem, mówiącym potocznie po polsku, urzędowo po niemiecku. Jeżeli zdarzyło się, że który z szlacheckich synów zapragnął urzędniczej kariery, szukał oparcia dla niej to w Teresianum, to w Wiedniu w ogóle, nawykał do niemieckości, i wreszcie język ten był dla niego czemś wyższem, odkąd poznał Ifflanda, Schillera i Goethego. Nie uczono w szkołach po polsku. Za mówienie ojczystym językiem wyznaczano karę, a dopuszczano go o tyle, o ile potrzebnym był do tłumaczenia na niemieckie. Wypracowania wierszem i prozą pisano niemieckie, nagradzano je pieniędzmi. Tak więc młodzieniec, zapominając pisać po polsku, nawykał do myślenia i do tworzenia po niemiecku. Udało się co niemieckiego napisać, to profesor pochwalił, nawet wydrukował. Druk pochlebił próżności młodzianiszka, więc nuż tworzyć w języku niemieckim poemata i powieści.

Tak rosło pokolenie jedno za drugim, i wytwarzała się tradycja rywalizowania niemieckością z Niemcami, podniecająca ambicję w kierunku zabójczym. Był on zabójczym w ogóle, bo stwarzał lichych pisarzy niemieckich, a odejmował literaturze polskiej pożytecznych pracowników. Galicya nie wydała ani jednego talentu wyżej mierności dla Niemców, a na całe lat pięćdziesiąt stłumiła oświatę polską u siebie.

Był to upadek polskości zastraszający. Młodzież galicyjska nawet ortograficznie po polsku pisać nie umiała, bo jej nie uczono tego w gimnazyach. Sam Wincenty Pol tego dowodem. Młodzieniec ośmnaścieletni pisze powiastkę, w której wyraża się dosłownie: *S téh mórów, Panio* (zamiast pania), *przechacki, zżądził, scisnołem, oziwiało* i t. p. Kiedy tak pisze młodzian, oddany literaturze polskiej, jakżeż pisali inni? Żał przypominać, choć to pociechą, że to już na zawsze przeminęło.

Mała garstka tych, którzy mogli po za szkołą kształcić się po swojemu, utrzymywała ducha w pokoleniu obumierającym, ależ to była garstka tak szczupła, że tonęła w morzu rozlewającej się obczyzny. Lwów całkowicie wyglądał jak miasto niemieckie. Lekarze,

profesorowie, kupcy, restauratorowie, nawet szynkarze byli Niemcy. Napisy ulic, placów i sklepów niemieckie. Za osobliwość przytaczano jedyne godło polskie na domu parterowym w rogu ulicy Halickiej i Kamiennej. Była to gospoda, w której odbywał się werbunek ułanów. Nawet komenda korpusów miejskich, strzelców, grenadyerów, fizylierów i ułanów (pieszych) była niemiecka. Rozwielmożyła się jeszcze bardziej obczyzna na upadku fortun polskich. I oto powstały nowe rody Hausner, Dresdner, Hofman, Christiani, Trenkel, Breuer, Bauer, Gettinger, Babel, Kirschner i wiele innych, których potomkowie po większej części już zespolili się z wyobrażeniami i poczuli się w szlachetny sposób do powinności wobec ojczystej ziemi. Wojskowym nie wolno było rozmawiać po polsku, toż działo się w biurach administracyi i skarbu. Wyższe bowiem posady dzierżyli synowie tych, co napłynęli do Galicyi w zeszłym wieku. Ci, acz umieli po polsku, książek polskich nie czytali. Były to owoce nawyknien w domu i szkole. Można było zwątpić o przyszłości, gdyby nie przykłady w starem mieszczaństwie lwowskiem, że rodziny niegdyś cudzoziemskie jak Grel, Lonchamps, Noel, Signio, Titz, Thullie i wiele innych, prócz nazwiska, nic obcego w sobie nie miały. Sądownictwo, które używało łaciny, było przeważnie polskie, toż duchowieństwo i adwokaci (wyjawszy Franka i Bartona), a nierzadko zdarzało się, że ten i ów urzędnik sądowy chodził w kapocie i rogatywce. Młódź szkolna, nawet Niemców synowie, przed rokiem 1831 wyrabiała się na obywateli kraju. Niektórzy krwią zatwierdzili miłość nowej narodowości. Ostermann, syn starosty, poległ pod Międzyrzeczem, Reitzenheim, syn radcy, był pod Ostrołęką, Adolf Weber, syn radcy, odbył także kampanię, Kraus (którego siostra jest matką Tadeusza Romanowicza) należał również do tego grona. Ci i wielu innych po za szkołą zbierali się i wspólnie uprawiali język polski, czytając poetów i historyków naszych.

W takich warunkach wyrastał Wincenty Pol. Umiał zarówno dobrze po polsku jak i po niemiecku. Miał drogę przed sobą na lewo i prawo. Na lewo szła młódź pisząca pospólnie ze starszą nauuczycielską po niemiecku i drukująca swoje utwory. Przykład szedł od szkoły. Była to zachęta dawana z góry. Jeżeli Hüttnerowi i Maussowi, Niemcom, dozwolonem było wydawać kalendarz po polsku tylko z warunkiem, że tenże wydany będzie równocześnie w przekładzie niemieckim, czegoż oczekiwać mogła młódź pisząca lub drukująca po polsku? Utrudniane jej było wydobyć się w górę, i tylko wyjątkowe talenta zdołały pójść na przebój. Nic dziwnego, że w takich warunkach, ci, którym szło o los w przyszłości, znie-

woleni warunkami konieczności, szli za prądem wskazanym. A cóż dopiero, gdy się pojawił taki przyjaciel młodzieży, który utwory jej drukiem uwieczniał i publicznie chwalił. Tak mamy wiersze i prozę, owoce studenckiego talentu, wydane w latach 1819—20, p. t. *Erstlinge des Stiles*, obejmujące produkcję niemiecką szkolną od r. 1813. Pisują tu Niemcy: Schattel, Weiser, Bader, Bittner, Bruckner, Burger, Fornaro, Horky, Kolowrat, Lambüchler, Bluha, Eder, Josch, Kluger, Kłuzaczek, Mały, Krieg, Nischer, Nowak, Straus, Brida, Weber, Beranek, Drdacki, Kriegshaber, Neuhauser, Matscheko, Lausek, Ludsky, Priesterberger, Reusner, Rohn, Schmitzhausen, Sedlaczek, Wibiral, Wolf, Ebersberger, Barfuss, Chlubna, Finger, Herzog, Hoerler, Kern, Klisburski, Kupez. Pisują też Polacy: Bielecki Józef (*Deutschlands Hochgesang*), Gromnicki Jan (*Soldaten - Stand*), Ościesławski Jan, Barański Karol (*Einladung auf das Land*). Jeden tylko Roman Telichowski wykreślił się oracyą łacińską: *De voluntate*.

Te dwie książeczki były to wysunięte czaty literatury obcej, systematycznie drukiem szczepionej. Za tem poszło wydawać pism niemieckich, *Lemberger Miscellen* przez Jerzabka w roku 1823, *Mnemosyne* przez Zawadzkiego w latach 1824—39 i *Galicia* 1840 do 1844 przez Mehoffera. Dwadzieścia pięć lat trwała ta sztuczna uprawa niemieckiego żywiołu w cieplarnianej atmosferze. *Mnemosyne* ma swoją osobną historję. Założył ją profesor Al. Zawadzki, naturalista Szlązak. Umiał on utworzyć ognisko miejscowej literatury niemieckiej. Werbował młodzież, drukując jej początkowe płody, z krzywdą macierzystego języka. Oczywiście, że żywioł żydowski miał na tem polu przewagę, bo mu snadniej było pisywać niemieckim językiem. Popisują się więc Mojżesz Rappaport, Letteris, Lenzfeld, a później Maurycy Baruch, Kranzberg, Krombholz, Geldern, Natkis, Ettinger i inni. W pierwszym roku Zawadzkiemu potknęła się noga. Umieścił bowiem z podpisem W. wiersz Tatzauera pod nazwą *Der Krieg* (w nr. 9) na pozór niewinny, bo potępiający wojnę. Czytelnicy atoli snadno zrozumieli znaczenie wiersza, w którym autor miał na myśli Kriega von Hochseiden, osobę wpływową w świecie urzędniczym. Hałas był wielki o to. Może to było powodem, że Zawadzki na dwa lata następne znika z redakcyi. Obejmuje ją to F. Schweitzer, to Solbert, najniedołężniej prowadząc, bo zapelniając pismo samemi przedrukami.

W r. 1827 wraca znowu Zawadzki i ponownie wyprowadza na arenę pisarską dyletantów polskich, unoszących się językiem Goethego i Szyllera. Najzawziętym fabrykantem wierszy niemieckich był Hipolit Adolf Śliwiński, gryzmoła niewyczerpany. Był on

konceptowym praktykantem w gubernium a potem w Samborze, i tam zmarł na suchoty. Niektórzy z współpracowników *Mnemosyny* oddają przysługę polskiej literaturze, tłumacząc ojczystych poetów. I tak np. Franciszek Pol tłumaczy Kropińskiego; Mickiewicza głównie sonety tłumaczą Śliwiński, Stroppel Ad., H. Merzbach; Krasńskiego przekłada J. C. Sack i Poll; Brodzińskiego J. Colberg (z Warszawy) i A. von D.; Witwickiego i Borkowskiego Józefa Ad. Czerkass; Lubieniecką Amalię, J. N. Kamińskiego, Kretowicza, Tetmajera i Jaszowskiego tłumaczy Ad. Śliwiński. Jak widzimy wybór nie zawsze był dobry, tem mniej przekład, ale mimo to była w tem niejaka zasługa. Znajdujemy w zbiorze tym wielu pracowników, znanych później ze swej działalności w Galicyi i tu urodzonych, jak np. Kabat, Brocki Eugeniusz, Rychlicki, Stanisław Jaszowski, Wacław z Oleska (o Bernatowiczu), Józef i Franciszek Martinetowie, Maurycy Rappaport, Antoniewicz Karol (od 1828 i po r. 1831), Mikołaj ze Stanisławowa, Mikołaj Antoniewicz, Fr. Heski, Wincenty Danek, Jan Dobrowolski, Stan. Dąkowski, Teodor Wielohorski, Karol Malisz (znany w r. 1848 ze swej patriotycznej działalności), Bukowski Jakób, Kretowicz August, Barański Karol, Lunda Franciszek, lwowianin, Zakrzewski M., doktor, Torosiewicz Teodor, Piotrowski Józef (zmarły 1826 r. w wieku lat 23), Peyersfeld Jan, Galicyanin, Edward Habel, M. Reitmann, Paweł Fryderyk Walther, Gustaw Scheibenreiter, J. A. Prochaska, lwowianin, Jerzykowski, Jaworski Michał J., Scheinocha Antoni, Unifantowicz. Ostatni miał być wraz z Bossowskim uzdolnionym pisarzem polskim, choć dopiero początkującym, o czem mówi Śliwiński w uwagach o poezyi polskiej (1821 nr. 51), lubo tej pochwale nie koniecznie wierzyć można, bo autor jednocześnie stawia obok siebie różnorakie uzdolnienia, jak: Jaszowski, Chłędowski, Kretowicz, Borkowski Józef, Lidl, Bogucki, Szczepański, Nabelak, Skurzyński i Bielowski. Jakoż Unifantowicz przepadł bez wieści. Bossowski zaś, co wszystkiego słuchał na uniwersytecie, we wszystkim celował, zdumiewał pamięcią i zadziwiał złożeniem doktoratu w ciągu jednego roku, skończył na ożenieniu się z córką prezesa apellacyi, Lewińskiego, i objęciu adwokatury w Tarnowie. Teoretyk wielki, w praktyce nie bardzo zdolny, umarł młodo bez rozgłosu, z famą miernego prawnika.

Z polsko-niemieckich pisarzy zdolniejszych Stroppel skłaniał się ku polskości. Był protokolistą rady w sądzie szlacheckim, powołany do ministeryum na podrzędną posadę, zmarł w Wiedniu. Z innych współpracowników *Mnemosyny*, Krombach skończył zawód

jako nauczyciel w Przemyśle na wydziale filozoficznym, Franc. Martinet, syn lekarza wojskowego, Belgijczyk rodem, człowiek wszechstronnie po literacku uzdolniony, znający gruntownie język polski i francuski, kończy karierę w Wiedniu jako radca najw. trybunału, na którym to stanowisku wielu ziomkom dopomagał radą i protekcją. Ożeniony był z Maliszówną. Brat jego Józef nabył od Maliszów Białąkamień i gospodarzył, zarzucając poezję niemiecką. Wincenty Danek, muzyk zawołany, zmarł jako nadprokurator, mimo wierszowań niemieckich był z przekonania Polakiem. Między pracownikami w *Mnemosyne* znajduję także nazwisko Kabata. Znam dzisiaj zacnego, serdecznego i zasłużonego krajowi profesora i posła, lecz nie wiem, czy to nie inny pisywał. Scheibenreiter, Lwowianin, postać popularna niegdyś, przerzucił się od poezji do poczmistrzostwa i wielką ztąd ciągnął intratę. Lubił popisywać się ujeżdżaniem koni. Raz koń spłoszył się i wybił okno w żydowskim domu. Zbiegła się chmura izraelitów, domagając się wynagrodzenia szkody. Że zaś nie miał pieniędzy przy sobie, powiedział im: Jestem Scheibenreiter, przyjdźcie do domu, to zapłacę. Na to mu odparli: Że najeżdżasz szyby (*Scheiben-Reiter*) to widzimy. Wracał zatem eskortowany przez tłum, przezywający go: *Scheiben-Reiterem*.

Wymieniłem cząstkę tej falangi literatów. Sypały się wiersze do Polaków i Polek, na przykład Swobody do And. Szumlańskiego, Śliwińskiego na zgon malarza Miroszewskiego, Śliwińskiego, do Unifantowicza i znowu tegoż Śliwińskiego do starosty Gadowskiego, na zgon Siarczyńskiego, Józefa R. do Kopernika, do hr. Skarbkowej i Rodakowskiej. Muza oficjalna brzmiała przy każdej okazji, a muza polska odprawiała drzemkę. Gdy umarła aktorka niemiecka Kajzerówna, opłakiwało ją czterech wieszczów, między tymi Karol Malisz, później gorący patryota, a nikogo to nie raziło.

Tylko garstka mała upornych pielegnowała w cichości ogień Znicza, aby nim zabłysnąć po klęskach listopadowej katastrofy. W tej garstce był Wincenty Pol. Mówiąc więc o nim, nie można przemilczeć o tych, co z nim żyli, co z nim czuli razem, których on i którzy jego wspierali, w drodze przebojem naprzód.

Najbliższym Wincentego był January Poźniak, wierszopis ruski i polski. Wierszowanie szło gładko, lecz skończyło się na próbkach. Kodeksa wygnały poezję na zawsze. Znajomość z Wincentym trwała od lat najmłodszych, lecz zbliżenie silniejsze od roku 1826. O lat dwa młodszy od niego, ulegał jego wpływom. Poźniak zawdzięcza swe literackie zachcenia wpływom Mikołaja Rożnieckiego.

Był to nieśmiertelny student uniwersytecki; słuchał prawa i teologii po kolei, i tak osiągnął do 40 lat życia. Zwano go Dyogenesem. Rozmawiany w Grekach, Rzymianach i filozofii niemieckiej, był istnym typem Dyogenesa. Nie dbał o ubiór i pokarmy; wystarczały mu woda i chleb suchy. Różniecki poczęstował dwunastoletniego Januarego *Iliadą* i *Encidą* w polskim przekładzie i przy tej sposobności wykladał mu w pogadankach dzieje Greków i Rzymian. To zapaliło imaginację chłopca, od Homera przeszedł do Szekspira i Byrona, i oczywiście zaczął w 16 roku życia, na utrapienie kolegów swoich, układać wiersze. Poźniak był praktyczniejszym w życiu od Wincentego, więc ratował go na pochyłości. Obadwaj z za-
możności przeszli do biedy. Ojciec Poźniaka miał majątności, lecz wdawszy się w przebudowanie zamku sanockiego na dykasterya, stracił fortunę. Rok 1828 najwięcej dokuczył młodemu przyjacielom, i to ich zbliżyło. Gdy roku 1829 Poźniak wstąpił na praktykę do adwokata, miał stałą płacę i to, co klienci dawali na kancelaryę, szło w podział między dependentów. Tym dochodem żyli dwaj przyjaciele, bo Wincentemu płaca od matki wystarczyć nie mogła. Wspólnie pracowali, a do złożenia ostatecznych egzaminów głównie Poźniak Wincentemu dopomógł. Tej obopólnej łączności świadectwem są tłumaczone przez nich w r. 1826 wiersze z Franciszka Polla. Poźniak przetłumaczył *Wieczór*, a Wincenty przełożył *Kolory*. Ostatnia poezya figuruje w *Zbiorze pism* (T. V, 2) pod tytułem *Barwy*, mylnie jako oryginalna i jako z r. 1828.

Jakże tu pominąć Tomasza Rajskiego? Nie literat, tem mniej poeta, a jednak jakoś łączy się z nimi. Polityk całą duszą. Za politykę pokutuje, znajduje się nawet pod grozą kary śmierci, a do ostatka myśli o przeobrażeniu społeczności naszej. Zamieszczał prace w *Czasie* z roku 1861 (nr. 131—217), w *Dzienniku Polskim* 1878 (nr. 25—297 i 1879, nr. 24—5), ogłasza broszury (*W przededniu wyborów* 1879, *Moskwa* 1880). Adwokatura nie wyziębila ducha w siedemdziesięcioletniem ciele. Syn urzędnika i przyjaciela starego Pola przyjaźnił się od dzieciństwa z Wincentym. Nie literat lecz z literaturą polską obeznany, nie poeta lecz poetów polskich na pamięć umiejący, żył w gronie literatów jakby należał do nich. Wincenty, nim co oddał do druku, odeczytywał to Rajskiemu i rad jego zasięgał. Nad *Benedyktem Winnickim* poczynił uwagi trafne, ujął je nawet na żądanie Wincentego w formę krytyki, lecz nie ogłosił drukiem.

Kasper Ciaglewicz należał także do grona przyjaciół. Uczył się prawa a bawił poezyą. Sławianofil, tłumaczył poezye serbskie.

Walczył w korpusie Różyckiego jako porucznik artylerji, po wojnie służył w prokuratoryi skarbu. W r. 1837 uwięziony, ucieka i ukrywał się pod wieśniaczą świtą pasiecznika. W r. 1840 na śmierć skazany napisał po ogłoszeniu wyroku wiersz: *Butny*, który nabrał rozgłosu. Ułaskawiony na lat dwadzieścia więzienia w Kufsteinie doczekał się amnestyi w r. 1848. Późem jest rządcą w Podhajcach u ks. Marc. Czartoryskiej, wkrótce jednak rezygnuje z posady. Do r. 1865 mieszka w Paryżu, w końcu osiada w Chorkowie u Ignacego Łukaszewicza. Zawsze gorący, zawsze zapalony, tworzy wiersze polskie i ruskie energiczne, gwałtowne z pokostem wyobrażeń wyrobionych przez Towarzystwo demokratyczne. Poezye jego zebrane oczekują nakładcy.

Wielkie rokował nadzieje Klemens Bogucki (1804—1809). Zmarł zawczasie. Ojciec jego dziedziczył Turady nieopodal Mostek, ztąd znajomość i zażyłość z Wincentym. Brat stryjeczny Klemensa, Faustyn, niedoszły powieściopisarz, bywał w Mostkach i Chorbaczach, także z Wincentym zaprzyjaźniony.

Feliks Chlipkiewicz, znacznie starszy od Wincentego, i Ludwik Jabłonowski z Lubienia, który graniczy z Mostkami, należeli również do grona. Stosunki także ich łączyły z Ignacym Kikiewiczem, tłumaczem ód Horacego, poległym w roku 1831, i aktorem Maciejem Krupickim, satyrykiem, który w r. 1831 zmarł na cholerę. Z tym zapoznał się Pol u Jana Kamińskiego, u którego bywał jako u dobrego przyjaciela swego ojca.

Serdeczna zażyłość wiązała Pola z Bazylim Lewickim, który o całe lat siedem od niego starszy, lubił młodzieńca, i przewagą rozumu swego wpływ nań wywierał. Był to mąż uczony gruntownie i wytrwały w nauce. Umieścił się był przy gimnazyum jako zastępca, lecz że dyrektor uważał go za podejrzanego o polski patriotyzm, więc go pomijano w awansie. Zawiedziony, porzucił naukowe pole. Przerzucił się w służbę w izbie obrachunkowej. Pisywał wierszyki, lecz przeważnie zajmował się filozofią. Pozostały po nim prace: *Obrazy z życia*, *Biologia*, *Światłość i Światło*. Rękopisy posiada syn jego, Wincenty, radca sądu krajowego we Lwowie. Umarł w kwietniu 1877 (*Gazeta Narodowa* t. r. nr. 91).

Pol przyjaźnił się ze Stanisławem Niezabitowskim, który mieszkał w r. 1829 wraz z Poźniakiem. Zwał go Pol kaznodzieją dlatego, że lubił wygłaszać mowy, przeplatając je przysłowiami, które zbierał przez całe życie. Rękopis przysłówiów pozostał u Poźniaka. Ten Niezabitowski brał udział w kampanii r. 1831 jako podporucznik trzeciego pułku liniowego. Nabył wieś Rzepedź i tam

zmarł. Rówieśnikiem ich był Albin Niezabitowski, którego zamordował włóczęga podczas snu w maju 1831 r. Poemat *Puławy* drukował roku 1830 w *Haliczaninie*, przetłumaczył Szyllera *Wilhelma Tella*.

Wieś Rzepedź była przed r. 1831 własnością Jana Kantego Podoleckiego także poety i właściciela pięknego po ojcę księgozbioru. Tam bywał całemi tygodniami Poźniak, ztąd znajomość z Wincentym Polem, lecz dopiero po roku 1831. Józef Turowski miał za żonę siostrę Podoleckiego.

Ścisła przyjaźń łączyła Faustyna Szolajskiego z Polem i Poźniakiem. Miał on miasteczko Nawaryę między Lwowem a Mostkami, dlatego w Mostkach przebywał często. Chorobliwy, suchotnik, niedowiarek, spierał się z Wincentym religijantem, lecz mimo to cenił go wielce. Przed śmiercią po r. 1831 sprzedał majątek wychodźcy Tyszkiewiczowi. Rękopisy przepadły u jego matki Magdaleny, w której to za lat młodych kochał się Rzewuski, hetman złotobrody — i o nim też wiele Wincentemu rozповідаła.

W Nawaryi przemieszkiwał czas pewien Jan Bętkowski wraz z matką. Wiązały go stosunki z Wincentym tak dalece, że mu po roku 1833 udzielił paszportu swego do podróży po krajach zabranych. Bętkowski potem przeniósł się do Krakowa, gdzie założył pensjonat. Chorował na wierszomanię, choć nie miał talentu. Pokrewnił się z Julianem Duniewiczem z Leśniewic w sąsiedztwie Mostek i ztąd zażyłość z Wincentym. Za paszportem Bętkowskiego zwiedził Pol Podole, Wołyn i Ukrainę w r. 1834, a przez ten czas Bętkowski ukrywał się, udając, że niby jest w podróży.

Syn Juliana Duniewicza, Edward, szkolny kolega Henryka Janka, ścisłego przyjaciela Pola, ożeniony z siostrą Faustyna Szolajskiego, był także przyjacielem Wincentego. Powstanie zastało go na praktyce w gubernium. Rzucił urząd i wstąpił do artylerji; powrócił z kampanii jako podporucznik.

Z Wincentym uczęszczał na uniwersytet Tytus Lewitowski i z nim i Lonszanami gotował się do egzaminu z fizyki w r. 1826. Był to nieprzyjaciel kobiet, pomimo czego ożenił się i miał kilkoro dzieci. Pisywał gładkie wiersze. On i siostra jego, bardzo światła panienka, zaprzyjaźnili się z Wincentym. Oboje zmarli po r. 1831 na suchoty.

Henryk Janko, rówieśnik młodości Wincentego — jemu to poeta dedykuje najpierwszy swój poemat, próbę polotu rymotwórczego. Janko, dziś jeszcze postać wybitna w życiu publicznem

kraju. Ojciec jego, kupując Hoszany pod Rudkami, podpisał się Jan de Janko. Był to Węgier, lekarz wojskowy. W kampanii tureckiej opatrywał pod Belgradem rannego księcia Józefa i tak się zaznajomił z nim, że za nim przeniósł się do Polski. Jan był lekarzem nadwornym Józefa Jabłonńskiego z Lubienia a zarazem dzierżawił Dubanowice. Ożeniwszy się z panną Sierakowską, kupił w r. 1821 od Teresy z Jabłonowskich Trzebińskiej Hoszany za 9150 dukatów. Syna swego oddał na nauki do sekretarza Essenki. Tutaj schodzili się Wincenty Pol, Edward Duniewicz i Ludwik Jabłonowski i koleżeńskie przepędzali wieczory. Wypadki roku 1831 ściślej ich zespoliły. Bywał Wincenty i w Hoszanach i w Lubieniu u Ludwika Jabłonowskiego, który zagrzany przykładem kolegi, także rymy układał, aż póki pióra na szablę nie zamienił.

Bywał u Ziętkiewiczów Stanisław Pilat, wierszopis gładki, równie w polskim jako i niemieckim języku biegły. Na niemieckie tłumaczył *Dziady* Mickiewicza i *Ode do młodości*. Resztki rękopisu *Dziadów* przechowują synowie. Cenił go wielce Wincenty i jemu poświęcił jedną z najwcześniejszych prac swoich poetyckich *Poezya i przyjaźń*.

Grono literackie i to bardzo poważne tworzyli August Bielowski, Józef i Aleksander Borkowscy, Ignacy Kikiewicz, Szczęśny Chlibkiewicz, Julian i Faustyn Bogucey, Baltazar Zbrozek, Albin Niezabitowski. Lubo równi wiekiem Wincentemu, nie poufali się z nim, tworząc osobne kółko, zbierające się u Józefa Borkowskiego. Ten wyjechał w roku 1827 do Czerniowic, zatem w porze, gdy u Wincentego Pola obudzał się poetycki talent, dlatego mogli się byli poznać dopiero za jego powrotem w r. 1829. Borkowski oparł się o Walentego Chłędowskiego, jako wydawcę, i z nim obmyślał *Haliczanina*, gdy Wincenty Pol, jeszcze nieznany, nie mógł mieć literackiego wzięcia. Rychły wyjazd Borkowskiego tegoż roku do Wiednia uniemożliwił zbliżenie się dwóch utalentowanych młodzińców.

Z Bielowskim nigdy Pol nie żył w serdecznej zażyłości, lubo jeden rodzaj poezyi uprawiali. Bielowski mimo zacności charakteru był w obejściu odpychający, zimny, traktował każdego z góry, był małowowny, wyrażał się krótko a stanowczo. Chłodna powaga, ton jakiejś wyższości nie opuszczały go nigdy, a choć poezye pisywał, najmniej na poetę wyglądał. Ze wszystkimi, nawet z najserdeczniejszymi swymi przyjaciółmi bywał w obejściu chłodny i sztywny. Tłumaczyło się to trudnemi stosunkami, z którymi miał do walczenia Bielowski. Doznawał podczas studyów uniwersyteckich niedo-

statku. Utrzymywał się z udzielania prywatnych lekcji chłopcom z gimnazjum, a miał zawsze tylko tyle lekcji, by opędzić z nich najniezbędniejsze potrzeby życia. Poświęcając się bowiem literaturze i studyum historycznym żałował każdej godziny, którą innemu zajęciu poświęcić był przymuszony. W roku 1830 a może już i 1829 nie dawał wprawdzie lekcji, bo zamieszkały we Lwowie obywatel, staruszek Rubczyński, wyznaczył Bielowskiemu pokój z widokiem na podwórze i dawał mu obiad za to, że pełnił u niego funkcję lektora, to jest czytywał staruszkowi gazety a czasem i dzieła belletrystyczne, ale funkcja ta zabierała Augustowi kilka godzin dziennie, które byłby mógł być poświęcać uprawianiu nauki. Do powstania wyszedł Bielowski z domu Rubczyńskiego, który go opatrzył potrzebnym na drogę groszem. Po roku 1831 był August, a to za sprawę Zaliwskiego, dłuższy czas więziony. Więzienie nadwątliło i tak nie bardzo tegie jego zdrowie, i byłby może życiem przepłacił, gdyby nie Leszek Borkowski, który co miesiąc składał dla Augusta do sądu pewną kwotę na opłacenie wikt, którego dostarczał więźniom politycznym za bardzo drogie pieniądze nadzorca więzień (*Obergefangenwächter*). Kto na opłatę tego wikt nie posiadał funduszu, musiał żywić się strawą pospolitą więzienną. Bielowski mimo oziębłości powierzchownej cenil wiedzę Wincentego i wielokrotnie wyrażał się, że Wincenty jest prawdziwym wieszczem narodowym.

Opowiadał mi w r. 1859 Karol Szajnocha (i to za nim w wydanej biografii Pola w r. 1860 powtórzyłem), że Pol początkowo nie zakrawał na poetę. Że nawet, gdy wypadło mu wiersz do Pamiętnika napisać, prosił Bielowskiego, aby mu dopomógł. Że zaś ojciec Szajnochy w r. 1825 był w Siemianówce, gdzie i Franciszek Pol przebywał, być więc może, iż to Franciszka a nie Wincentego ratował Bielowski w kłopotcie poetycznym. Wincenty bowiem od wczesnej młodości rymował biegle, lecz opowieść o nim, którą zresztą powtarzano powszechnie, jest mylną. Z Bielowskim znał się Wincenty z ławek uniwersyteckich, lecz chociaż wysoce cenil jego erudycję, nigdy nie wszedł z nim w serdeczniejsze stosunki.

Znani byli podówczas jako wierszopisy Tetmajer, Kretowicz i Jaszowski, lecz nie należeli do kółka, które wymieniłem. Chciał Poźniak zapoznać Pola z Jaszowskim, który należał do redakcyi *Rozmaitości lwowskich*, i któremu Poźniak dostarczał epigramatów i sprawozdań teatralnych, lecz Wincenty uchylił się od znajomości. Objawił zdanie, że Jaszowski nigdy nie wydobędzie się z poziomu mierności — trafnie to przewidział.

Wagilewicz, Rusin, zaprzyjaźnił się przed r. 1828 z Januarem Poźniakiem, nauczył go kirylicy i graždanki. Z Polem zaznajomił się dopiero po r. 1831. Nauka Wagilewicza nie poszła w las, Poźniak w kompanii z Wincentym zajęli się w roku 1828 czytaniem w oryginale pieśni ludowych serbskich ze zbioru Stefana Wuka Karadzieza, które zapaliły wyobraźnię Pola, nawiodły na drogę tworzenia pieśni ludowych i zbierania ich, czem zajmował się w r. 1829.

Starszym był od nich Wacław z Oleska Zaleski, bo już uczył matematyki w uniwersytecie. Był to jeden z najznakomitszych pisarzy, jakich wydała Galicya; rozumem górował po nad współczesnymi. W r. 1827 słuchał go Poźniak, a że garnął się do matematyki, więc to zbliżyło obudwóch. Zaleski był ówczas praktykantem w gubernium, lecz gorąco zajmował się literaturą, mimo, iż to poczytywano za złe urzędnikom. Ujrawszy, że Poźniak na lekcyi miał w rękę *Sonety* Mickiewicza, zagadnął go Zaleski po wykładzie o poezyi polskiej. Sam pisywał wiersze, a nawet drukował w roku 1827 ułomki z tragedyi *Justyna*. Uderzyło to Zaleskiego, iż uczeń zajmuje się literaturą. Zaprosił go do pomieszkania swego przy placu katedralnym do domu pod Żłotym Lwem. Tam odczytywał mu poezye swoje. Poźniak nie omieszkiał zwrócić uwagę Zaleskiego na kielkujący talent Pola. Zaleski zapragnął go poznać. Poszli więc raz do niego, i zwiódł z nim Pol wałną dysputę o pieśni gminne. Do bliższej zażyłości nie przyszło, bo Zaleski był znacznie starszy (ur. 1800), a tem bardziej, że już w r. 1828 przeniesiono go na posadę do Sącza.

Nabielak Ludwik, dwoma laty starszy od Pola, szedł tak jak Bielowski, Pol, Zaleski i inni wzorem Brodzińskiego, zwracając się ku poezyi ludowej i sławiańskiej. Uczęszczając w r. 1825 na uniwersytet, odnajmował pokój od sekretarza władzy skarbowej, Moczyńskiego, i tam bywali u niego koledzy po piórze. Około r. 1829 bawił czas pewien w Nawaryi u Faustyna Szolańskiego, i tu w pomieszkaniu nad murowaną bramą wjazdową odbywały się schadзки czterech poetów. Istniał w Nawaryi staw rozległy, zwany przez Poźniaka jeziorem nawaryjskiem. Wincenty opowiadał Ziętkiewiczównom o wielkiej zręczności Nabielaka w sterowaniu łódką, a Poźniak przepowiedział mu zawód marynarza. Ta jego zręczność oddała raz prawdziwą usługę, bo gdy powódź przerwała groblę, Nabielak wyratował tonącego wieśniaka z narażeniem własnego życia. Po kampanii wrócił Nabielak do dawnego miesz-

kania w kamienicy Szlezingerów przy ulicy Ruskiej, i wznowił wieczory literackie, tylko bez Wincentego, bo ten tułał się po Niemczech.

Choć to do osnowy życia Wincentego nie należy, trudno mi pominąć wzmianki o jednym takim wieczorku danym na cześć Bohdana Zaleskiego. Zebranie ożywiał Zaleski opowiadaniem, w które wplatał swe oryginalne zapatrywania wychodzące z Litwy, Wincenty Jastrzębski, były nauczyciel gimnazjalny. Wielki zwolennik poezji klasycznej, zaczepiał Bohdana, który zbywał go odpowiedziami obojętnymi, co oponenta mocno gniewało. Wyobraziciel szkoły Alojzego Felińskiego, musiał zabawnie wyglądać w tem gronie entuzyastów. Jastrzębski tulił się przez kilka tygodni w Mostkach u Ziętkiewiczów — i braciom po piórze udzielał płodów swej muzy staroświeckiej. Wrzała wówczas walka klasyków i romantyków, więc i on dorzucił do tego swoje trzy grosze. Uraczył przyjaciół rękopisem komedyi, w której srodze schłostał romantyków. Bohater utworu tego te wypowiada słowa, jakby trawestował *Dziady* Mickiewicza :

(Poeta wchodzi na scenę z gazetą.)

Brawo! zgnębiłem zaciętego wroga,
Podła, zjadliwej podobna gadzinie,
Krytyka ginie.
Uczułem w piersi poezji Boga
I w nadziemskie lecę sfery...
Miltony! Tassy! Schillery!
Do szanownego grona
Przyjmcie żmudzkiego Bajrona.
Oddawna na Parnasie polskim chwasty rosły,
Niejeden je wytrzebić próżno się porywał,
Żółwim krokiem Krasicki w górę wylatywał,
Naruszewicz nie wiedział, co to styl wyniosły,
Trembecki same bagatyle składał,
Węgierski Wolterowskie koncepta wykładał...
A współcześni nasi wieszczę,
Ujęci fałszywego wirem uniesienia,
Pożyją lat kilka jeszcze
I pójdą z Trembeckimi w przepaść zapomnienia.
Żaden nie ma talentu, otwarcie powiadam,
Tylko ja i Adam.
Ale otóż i chwila natchnienia nadechodzi —
Piszmy — tak drogiej chwili tracić się nie godzi.

(Usiada i pisze, przytem mówi):

Ballada o Helenie i martwym kochanku:
 Na wiosnianym kwiatów wianku,
 Srebrna błyszczy rosa,
 Ale chmury po niebie pływają z ukosa,
 Dzionek pogodny w mglisty się zamienił,
 Na cóżeś się upiorze z Heleną ożenił?
 Stuk, stuk, stuk, coraz większy słyhać huk,
 Cmentarzowy tętni bruk,
 Ziemia się otwiera,
 Jakiś blask wyziera,
 Na niebie krwawe zaświeciło zorze,
 Jak się masz upiorze.

(Powstaje, przechadza się i mówi):

Wyśmienicie, każdy przyzna,
 Że to istna angielszczyzna.
 Niechaj mój entuzjazm skona,
 Je'li to nie jest z rodzaju Bajrona.
 O Bajronie! uniesień moich bohaterze!
 Cudnie na romantycznej wybrząkujesz lirze,
 Ale nie wiesz, bo nie znasz polskiego języka,
 Jakie cię szczęście spotyka,
 Szczęście, którego dziki klasyk nie uznaje,
 Oto ja cię naśladowę.

Lubiano Jastrzębskiego pomimo tej nieszczęśliwej manii wojowania z wiatrakiem. On tem bardziej do rodziny Ziętkiewiczów przyglnął, że poznał tam Kornelią Olszewską, która bardzo podobną była do jego żony pozostawionej na Litwie. Obecność tej osoby przypominała mu utracone szczęście domowe. Osiadł on potem we Francyi.

W r. 1829 przyjechał do Lwowa celem nauczania się po polsku Czech Prawosław Kaubek. Miał on listy polecające z Pragi od braci Lonszanów. Ztąd przyjaźń z Polem i Poźniakiem. Kilka tygodni przepędzili razem. On zaznajomił ich z pięknościami poezyi Kollara, wyjaśniał im rękopis krółodworski, który przetłumaczył Ludwik Nabielak. Kaubek przeniósł się na guwernerkę na prowincję, lecz pobyt jego krótki we Lwowie wydał owoce, budząc w kolonii literackiej lwowskiej interes do *Krółodworskiego Rękopisu* i *Sądu Libuszy*, dwóch pomników, dziś uznawanych za fabrykaty Hanki i kompanii.

Rzecz dziwna, że Chłędowski gromadząc w r. 1830 w *Haliczaninie* prace młodzieży lwowskiej, choć z pewnością wiedział

o Polu, nie wydobył go na jaw, a jednak gromadził tam nie same tylko wyborowe talenta. Popisują się zatem z młodszego zastępu Eugeniusz Brocki, August Bielowski, Ludwik Nabelak, Ignacy Ki-kiewicz, Benedykt Kozieradzki, Józef Borkowski, Ludwik Jabło-nowski, Aleksander Borkowski, Albin Niezabitowski, Klemens Bo-gucki, Bronisław Szolajski. Wszyscy ci znali Pola, żaden nie ułat-wił mu występu. Śnać Chłędowski nie przeczuł mistrza. Równie-nicy, koledzy i przyjaciele uprzedzili go na to, aby ich z tryumfem prześcignął w lat kilka.

Jeszcze jeden stosunek Wincentego. Ścisłe żył z Leopoldem Neumannem, lwowianinem. Syn nauczyciela szkół realnych, miał niepospolite zdolności, pamięć nadzwyczajną. Z przekonania Niemiec, bratał się chętnie z młodzieżą polską. Cenił tę przyjaźń January Poźniak, bo wiele mógł się od przyjaciela nauczyć. Gdy January zapoznał się z Ziętkiewiczami i do Mostek często się wymykał, Neumann uczynił mu zarzut, iż mu się sprzeniewierza i raz go powitał trawestując Schillera:

*Wer den Poźniak will verstehen,
Muss nach Mostki zu Huss gehen.*

Poźniak wymawiał się tem, że ma w Mostkach drugiego przy-jaciela, to jest Pola, więc jemu czas poświęcać musi; do swej Ja-gusi nie śmiał się przyznać. Leopold Neumann zapragnął poznać Pola. Zbliżyli się i zbratali od razu. Erudyta poznał się na przysz-łym geniuszu. Schodzili się często i wymieniali zdania o literaturze niemieckiej, francuskiej, włoskiej i angielskiej, o klasykach rzym-skich i łacińskich, co Polowi wychodziło na pożytek. Pamiątkę tego miłego stosunku pozostawił Neumann w imiennikowym wierszyku, danym Polowi w chwilach rozłąki:

*Lass stets das Ideal in deinem Busen walten
Erhebe stets zum Urbild nur den Blick,
So wird in dir die Welt harmonisch sich gestalten,
So blühet dir des Lebens reinstes Glück.*

Dedykacja opiewa: *Meinem geliebten Freunde Vincenz von Pollenburg am 24 July 1830.* Neumann wyjechał do Wiednia, tam kończył prawo, został nauczycielem u hrabiego Taaffego, prezydenta najwyższego trybunału sprawiedliwości. Uczy prawa w uniwersytecie i obecnie jest członkiem Instytutu *de droit international* i pa-rem dożywotnim. Nauka wyniosła go a nie względy. Pamiętny

młodości, owych dni odczytywania poezyi Mickiewicza i rozpraw o literaturze, zachował listowne stosunki zarówno z Polem jak i z Poźniakiem. W chwilach niedoli Pola w roku 1846, kiedy ostrożniejsi usuwali się od znajomości z więźniami politycznymi, Neumann złożył dowody rzetelnej przyjaźni. Prawdziwa nauka idzie z szlachetnością w parze. Neumann słynie zarówno jako mąż uczony i szlachetny.

VI.

M I Ł O Ś Ć.

Eleonora Polowa, gospodarując jeszcze za życia męża w Dobrzanach, nie umiała sobie poradzić mimo pomocy Benedykta Winnickiego. Straty nie odstraszyły jej, bo jej się zawsze marzyły młodociane chwile swobody wiejskiej w Firlejówce. Bodaj to na wsi! Niezrażona, po zgonie męża wyprawiwszy Wincentego z Winnikiem do Tarnopola, sama przeniosła się na dzierżawę do Podlisk, których część wydzierzała od Lisowskiego, łowczego koronnego.

W pośród sadu cienistego
Stał na baszcie dwór łowczego,
A dwór drugi stał za sadem,
I pan łowczy był sąsiadem.
Stary szlachcie kochał rolę,
Sady, pszczoły, konie chował,
Ani kupeżył, ni budował...
A gdy wyszedł, chyba w pole,
Ale dalej ani kroku
Od owego jeszcze roku,
Jak markotny z sejmu wrócił
I do skrzyni szablę rzucił:
„I ja wdowiec i ty wdowa!“
— Te ostatnie były słowa —
„Gdy cię Pan Bóg w pochwę schował,
Znać już będzie sam wojował“.
I jak sobie to powiedział,
To już życie sam przesiedział,
I po sadzie tylko chodził,
Aż Bóg starość znów osłodził.

Na jednej wsi były dwa folwarki i dwa dwory. Na jednym gospodarzył bogaty pan łowczy z urodziwą córą, na drugim gospo-

darzyła uboga wdowa także z urodziwym synem. Wystarczyło to, aby młodzian, powróciwszy na wakacye, olśniony został urodą, rozsądkiem i skromnością dziewczęcia, w najpiękniejszych wychowanego zasadach.

Piękna córa mu urosła,
Wychowana gdzieś w klasztorze,
I w próg ojca szczęście wniosła,
Co ośpiał w starym dworze.

Bo ożyły znowu głosy,
Słodkie, wdzięczne i ochotne...
I te kąty tak samotne
Zapomniały na złe losy.

Ale że panna była krociowa, a on młodzieniaszek bez chleba, zatem panna Eugenia nie zwracała uwagi na romansowego młodzieńca, choć jej podobać się mogło pierwsze uwielbienie. Widywał ją często, podziwiał i w cichości wzdychał. To wystarczało. Panna poszła za mąż, mając już około lat 40, a mąż jej Stankiewicz liezył pięćdziesiątkę. Zmarła w r. 18~9, pozostawiwszy gotówkę krewnym męża, a dobra wychowawcy, wydanej za hr. Fredrę.

Ani przypuścić mogła Eugenia nigdy, że ona pierwsza obudziła iskrę poezyi, a to poezyi, która miała świecić na widnokręgu polskiej literatury. A może się i domyślała czego. Raz bowiem o mało życiem nie przypłacił miłości swej cichy wielbiciel. Gdy bowiem byli na nabożeństwie w kościele, jakiś oficer niegrzecznie zaglądał pannie pod kapelusz, czem oburzony Wincenty wyzwał go na pistolety. Sekundował mu Benedykt Winnicki, stary wyjadacz w sprawach podobnych. Gdy więc stanęli na placu, komendę objął Winnicki. Widząc, że oficer mierzy wprost w głowę Wincentego, wytrzymał komendę tak długo, aż wyprężona ręka oficera drżeć zaczęła. Ówczas krzyknął: pal! Kula przeleciała górą, ale i Wincenty chybił. Sekundanci kazali się im pogodzić i na tem się skończyła ta przygoda, akt pierwszego poświęcenia dla miłości cichej i tajonej.

Tymczasem pani Eleonora i na tej dzierzawie traciła. Nie uiściła raty dzierzawnej. Pan łowczy lubo niesrogi i nieślakomy, musiał oddać prawnikom w ręce swe pretensye. Zajęto inwentarz i ruchomości nieporadnej wdowy, a i to jeszcze nie wystarczyło na zaspokojenie należytości. Wdowa zmuszoną była osiąść w miasteczku Szczercu w r. 1825 czy z początkiem 1826, bo w tym już czasie zmarł syn jej Franciszek.

Wincenty nie utracił mimo tego szacunku dla pana łowczego, i nie wyrugował Eugenii z serca. Nie dziwnego. Ona w nim rozbudziła zapal, entuzjazm, tkliwość i to wszystko, co uszlachetnia młodzieńca. Ona zrobiła go poetą.

Czy już od pierwszej chwili był poetą? Nie wątpię, bo kochał szczerze. Nie wmawiał w siebie, lecz miał w sobie miłość. Nie trwała ona krótko, owszem, zdaje się, że przetrwała do roku 1827. Na gruncie tej miłości ułożył (może r. 1825) powiastkę prozą i napisał *Elegię* do Eugenii. Sądzę, że *Elegia* powstała dopiero w roku 1827. Dzieduszycki natrąca coś o powiastce, lecz jej nie znał. Wyraził się tylko, że Pol na wzór Bronikowskiego i Bernatowicza próbował się na polu powieści i skreślił w listach powieść *Samotnicy*. Otóż odszukanych dziś *Samotników* przedstawiam jako pierwszy owoc fantazyi Pola, owoc niedojrzały, lecz o tyle interesujący, że jest odbiciem pierwszych wrażeń serca.

Z KLASZTORU

W[incenty] do E[ugenii].

Z tych świętych murów, jedną czynność jeszcze, jedną tylko mam ze świata. Dzisiaj rano wstąpiłem w nie, a wraz z wstąpieniem przyjąłem na siebie obowiązki, które mi inaczej czynić, myśleć, czuć kazały, lecz przez to nie przestałem być człowiekiem. Racz Pani ten list przeczytać a znajdziesz mnie, choć może w części niewinnym, lub przynajmniej do usprawiedliwienia. Nie liczyłem jeszcze siedmnastu lat, gdy utraciłem najlepszego z ojców; po jego śmierci wyjechałem na wieś do mojej ciotki (Ziętkiewiczowej); właśnie wtenczas ostatnie dni pogodnego kwietnia ubarwiały łąki, rozwijały sady i krasły bory. Pojrzałem na naturę i pierwszy raz zacząłem myśleć: nad sobą, nad światem i jego pięknoscią, nad człowiekiem i jego przeznaczeniem. Tłumy wrażeń wewnątrz cisnęły się do mej duszy, która dopiero działać zaczęła, lecz czucie i rozum niewykształcony nie mogły ich dokładnie rozeznąć ani uporządkować. Wszystkie wyobrażenia leżały pod duszą ciemno i nierozwinięte. Udałem się więc do książek, i znalazłem, czego szukałem! Znalazłem, ach znalazłem — od poetów urojone światy, znalazłem serca boskim ogniem gorejące, miłość uwieńczoną wzajemnością, przyjaźń w głębi ducha umocowaną, której ni czas, ni stosunek, ni potęga ziemi ni niebios zniszczyć nie była w stanie! Znalazłem nareszcie

enotę istniejącą w swej całej świetności; znalazłem, czego ten świat nie ma, wszystko, lecz oraz grób spokojności! Smutek, w którym z przyczyny śmierci kochanego ojca pogrążony byłem, kazał mi szukać samotności, wtrącając mnie w melancholię, a serce wykształcone czuciem poetów i żywa wyobraźnia zachwycona wielkością obrazów bujała po przestrzeni urojonego świata. W takim położeniu był stan umysłu mego, gdy Panią poznałem. Poznałem Panią, by poznać moc miłości! Poznałem miłość, by poznać jej okropność! Wyobraźnia moja utworzyła sobie — istotę, dziewięć niebiańską, wymalowała ją z wszystkimi wdziękami duszy najpiękniejszej, a wszystkie znalazłem w Pani...

Zrazu zdawałaś mi się Pani zwykłą kobietą, lecz czem więcej z Panią obcowałem, z każdym dniem odkrywałem więcej przymiotów czułego serca i najpiękniejszej duszy, a przywykły enotę uwielbiać w ideale, uwielbiałem w rzeczywistości enotę w tak pięknej powłoce! Przechadzki, rozmowy, zabawy tańczące, i wszystkie przyjemności towarzyskiego życia, których razem doznawaliśmy, zbliżyły nas sobie i zdawało mi się, jak gdybyś Pani mnie sprzyjała. Zwykłą grzeczność trzymałem za uczucie wzajemne, a miłość może była już najgwałtowniejszą, gdy dopiero poznałem, że kocham!

Tłumiłem w sobie straszliwe uczucie, stłumiłem i szukałem samotności, by namiętność poddać pod władzę rozumu. Nieraz po całym dniu błąkałem się po dzikich borach i odległych błoniach, uzbrajałem serce, mniemałem, że jestem dość mocnym, by Panią widzieć i nie kochać i wracałem. Zwykle słońce zachodziło, przebywam wioskę, przebywam sadek, przychodzę przed okno, w którym Pani stoisz, oddaję przepióreczkę, którą w siatkę złapał. Pani ją przyjmuje, uśmiechujesz się, podziękujesz, głaskasz przepióreczkę, całujesz ją, ja mniemam, że danina z mej ręki jest Pani tak drogą, i jestem najszczęśliwszym a serce nie chce więcej wiedzieć o bytności rozumu!

Tłumiąc moją miłość i nie wiedząc, czy jestem kochanym, przeżyłem kilka miesięcy, chociaż nie zawsze spokojny, jednak nad miarę szczęśliwy! Nie byłem jeszcze od ludzi zdradzonym, serce moje było niewinnem, nie znałem żadnej namiętności, prócz najczystszej miłości ku Pani, i mniemałem, że nikt tak tej niebiańskiej istoty na świecie nie jest godzien, jak ja. A jednak nie śmiałem wyznać, że Panią kocham, zawsze pomyślałem: ona jest bogatą, w tem jej nie jestem równi!

Wtem stosunek, tyran świata zrzadził, że musiał Podliski opuścić. Ścisnąłem Panią za rękę i z łzawem okiem spoglądałem

się na wioskę, która była sprawczynią tylu nieszczęśliwych chwil i mojej niedoli. Znikła mi nareszcie z oczu a wraz z nią zaczęła mnie opuszczać nadzieja. Przybyłem na miejsce przeznaczenia mego, o jakże wszystko było tutaj martwem, zimnem, bez życia! Sama natura nawet była złodowaciałą, milczącą; technienie twoje, Eugenio, nie ożywiało nigdy tej okolicy, tutaj wszystko było smutnem, ciebie nigdy tutaj nie było! Gdzie ty jesteś, tam niebo otwierasz mym oczom, gdzie ciebie nie ma, tam radość smutkiem, życie śmiercią a natura drzymie! Żyć a bez ciebie Eugenio — nie! — rzekłem i uzbroidłem samobójcze dłonie, bo gdzie nadzieja znikła — tam nic życia przez się sama rwie się!

Kochany Wiktorze! Tyś to wstrzymał zapęd zbrodniczy, ty — lecz dlaczego? po co istota nieszczęśliwa ma nędzny byt wlec, który jest jej, ludziom i światu ciężarem? Co znaczy życie bez miłości, co miłość bez wzajemnego uczucia? Ten świat jest do rozkoszy i użycia; nie mogłem żyć szczęśliwy, dlaczegoś nie dozwolił umrzeć nieszczęśliwemu? Często kwiat młodości prędzej więdnie, niż sama młodość przeminie; tak się ze mną stało. Bo i cóż, że nie liczę lat starca, że krew młoda bije w żyłach, że wiek jeszcze nie ubielił mych włosów, nie poorał zmarszczek na czole? Kiedy martwe oko błędnie lata po przedmiotach, kiedy serce ucichło — nadzieja uleciała!... kiedy spokojność, wesołość znikła. Nie! albo jest wieczność, albo nie jesteśmy z ręki Bóstwa. Gdyby się nasz byt z tem życiem miał kończyć, przeklinał, złorzeczyłbym istocie, która mnie utworzyła. Bo na co z nicości łona wywabiać pojaw, który przeklina chwilę, która mu byt i serce dała? Na co z nicości wywabiać, by w nicość obrócić? Poco kolej nicości miało przerwać krótkie istnienie? Poco w tym krótkim pobycie musiałem doznać tego, co jest najokropniejszym w świecie? Nie, nie! jest wieczność! Jest Bóg, a my z jego ręki. Tam! tam! za grobem jest raj, nieszczęśliwemu pociecha a cierpiącemu ulga, tam nie ma samolubstwa, tam nikt wyłącznie nie będzie kochany, wspólna miłość obejmie wszystko, stosunek odpadnie, Bóg będzie wspólny, wspólna wieczność, wspólne szczęście i stałe! Lecz słyszę, na pacierze dzwonią. Idę zadość uczynić nowym obowiązkom.

O godzinie 10tej w nocy.

Wszystko w koło spoczywa, sen dobroczynny pozawierał znużonym powieki, wszędzie cichość, wszędzie spokojność panuje.

Wszystkie światła już pogasły w klasztorze i widzę tylko słaby blask bladej lampy, jak kiedyś niekiedyś się wzmoże i okna gotyckie kościoła oświeci, a tam gdzieś w dali spostrzegam palące się ognie pastuchów na polach.

Cicho! Wszędzie cicho — głucho milczenie dźwięczy koło ucha, które czasem tylko krzyk puszczyka i odgłos zegara rozlegający się po długim korytarzu przerywa. Okropnie!... Toż to mieszkanie dla istoty czującej? Wszystko w koło martwe, zimne, straszne, wszystko śmierć przypomina, nigdzie duszy, któraby smutek dzieliła, któraby mnie rozumieć mogła, lub przynajmniej ze mną czuwała!

„Tak, kiedyś po olbrzymim upadku światów będzie cichość i głucho milczenie rozsiane po wiecznem przestworzu przestrzeni. Tak też kiedyś po długim dniu uczucia, przyjdzie noc wiecznie długa, lecz jak noc jest ciemną i straszną, tak ciemną i pełną tajemnicy jest wieczność, a sen jest obrazem śmierci. Lecz jak po skwarliwym dniu następuje noc a w niej spoczynek, odradza przyrodę, i ranek gdy zabłyśnie, natura jest świetniejszą, tak też po cierpieniach życia, nastąpi śmierć a po niej zaświta wieczność! Duszo ma! nie drżysz — ty cierpisz, tam dla ciebie nagroda!“

O godzinie czwartej z rana.

Otóż poranek! O jak piękną jest natura, jak pięknem jest to życie! Piękny jest ten poranek! Tak spokojny i piękny był poranek życia mego; około południa upał pościagał chmury z nawałnością i gromy. Boże! jak mi będzie z południa? Jaki potem nastąpi wieczór? A po wieczorze jaka noc? Może z czasem, może za pomocą czynności, oddaniem się całkiem obowiązkom stanu mego, może za pomocą modlitw i balsamu religii przytłumię namiętność, odzyskam spokojność, szczęście... Szczęście!? bez ciebie Eugenio? Nigdy pono — rezygnuję na szczęście! Lecz już słońce się wzbija do góry; ach, ranek dzisiejszy poprowadzi cię do ołtarza, inny otrzyma skarb, który tylko ja cenić umiem! Lecz cóż mówię? Ja? Już czas, mnich niech idzie do chóru! Myślałem, myślałem, że tutaj w tych strasznych murach, że tutaj w tem ustroniu, w tej samotności, stan się duszy mej odmieni, że tak jak te głązy twarde, będzie moje serce z czasem. Myślałem, że w tym tak nieprzyjemnym pobycie dla ducha, stracę pamięć przeszłości, myślałem, że z przybraniem innej sukni, przybiorę inne uczucie, inne serce; ale

nie, serce jest to samo, a myśli, czucia, chęci nie dają się ograniczać obwodem klasztoru.

Eugenio! Eugenio! Wzięłaś mi spokojność, wzięłaś mi szczęście, a teraz z innym się pieścisz? O myśli przekłeta! Miłości, masz że ty mnie jeszcze wtrącić w przepaść zbrodni?

Nie, nie, nie złorzeczę ja twojej miłości, nie złorzeczę ci, Eugenio! O znam ja, znam, co jest miłość! Cnota zaszczerpiła w mem sercu ten boski ogień. Cnota! a nie skazi zbrodnia tego serca, które dla ciebie bije! Lecz cóż mą miłość podniecało? Któż podżarzał płomień, który sam w sobie był dość mocnym, by serce objął, spłonił, zniszczył — kto? jak nie ty?

Co znaczył ów boski uśmiech, gdyś ze mną mówiła, co lekkie ściśnienie twej ręki, gdym ją całował, co owe datki twych własnych robót, któremiś mię tak często obdarzała? A owe spojrzenie — owe spojrzenie — gdyś mnie je wręczała! Co dochowanie małych tajemnic, co wpatrywanie się w księżyc, gdym z tobą w pięknych wieczorach przy otwartem oknie rozmawiał? Co owe pełne dobroci poddanie się, nieubliżające skromności ani godności, w małych życzeniach moich, w robieniu przyjemnych chwil i ukontentowań? Co owe słowa, któreś mi rzekła, gdym się kilka dni błakał po polowaniu? „Tak krótko już masz z nami bawić Karolu, a i ten krótki czas nie przepędzasz z nami, tylko uciekasz!“ O nigdy, nigdy mi te słowa nie wyjdą z pamięci! Czyż młodzieniec, który miłością pałał, nie mógł tych znaków przyjmować za znaki wzajemnego uczucia, młodzieniec, który byłby nawet wtenczas ubóstwiał ciebie, gdybyś nim była pogardzała?

O Eugenio! czyżeś nie wiedziała, co jest serce? Czyś nie wiedziała, co jest młodość? Podżarzałaś ogień w mem sercu, by go nigdy nie ugasić?... Eugenio! jeżeli rozpacz uzbroi samobójcze dłonie, jeżeli ma dusza stanie się łupem piekła — ty Bogu odpowiesz!!! Niech ci Bóg przebaczy.

Karol.

Powieść pisana jest nader nieortograficznie, bez znajomości najprostszych zasad gramatyki, niewprawną ręką, dużemi niezgrabnymi literami, widocznie ręką studencika, młodzieniaszka, sił próbującego. Będzie to najpierwszy plód jego zachecianek literackich. Pomiedzy wierszami, już wprawną ręką pisanemi i wolnemi od krzyczących kaligraficznych herezyj, znajduje *Elegię do E.*, widocznie w lat kilka później utworzoną a odnoszącą się do dziejów pierwszej miłości siedemnastoletniego młodzieńca.

Tyś mojej duszy stanęła na straży.

Dziś ach dziś właśnie, rok dziesiąty mija,
 Jak utraciłem spokój mojej duszy!
 Lat już dziesięciu zasłona owija
 Tę pierwszą chwilę, szczęścia i katuszy.
 I po dziesięciu latach — dziś, tak dzielnie
 Czuję tę władzę pierwszego wrażenia,
 I tę tęsknotę nieznanego chcenia,
 Jak gdyby serce było nieśmiertelnie!
 Jak gdyby wiecznie nie chciało postarzeć!
 Jak gdyby miało wrócić, co nie wróci,
 Jak gdybym wiecznie miał o szczęściu marzyć,
 Które mej duszy nigdy nie ozłoci...

Poniżej zbioru są wiersze niemające związku z *Elegią*.

Tam Wertera objąłem z zapałem
 Ach tam mnie Goethe raz pierwszy odurzył,
 Tam gdy swe czucia w zwierciadle ujrzałem,
 Ledwo żem owej sceny nie powtórzył.
 Jest tam grobowiec z czarnego marmuru,
 Tam przy nim moje najmiłsze siedzenie:
 Owiał mnie jakiś oddech tajemniczy
 I święta groza oświała me zmysły,
 Boską cześć zdjęty spojrzałem dokoła,
 Jakbym się ujrzał pośrodku kościoła.

Polowi pierwsza miłość wystarczyła do wynurzenia skrytych zapałów; więcej nie pożądał. Że nie chował żalu przeciw łowczemu i córce jego, widać z pieśni r. 1851 utworzonej pod tytułem: *Przeboleło*. Opisujać pasiecznika, kozaka, nauczyciela Bazyliana i stawniczego, potraça o pierwszą swoją miłość. Jest to bardzo rzewne wspomnienie, zrozumiałe dopiero, gdy wiadomą jest historia miłości. Pan łowczy odinalowany serdecznie, a cóż dopiero córka jego. Jeszcze w ćwierć wieku miał ją przed oczyma myśli swej, gdy pisał:

Gdym raz pierwszy ją zobaczył
 I tę jasność od jej czoła,
 Rozumiałem, że anioła
 Głos pozdrowić duszę raczył.

Włosy krucze dziwnie lśniące
 Z rzęs padało iskr tysiące
 A jak włoskie niebo owe
 Takie oczy szafirowe.

A gdy im się przyjrzeć padło,
 To głębokie jak jezioro.
 Coraz inne każdą porą
 A tak wierne jak zwierciadło.

Na te oczy i w tym progu
 Jam też złożył śluby Bogu:
 Wiernie służyć wiernej sprawie
 I pocziwej ojców sławie,
 I czuć sercem, co jest święte
 I w światłości tam poczęte.

Noc to była cicha, ciemna
 A jak przyszłość tak tajemna.
 Przy otwartem oknie stałem,
 Patrząc w gwiazdy u jej boku,
 A gdym przysiągł — łzę ujrzałem,
 Łzę anielską i w jej oku,
 Ach i ręki jej ściśnieniem
 Utwierdzony, pożegnany,
 Niby świętem namaszczeniem
 Jam się rzucił w świat nieznany.

Trzechletnia miłość skończyła się tkliwą powiastką i rymem, w których poeta może zbyt śmiało mówi o dziesięcioletniej swej miłości, chyba, że Eugenię znał już od dziesiątego roku życia i od pacholęcych lat utajonym gorzał płomieniem. Ale niebawem przebrzmiały akordy miłosne, i tylko głucho echo odzywało się w kryjówkach pamięci.

Tymczasem pani Eleonora, zawiedziona w swych gospodarczych rojeniach, gdy i w Szczercu nie było czego siać i uprawiać, a wychowanie szkolne wymagało, aby dzieci siedziały w mieście, rada nie rada przeniosła się na przedmieście Zielone do Lwowa i zamieszkała u pani Antoniny z Krzyżanowskich Olszewskiej. Była to osoba wiekowa, starsza od Polowej, wdowa po Tomaszu Olszewskim, oficerze (majorze) wojsk polskich. Realność jej z obszernym dziedzińcem, sadem i ogrodem, składała się z dwóch drewnianych dworków. W jednym mieszkała właścicielka, w drugim pani Polowa. Jeden domek od drugiego odległy był tylko o kroków kilka.

Mieszkała zrazu sama z chłopcami. Niedostatek nie dozwalał jej utrzymywać wszystkich dzieci u siebie. Zofię i Wiktoryę miała w Zabrzanych krajach, Wincentemu radzi byli Ziętkiewiczze, bo go dziewczęta umiłowały jak brata. Olszewska miała dwóch synów Kornelego i Emeryka. Korneli, wyposażony przez matkę ojcowizną, rzucił się na dzierżawy w krajach Zabrzanych. Wiodło mu się do-

brze, bo kilka razy nadsyłał matce po paręset dukatów, jako zwrot części ojcowizny powierzonej sobie. Rewolucya i wojna zrujnowały go srodze.

Drugi syn służył w Królestwie w drugim pułku ułanów. Zabiwszy w pojedynku rotmistrza, uszedł do Galicyi. Tu jako szeregowiec pułku Nugent pojawił się u matki. W półtora roku zbiegł z wojska i od matki, u której mieszkał. Dostał się do Kornela, tam się ożenił i dzierżawami chodził. W rewolucyi brał udział jako oficer, konsystując w Kielcach. Emigrował do Galicyi, tu ujęty i sądzony jako zbieg z wojska, znowu uszedł z pod śledztwa z więzienia i wrócił na Wołyń do żony.

Udało się jakoś, że dano mu spokój. Obadwaj bracia zerwali po r. 1831 z rodziną w Galicyi wszelkie związki.

Pani Olszewska miała jedynaczkę Kornelię, (urodzoną 1811 r.) Była to panienka młoda, prawdziwa piękność; wysmukła, o dużych połyskliwych szafirowych oczach, otoczonych ciemnymi brwiami, z bujnym jasnym włosom na głowie, twarzą bielutką, z lekkim rumieńcem, z kibicią jak najwdzięczniej wypełnioną. Przezroczysta płeć ukazywała, jak się niefortunnie Wincenty wyraża: niebieskie żyłki z pod przejrzystej błonki... Grała nieźle na fortepianie, mówiła doskonale po niemiecku i francuzku, znała dzieje ojczyste, a rozmiłowana w poetach naszych, wyrażała się szlachetnie, bo też szlachetną była jej dusza. Pozornie chłodna i obojętna, a w istocie tkliwa, skromna i daleka od wszelkiej próżności. Kogo polubiła, względem tego była szczerą, otwartą i serdeczną — tego zjednywała sobie przychylnością na zawsze. Taka osoba zwróciła na siebie uwagę poety. Jak się to stało, niechaj to sam opowie. Nie prostszego nad tę spowiedź codzienną. Dla mnie przynajmniej ma ona urok poezji życia, urok, jakiego nie stworzy najświetniejsze pióro powieściarza, który na zimno próbuje odtworzyć pierwsze płomienie miłości. Oto, co pisze:

Piątek, 23 maja 1828.

Głęboko w myślach zatopiony, przechodziłem koło kościoła OO. Bernardynów; odgłos organów uderzył o me ucho, spojrzałem na wnijsięcie i pomyślałem sobie — ach kiedyż sercu lepiej będzie? Szedłem dalej, wtem mnie zdala uderzył widok dwóch kobiet; zrazu obojętnie na nie spojrzałem, po chwili zdawała mi się jedna z nich znajomą, chociaż przypomnienia z przedmiotem połączyć nie

mogłem. To Zosia! Nie to nie ona, patrzy na mnie — przeszła nie wstrzymawszy się — nie ona, lecz jak podobna! Jednakowoż pociągnęło mnie podobieństwo, idę za niemi — obejrzała się, stanąłem, przeraźliwym głosem zawoła „Wieuś“. i padła na me piersi. Oko, czyli bardziej przeczucie, nie zawiodło mnie. Zofia (Polówna) to była. Ach, ileż radości, ile prawdziwej czystej rozkoszy nie uczułem w tem objęciu i w tem ucałowaniu? Ta jedna krótka, przelotna chwila, więcej szczęścia i życia zawierała w sobie, niż częstokroć całe miesiące uciążliwego bytu. Tak rzadko widziana w miescie scena serdeczności zwróciła oczy przechodzących na siebie — z zimnem podziwieniem patrzano na nas, gniewało mnie to, wziąłem siostrę za rękę, i poszliśmy dalej. Panna Gurska zawsze ta sama. Dochodząc do oberży, do której zajechali, już zdala w oknie spostrzegłem Wikeię (Polównę), poznała mnie i widziałem, jak się z radości trzepała. Wszedłszy do pokoju, okryła mnie całusami, radość obfite łzy jej wycisnęła i ja byłem mocno rozczulony, czułem w jej objęciu, że mnie więcej od Zosi kocha. Cóż to za dobre dziecie się robi? Podrosła — nie piękna wprawdzie, lecz jej serce więcej warto, niż wszystkie cacka znikomej piękności. Jakże w tym dniu serce moje odtajało? Zdawało mi się, że już nikogo nie kocham, jeszcze z rana byłem zimny i martwy — czem jest człowiek bez miłości? Tyle razy powtarzam to sobie, a przecież nigdy nie mogę być szczęśliwym, kochając... *sit sibi!* Wieczorem byłem u Henryka (Janka?) — udzieliłem mu zbytek mej radości, zdawało się, że dobrze to przyjął, jednakowoż nie pojmuje dlaczego zimniejszym jest dla mnie; od kilku dni uważam w nim jakąś odmianę w sposobie bycia ze mną, napróżno staram się dojść przyczyny, czy i on nie jest tym, za co go miałem? *Et tu Brute contra me?* Czegoż ja jeszcze nie doznam?

Długo w noc nie mogłem zasnąć, wszystko, co mi Zosia o Teodozym (Bułharowskim) mówiła, stało mi na myśli, śledziłem jej przyszłość, błędne tylko mary snuły się przed nią duszą. Ach, przyszłość ludzka jest tak niepewną, a przyszłość kobiety — najniepewniejszą. Zofia ma wprawdzie to wszystko w sobie, co człowieka uszczęśliwić może, który zbyt wiele nie wymaga po kobiecie, lecz kto wie, ile on wymaga? i czy nie wymaga za mało, bo by to źle było, zmysłowa miłość przemija i niknie jak pianka na wodzie. Dziwna rzecz, bałem się tego oświadczenia, które stanowi dalszy los całego życia Zofii, a teraz, wolę, że już się stało, bo bądź jak bądź, zamęczenie jest przeznaczeniem kobiety.

Sobota, 24 maja.

Ten cały dzień przeleżałem po sklepach i składach z Wiktoryą, Gurską i Zosią. Zosia mało mówiła ze mną — przy strojach widzę niknie wszystko z ócz kobiety; przykro mi to było, lecz trzeba je przy tem zostawić! Co do p. G. zrobiłem nieraz już uczynione spostrzeżenie, że stare panny mężczyzn za lokaj mają, z tą tylko różnicą, że lokaj jest płatny i nie wszystko robi, co mu rozkażą a kawaler usługujący, więcej pełni niż wymagano i za honor sobie mieć powinien, że mu służyć wolno. Nagrodą jego ma być, nader affektowanym sposobem wyrzeczone „wdzięczną mu jestem“, lub „prawdziwie żał mi, jak się fatyguję!“...

*Niedziela, 25 maja,
o godzinie jedenastej z rana.*

Ach sam, sam jestem na świecie, w każdej chwili dalszego bytu i dłuższego życia co raz mocniej mi się to czuć daje, że sam sam jeden na świecie jestem! Nikogo nie mam!

Nie mówiąc z nią o tem, nie prosząc jej ani teraz ani w przyszłości o jakąkolwiek pomoc — sama z litością niby wyrzekła, ażebym się niczego od niej nie spodziewał, gdy pójdzie za mąż — czyliż ja o co prosiłem? Najostrożniej unikałem podobnej rozmowy, czyliż ja ludzi z tej strony nie znam? Czyliż mogłem się czego spodziewać? Lecz po co się tej rany dotykać, która nigdy nie jest zagojoną? Po co mnie mówić, ażebym się niczego nie spodziewał? Kiedy ja sam wiem o tem. Siostra była w stanie mnie to powiedzieć? Jak one mało moje serce znają — jak się nie umieją z niem obchodzić! „Gdy będziesz miał urząd — mówiła — lub gdy odbierzesz pieniądze z Warszawy, przyjedź do mnie a ja ci dopomogę do dobrego ożenienia“. O dziękuję ci mija Zosiu! Ja sobie żonę i bez was znajduję! Bądź pewną, twój brat nie naprzykrzy się nikomu w twoim domu. Nie chcę, nie potrzebuję pomocy!

Dnia, 28 maja wieczór.

I po co zniszczyłem tamto piękne widziadło, którem się szczyciła moja wyobraźnia? Po co samochcąc zatraciłem obraz Eugenii, który mi miał do grobu towarzyszyć? Po co nierozważnie na nowo spletałem me serce? Najgwałtowniejsze namiętne uczucia już były

przeminęły, łagodna tylko tęsknota pozostała w mojej duszy jeszcze a kochając bez bólu, byłem szczęśliwym i szczyłem się sam przed sobą moją wiernością — i tę cnotę musiałem utracić! Serce moje coraz uboższem się staje.... Człowieku, podły niewolniku zmysłów, pilko stosunków i czasu, drażliwa sprężyno. którą łada odrobina wdzięków do drżenia przyprowadza — ty chcesz marzyć o wiecznej stałości? Zrażony skureczasz się jak powój przed nocą i jak powój rozwijasz kwiat twego serca na nowo, gdy ci tylko najslabszy promyczek nadziei szczęścia zabłyśnie? Przeklęty narowie człowieka, przekłeta żądzo szczęśliwości i ty zwodnicza nadziejo; ty zwabiasz twemi cackami człowieka na te bezdroża, z których już nie ma powrotu. Jak dzieci za motylami, lecim za twoją ponętą — motyl ulatuje, gdy go pojmać cheemy, ból i żal jest naszym udziałem i my płaczem jak dzieci. Mniemałem, że tutaj znajdę prostotę i niewinność, mniemałem, że znajdę szczęście, pozorną niewinność pociągnęła mnie, dałem się obłąkać mojej wyobraźni... Ach! ja tak dobrze wiem, jak w to wszedłem a przecież wszedłem! Człowiek samochcąc szuka katuszy!

O Tytusie! Tytusie (Lewitowski), ileż razy nie jestem zmuszony do wspomnienia twych gorzkich prawd.

„Kobiety są złe!”

Dnia 29 maja 1828 wieczór.

Czemuż nie usłuchałem mego przeczucia? Wstąpiwszy pierwszy raz na ten dziedziniec i do tego ogrodu, nieznany jakiś głos przemawiał do mnie; „Tu się będziesz kochał!” Nie lękało mnie to przeczucie, sercu zachciewało się rozkoszy, chciałem znowu smakować w szaleństwie miłości. Pierwszy raz, nocując w tym domu, miałem sen o białej gołębiczy, która krążąc długo dokoła mej głowy odleciała w nieznajomą stronę, tenże sam sen, który miałem dniem przed poznaniem Eugenii. Wszystko mnie ostrzegało. Gdy wszedłem drugiego dnia z Tytusem (Lewitowskim) do ogrodu, rzekł do mnie: „Tak, poznaję to miejsce, to są też same domki, co za miłe ustroenie! Już drugi z moich przyjaciół tutaj mieszka. Franciszek D[obrzański] tutaj się kochał. Tylko ty się tutaj nie zakochaj! Wszystko mnie ostrzegało. Cały miesiąc była na wsi, słyszałem tylko o niej, wyjechałem na dni kilka do Horbacz, powracam wieczór — już była. — Wiekia (Polówna) mówiła mi o niej i razem o tem, że jej o mnie nagałano dużo i że ciekawa mnie bardzo

poznać. Biegnę, z radością przyjęty zostałem od jej matki i brata, patrzę wychodzi z drugiego pokoju i mówi do matki: „Cóż mnie mama nie zarekomenduje panu Wincentemu?“ Więc niejako znajomość bez znajomości, pomyślałem sobie. Istota nie nieznająca, prócz oczu i brwi, nie mnie nie uderzyło na pierwszy rzut oka. Miała czerwoną chustkę na szyi, którą tak wysoko wysuwała, że prócz głowy nic więcej widzieć nie można było. Ile sobie przypominam, byłem nadzwyczaj wesoły tego wieczora i pewnie z pierwszego wieczora sądziła o mnie, że jestem trzpiotem, co mnie mało wtenczas obchodziło.

29 maja 1828.

Drugiego dnia mówiłem z nią więcej. badałem zdania, lecz „nie wiem, nie rozumiem lub nie znam się na tem“ — były zwykłe odpowiedzi. To jest jeszcze dziecko, pomyślałem sobie. Ten uśmiech, ta naiwność, ta wesołość, pociągnęła mnie nieco do siebie; bywałem częściej. „Ach, musi być to rozkosz kochać taką istotę, która jest jeszcze pośrednictwem między dziecięciem a dziewczą, — mówiłem nieraz sam do siebie i zacząłem ją brać dosyć często za przedmiot mych myśli. W tem zaśląbła — odwiedzałem ją, była mało mówiącą i dziwaczną, a grymasy te wstręt mi uczyniły. Wyprowadziliśmy się i nie bywałem w domu jej matki więcej miesiąc. Moja matka dawała mi nie raz nagany z tego powodu, i chwaliła bardzo niewinność tej dziewczyny, skromność i przyzwoitość. Pochlebilo to niecoj meji miłości własnej, poszedłem. Ujrzawszy mnie spłoniła się mocno, a bladłość, która potem powróciła na lica, była dowodem, że ja byłem powodem rumieńca. Ta przyjemna bladłość twarzy i to osłabienie pięknie odbijało przy nieco ożywionych oczach, był to dzień pierwszy, w którym się podniosła z łóżka. Zajeła mnie więcej, bywałem codziennie i codziennie wieczorami, ledwo się obudziłem, pragnąłem, aby najprędzej wieczór nadszedł. Poznawszy, że mnie mocno zajmuje, nie byłem u niej dni kilka, lecz właśnie wtenczas uczułem, że ją już kocham. Ach! człowiek jest słabem stworzeniem. — Musiałem ją widzieć... Bywałem coraz częściej, sprowadziliśmy się powtórnie. Jej okno było naprzeciw naszego, widziałem ją co chwila, słyszałem ją co chwila mówiącą na ogrodzie. Czy jadłem, czy co pisałem, czy chodziłem po pokoju, zawsze mi była na oczach, zawsze na myśli. Okno to mnie dobiło, nie, to nie mogło być inaczej — niewinne dziewczę i moje serce.... musiałem ją kochać... Domowe stosunki zaczęły mi mocno

dokuczać, ona była obojętną dla mnie. Co począć, myślałem? Rzucić się w świat, zostać żołnierzem. Nikomu miły, czego mam się tutaj tułać. Przeznaczenie chciało inaczej — zostałem... i dzięki Bogu.

30 maja 1828.

Byłem u Henryka (Janko). Niesłuszność mu czynilem; jak mogłem kiedy powątpiewać o przyjaźni tego człowieka? Raz na zawsze niech temu koniec będzie, jestem zawstydzony. Nadszedł do jego pokoju sekretarz (Esenko), nędzna kreatura, długie mi prawił kazanie, naganiał moją nieczynność. Ten człowiek jest tego zdania, że ci ludzie tylko pracują, którzy z piórem za uchem przy stoliku kancelaryjnym siedzą — chwalił życie mego ojca i jego wielkie zasługi, nazwał mnie dumnym, że się o urząd nie staram i dodał na końcu, że mi nakazuje, ażebym się starał o miejsce, które jest teraz w sądzie szlacheckim uwolnione. „Podaj się, rzekł — a my ci wszyscy dopomożemy“. Jakkolwiek mnie dojął kilka razy w przeciągu tej mowy, podziękowałem mu, bo cóż było robić? Życzliwość niejako prowadziła jego kroki. Henryk się płonił z oburzenia, widząc mnie boleśnie a niezasłużenie dotkniętym. Obiecałem mu, że się podam.

31 maja.

Otrzymaliśmy wieczór najstraszniejszą wiadomość o Zofii. Ach gdyby była kłamstwem, gdyby tylko była podłym wynalazkiem oszczerey, Bóg by to dać raczył! Całą noc przeczuwałem w najstraszliwszym stanie, miotany najdzikszem uczuciem w świecie. Żal, smutek, tęsknota, rozpacz, gniew i oburzenie panowało w mojem sercu naprzemian, od śmierci Franusia (Pola) nie mnie jeszcze tak mocno nie przejęło. Kto wie, może jest inaczej, więc niech ten papier nawet nie wie, co się w mem sercu działo. Wieczór sły-
szałem ją mówiącą z bratem (Emerykiem), ach jak odmienne są ich zdania. Nie! serce moje mnie nie zawiodło, w niej mieszka szlachetna dusza — tylko temu chce swą rękę oddać, który jej serca godzien będzie, któremu serce święci. Poznałem oraz przy tej rozmowie jego chciwość pieniędzy, jakoteż jej zdanie, z którem się nigdy przedemną nie wymówiła. Nie pojmuje, co w niej jest powodem tej skrytości. Nad ranem dopiero usnąłem.

Dnia 1 czerwca 1828.

Dzień pogodny rozproszył czarne myśli, które się przez całą noc po mej głowie snuły. Nie, Zofia nie mogła tego uczynić; ona jest zbyt szlachetną; to nie cechuje jej charakteru, ani jej serca, ani temperamentu. „Haniebna samozwanka“ — pomyślałem sobie i byłem zupełnie uspokojony.

O Wincenty, ten dzień głęboko wryje się i w twej pamięci. Ona była tak przystępną, tak łagodną, tyle się mną zajmowała. Cóż to musi być za szczęście, widzieć się w posiadaniu jej miłości! Nad wieczorem byłem z nią w ogrodzie. Zamojski bardzo się jej podobał, co dowodzi, że jeszcze mało widziała. Czem więcej Januarego (Poźniaka) poznaję, tem więcej mi się podoba — walny chłopczyśko, szczery i czuły.

2 czerwca.

Podałem się więc. Może to tak dobrze, że w tym samym urzędzie będę, w którym był mój ojciec, może w tym spokojnym sposobie życia znajdę szczęście, może przy pracy odzyskam znowuż wesołość, spokojność i zdrowie, może życie nabędzie dla mnie nowych wdzięków — może — ach człek się tak chętnie ludzi nowymi coraz nadziejami! Czy to znowuż nie jest nowa błyskawica, która mi dlatego tylko przyświeciła, ażeby się gruba ciemnota do koła mej duszy tem straszniejszą zdawała? Moje ulubione piosnki, powracają znowuż na jej fortepian a ja jestem przy tem tak szczęśliwy! O ileż razy muszę sobie powtarzać, że jestem słabym, bardzo słabym, że jestem dzieckiem. Może otrzymam urząd, może ona mi sprzyja, może nawet więcej niż sprzyja — może mógłbym być z nią szczęśliwym — może... Ach to wszystko tylko „może“ — żadnej pewności, żadnego stanowczego punktu w tem nie masz.

K. Feliks widzę jest w tym domu nie tak dobrze jak przedtem przyjmowany; to obraża jego próżność; widać w nim nieniekontentowanie. Zdaje mi się, że i ze mną jest obojętniejszym. Dziwny człowiek, jak on mało zna ludzi — ale! co znaczyło jej pomieszanie w początkach zapoznania Feliksa (Kopystyńskiego)?

Dnia 7 czerwca 1828.

Życie nie jest bez wdzięku! a miłość jest nieprzebranym źródłem zbawiennej rozkoszy. Ona tylko, biorąc z nieba swój począ-

tek, może boską część w człowieku uszczęśliwiać. O ileż to razy przeklinam mój byt i chwilę, w której się zrodziłem, ileż to razy staje mi się życie ciężarem! W tem ona na mnie spojrzy, uśmiechnie się mile, przemówi kilka słówek, pozwoli rękę ucałować, zagra piosnkę na fortepianie i znowuż nowy byt, nowe życie, nowa siła powraca do duszy, jakaś radość przejmuję me piersi, nowe nadzieje zabłysną w przyszłości i na nowo przywiązuję się do tego życia, które już żadnych dla mnie powabów nie miało.

Rezygnacya miłości, jeżeli ją uczynię, będzie mem nieszczęściem! Nie, zimne zrzeczenie się, zaprzeczenie samego siebie i błogiej skłonności nie jest dla takiego serca jak moje! Jestem stworzony, bym kochał. Lecz mogęż być kochany? to jest właśnie pytanie! Czyż nie zasługuję na to? Może będzie mnie kochała, jeżeli będzie mogła być moją; wszak zdaje mi się już teraz sprzyjać... Ale właśnie — to nieszczęśliwe „zdaje“ — o gdyby i tak było, łudźmy się. Człowiek jest tylko wtenczas szczęśliwym, gdy się łudzi — smutne przeznaczenie!

Dzisiaj po południu byłem w jej pokoju. Dzień był parny, niebo zasepione, a od zachodu nadciągały czarne chmury, słaby grzmot dawał się słyszeć kiedyś niekiedyś a rześiste błyskawice, które przeszywały czarność brzmiennej chmury i zupełna cisza, która w całym powietrzu panowała, zdawała się zapowiadać tem większe oburzenie żywiołów w następnej chwili. Cały dom był w obawie. Stare kobiety wzywały świętych, krzątając się spieszenie około roboty, jak gdyby chciały nie uważać burzy, psy z trwogą w kąty powłaziły i w jednej chwili zamknięto wszystkie drzwi i okna w całym domu. Grom dawał się słyszeć coraz dobitniej i coraz się częściej błyskać zaczęło, mocny tuman poprzedził na chwilę deszcz, który wielkimi kroplami rzadko pokrywał ziemię i wzrósł, aż do ulewy — rześiste perły gradu mocno poczęły bić o szyby, a woda potokami leciała przez dziedziniec i ścieżki ogrodowe. Każde jej wewnętrzne poruszenie bacznie strzegłem oczyma, była mocno przerażona i twarz jej pobladła a przestрах nieprzyjemny wyraz wycisnął na jej licach. Sama nie wiedziała, co ma czynić, a gdy się burza coraz bardziej wzmacniała, rzekła do mnie trwożliwym głosem, jak gdyby się chciała radzić: „Ja się będę modlić“. „Niech się Pani modli“ — mówiłem, wiedząc, że ją to uspokoi. Uklękła i wzięwszy książkę czytała modlitwę: „Kto się w opiekę, i t. d.“ Wyszedłem do drugiego pokoju, chcąc ją samą z Bogiem zostawić — i wiedząc, że się tak szczerze modlić nie można, gdy przed kim nasze wewnętrzne poruszenia pokrywać chcemy. Z nikim

bowiem nie chcemy tak otwarcie w trwodze postępować jak z Bogiem — wstydzimy się niejako zdradzać naszą słabość przed ludźmi. Jej modlitwa zdawała się więcej być podobną do trwogi, która się niezrozumiałemi słowy tłómaczyła, niżeli do błagalnej prośby. Burza minęła — a wraz z nią i przestach, wieczór był pogodny, szkoda tylko, że widok ormiańskich twarzy pozbawił mnie użycia. Ach jak się cieszę z tego, że ona ich nie lubi! O przekłete jędze, drugi raz nie uda wam się wasze dzieło!

8 czerwca.

W jakimże oczekiwaniu ja teraz nie żyję? Nim dwa miesiące upłyną, wszystko będzie rozstrzygnięte — będę miał list od Zosi (Polówniej) — będę miał odpowiedź z Wiednia, może przyjęty do urzędu — może i Wincenty razem ze mną a Bogusław (Longchamps) może otrzyma stypendyum na medycynę — to wszystko będzie rozstrzygnięte — ale jak? Boże! w twojej ręce przyszłość niezbadana — nie odstępuj nas w potrzebie!

Żaden oddział mego życia nie był tak brzemiennym, tak stanowczym, a przecież jestem szczęśliwym przy tych niepokojach, bo się mam czego spodziewać, bo żyję w nadziejach. Nadzieja i ułuda, to są dwie przyjaciółki człowieka, za których tylko przewodnictwem świat się nam z pięknej strony pokazać może. P. Januarego (Poźniaka) muszę codziennie więcej kochać. sądzę, że się nie zawiodę; oddam mu moje serce, nigdy on wprawdzie nie mówi o przyjaźni, lecz to jest właśnie dobrze. On zdaje się być dla mnie stworzony a ja tyle razy zawiedziony i zdradzony od przyjaciół, chcę jeszcze raz tylko zawierzyć, może się przecie znajdzie dusza, która się pozna na tem sercu. Gdyby tylko takim był dla mnie jak Longsz (any) o ile byłbym bogatszym! Lepszych przyjaciół mieć nie można. Jakże to boleść będzie dla mnie, jeśli wyjadą do Wiednia! Sam będę a kto wie, może i oni — nie wiem dlaczego, ale me serce o tem nic dobrego nie przeczuwa! Dzisiaj wziąłem jej kruką do siebie — będzie bywać w mym pokoju, ale może nie tylko dla kruka, ale to tylko może!

9 czerwca.

O sprzeczności serca ludzkiego! Nie raz sądzę, że mam tyle siły w sobie, że mogę ją porzucić, że mogę się zrzec tej miłości —

a wczoraj, kiedy mnie Bogusław (Lonszan) mówił, że słyszał od jej przyjaciółki, że może tego roku za mąż pójdzie — nie mogłem się oswoić z tą myślą. Nad świtem dopiero usnąłem, a w pierwszej chwili straszliwe uczucie przeszło mą duszę.

Ach kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy!
I noc ma spokojną i dzień nie tęskliwy!

Może mnie ma to dziewczę o życie, o niebo i zbawienie przypawić.

10 czerwca.

— Co za dziwni ludzie! Pytają mnie się, czemum ja nie wesoły, jak gdyby serce było cackiem, które każdemu z pudełeczka wyjąwszy można dać do oglądania. Wszak ja się nikogo nie pytam, czemuś ty nie piękny? Czyliż wesołość jest każdemu daną? Czyliż każdy może być lekkomyślnym a myśląc szczęśliwym i spokojnym? I jakie to piękne przyczyny są powodem tego badania? Ciekawość i chęć sądzenia o ludziach. Ludzie cisną się tylko dlatego do mnie, ażeby, dowiedziawszy się o przyczynie mego smutku lub nieszczęścia, mieli powód dania sądu o mnie, a osądziwszy mnie błaho — później powód do niecenienia człowieka, który jest fantastą i marzycielem, albo podług ich zdania, waryatem po prostu powiedziawszy. Czyliż jestem temu winien, że takie czucie właśnie ja dostałem w udziale? Czyliż jestem temu winien, że mnie nikt nie chce, czy nie może rozumieć, że ludzie w istotnych cierpieniach urojenie tylko upatrują. „Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być ale we mnie!“ O Adamie, za tych kilka słów, byłbyś tym, czem jesteś w moich oczach i w mem sercu, za tych kilka słów tylko!

Ona była dzisiaj smutną nieco i myślącą; kto wie, co się tutaj święci? Matka wychodzi z domu częściej, czego przedtem nie bywało, jej przyjaciółka L***, uważałem, nosi w sobie jakąś tajemnicę. Ona mi dosyć sprzyja, gdyby ją podejść, mógłbym się wszystkiego dowiedzieć — lecz nie! Wincenty, tyś zawsze prostemi ścieżkami chodził! Jak się to zakończy? jak się to rozwiąże? Codziennie czuję większy ból w mem sercu, codziennie czuję się więcej do niej przykutym. Co mnie tak do niej pociąga? Wszak ja dawniej miewałem piękny rozum i zastanowienie? Wszak umiałem innych leczyć na tę słabość, wszak ona ma błędy, wszak sądziłem, że u mnie lata szału już minęły! Co mnie do niej tak pociąga? Nie

wiem! Słota. Nie mogę sobie pomyśleć, żebym mógł przeżyć jej stratę. Ach to się niedobrze zakończy!

Przed Januarem P[oźniakiem] wylałem dzisiaj całą mą duszę; czuł razem ze mną i jeden człowiek, który mnie chciał rozumieć i zrozumiał. Boże, wszystkiegoś mi odmówił! Wszędzie mnie prześladowiesz, daj mi przynajmniej przyjaciela, któryby pomógł dźwigać ten ciężar, pod którym odwaga, siła i rozum upada.

Z Feliksem (Kopystyńskim) rzecz tak dobrze jak zerwana — lecz jam tego nie chciał. U Henryka (Janka) byłem dzisiaj w ogrodzie, i on nawet nie zdaje się być szczęśliwym, znikąd pociechy nie ma dla tego serca! Czas pójść spać, już północ minęła — trzeba się rzucić na łożo, by czuwać w cierpieniu, albo cierpieć we śnie — wszystkie sny są u mnie wiernem zwierciadłem dziennego uczucia. Oby tej nocy zasnąć na wieki!

3 czerwca 1828

Dzisiaj skończyłem mego *Samobójcę*. January powiada, że mi się udał. Jej się podobał, nie dbam o zdanie całego świata teraz; tylko nie pojmuję jednej rzeczy, jak mogłem dzisiaj, będąc tak szczęśliwym, coś podobnego napisać?

*

*

*

I ja także dziennik prowadzę; przed Kornelią nie mam nic skrytego; przeczytaj pani niektóre wyjątki z niego, więcej podobnych papierów później pani udziele, jeżeli będziesz sobie tego życzyła.

Wincenty.

*

*

*

Spowiedź poety wypada objaśnić w ustępach o Zofii Polówniej. Szła ona za mąż za człowieka, którego nie kochała, który nie dorównywał jej wysokiemu wykształceniu. Żenił się, bo chciał pensjonat utrzymywać i użyć żony za nauczycielkę. Czuła dobrze, iż nie będzie szczęśliwą. Były widać chwile, że zrywała z nim, lub obchodziła się z nim nie jak narzeczona. Ztąd dochodziły o niej pogłoski do Wincentego, które go oburzały. Bolało go także, iż Zofia wypowiedziała mu, iż na przyszłość liczyć nie może na jej wsparcie. Może to było dotkliwe położenie, ale godziło się zwrócić

uwagę Wincentego na to, iż już czas pomyśleć o jakim zajęciu stałem. Liczył bowiem lat 21, a dotąd nie miał żadnej myśli przewodniej. Marzył, wierszował, a tu czas schodził z dnia na dzień. Zofia, która wspierała całą rodzinę, miała prawo i obowiązek oświadczyć, że już pora z bezczynności przejść do pracy zarobkowej. Nie rozumiała tego, że poeci inaczej żyją, inaczej myślą i inaczej działają.

Kornelii udzielił dzienniczka, bo i ona prowadziła dziennik nawet i po roku 1831 a za jej przykładem poszła także Agnieszka Ziętkiewiczówna. Co się z tem stało? Zapewne przepadło, jak przepadło całe prawie sześćoście literackiej pracy Wincentego z lat 1826 do 1831.

Matka Kornelii nie była rada z romansu córki. Tak piękne dziewczę, tak dobre, i tak wypieszczone, rada byłaby oddać w stateczniejsze ręce. Poeta bez zatrudnienia, bez przyszłości, nie dawał rękojmi trwałego szczęścia. Ale zacna wdowa przeszła niemało zawodów. Z wielkiego majątku przodków została mała posiadłość i jedyna córka ukochana nad życie. Żyła tym skarbem tylko, niczem nie chciała zachmurzyć pogody jej czoła.

Bywało, Wincenty udał się do Mostek i tam dłużej bawił, aniżeli przyobiecał. Panna zasępiła się, tęskniąc za nim, wówczas matka na poły żartując, mówiła jej: Wolałabyś kochać się w Januariu, bo ten, choć także lata po niebiosach, to jednak uczęszcza do szkoły i egzamina zdaje i będzie miał kawałek chleba a twój Wincenty tylko buja i nie nie robi. Była to przymówka, aby Kornelia skłoniła Wincentego do ukończenia studyów, lecz ona tego nie wymagała, wolała kochać poetę niż prawnika. Zakochani nie rachują.

Towarzystwo Olszewskiej składali staruszkowie Bogdanowicze. Pan Franciszek, 70-letni starzec, był kasyerem banku ormiańskiego. Dwie ich córki przyjaźniły się z Kornelią, ze starszą ożenił się Bazyli Lewicki. Poźniak, Antoni Jabłoński i kadet od grenadyerów pułku Nugent, Franciszek Dobrzański, należeli do zwykłych gości domowych. Ostatni, tak jak Wincenty, dostał od Jachimowicza złą notę z religii i dlatego zaciągnął się do wojska. Był to najpiękniejszy grenadyer w pułku, a że przytem z zamożnych rodziców, więc nie obyło się bez nieustannych romansów z Lwowiankami.

Niedługo cieszyła się pocziwa matka rojeniami o przyszłości córki. Było to w roku 1829. Polowa pojechała do Winnik na świeże powietrze, a Wincenty bawił w Mostkach, gdy uwiadomiono Poźniaka, że Olszewska zapadła na zapalenie płuc. Lekarz zrazu nie miał obawy, nazajutrz atoli Kornelia doniosła, że matka umiera.

„Przybyłem natychmiast — opowiada Poźniak — w pokoju przy chorej oprócz Kornelii nie było nikogo więcej. Chora już nie mówiła, Kornelia klęczała przy jej łożu w nogach, blada, zmartwiała, a łzy spływały po jej licach. Nie rzekła ani słowa, gdy do komnaty wstąpiłem. Przystąpiłem do łoża umierającej, zdaje się, że mnie poznała, bo gdy ją wziąłem za rękę, jak lód zimną, ścisnęła moją rękę, z czułością popatrzyła na mnie, a może w dziesięć minut skończyła bardzo lekko. Zmarłej zawarłem oczy, podniosłem Kornelię z ziemi. Rzuciła się na trupa matki prawie konwulsyjnie i poczęła całować. Musiałem użyć całej siły, nim ją od trupa oderwałem i do innego wyprowadziłem pokoju. Wezwałem ją, by się zebrała, uskuteczniła to machinalnie, nie wyrzekłszy słowa. Zamknąłem pomieszkowanie, wziąłem Kornelię pod rękę i zaprowadziłem do Bogdanowiczów. Zgon Olszewskiej tak mi w tej chwili stanął przed oczyma, jakby się to było wczoraj działo, a to temu już lat 50“.

Sierota tułała się to u Bogdanowiczów, to u Lewickich, aż ją przygarnęli jak własną córkę Ziętkiewiczowie, i tam dziewięć lat przepędziła, oczekując zamełżenia. Opiekunem był Lewicki, doradcą prawnym Poźniak; do spadku nie zgłosili się bracia, więc realność tę przepisano na córkę. Później kupił ją Lewicki i dom wybudował. obecnie posiadają ją Zamojsey. Dziś tam ani śladu owych drewnianych domków, sadu i ogrodu, ani śladu sielanki młodości, ani śladu cichego ustronia zakochanego poety.

VII.

P O E T A.

Gdy młodzieniec zaniedbywa nauk, zła to wróżba na przyszłość. Rodzina słusznie tem się niepokoi. Co będzie z niego? Czem żyć będzie? Na co się przyda społeczeństwu? Jeszcze gdyby szumiał — to wyszumi przecie, a potem pójdzie prosto za drugimi. Lecz co będzie z takim, co nie szumi, nie szuka uciech, nie rozpustuje, tylko błądzi po polach i lasach, marzy i deklamuje. Na pozór nie ima się czegokolwiek, nie pyta o jutro, bo mu dzisiaj wystarcza. Ubolewają nad nim, ale kochają go. Kochali go więc ci, którzy go bliżej znali, ganili ci, którzy patrzyli z odległości. A nie łatwo było go bliżej wy badać. Gładki, uprzejmy i nader miły w stosunkach, nie przyjaźnił się z lada kim, nie roztwierał serca lada komu. Były tego przeróżne przyczyny. Raz dlatego, że po zgonie ojca położenie materyalne zmieniło się nagle. Z kilkutyśięcznego dochodu pozostała płaca na utrzymanie rodziny 500 złr. Kiedy się wiodło i można było dostatnio żyć, byli przyjaciele. W dobie tego domowego szczęścia przyjaźnił się Wincenty z niejakim Feliksem T. Kiedy się odwróciła fortuna, odwrócili się domowi przyjaciele oprócz jednego Winnickiego i Ziętkiewiczów, a serdeczny dotąd Turkuł lekceważył zawiązaną przyjaźń i dawał Wincentemu uczuwać przewagę rodową i pieniężną. W pierwszych miesiącach roku 1826 przyszło między niemi do zwady, ztąd do pojedynku. Wincenty otrzymał ciężkie cięcie pałaszem przez głowę, od którego pozostała blizna na całe życie. Odtąd Wincenty unikał wszelkich łatwych i niestosownych przyjaźni. Nie wiem, czy do tej zwady odnosi się (ale z tej podobno pory) list pisany przez Wincentego następującej treści:

„Kochany Przyjacielu! Don Kiszonady w dziewiętnastym wieku zupełnie z mody wyszły! Cnota obrony nie potrzebuje, gwałtu bronią prawa i mądre ustawy krajowe, czasy najazdów zniesione potęgą oświecenia i rządu — a tymczasem rycerskie wieki zginęły od czasu, jak wynaleziono proch palny i drukarnie. *Hoc, qua exordium*. Teraz zaś powiedz mi, ileś już zaklętych księżniczek wybawił? Czyś nie znalazł źródła nieśmiertelności? Kogoś z palących gruzów wyniósł? Ileś smoków w jaskiniach udusił? Ileś się razy zakochał? Czyś nie uprowadził jakiej księżniczki z domu rodzicielskiego? Czyś nie miał pojedynku i ilu przeciwników śmiercią położyłeś? Na to wszystko musisz mi odpowiedzieć, bo ja zamysłam pisać powieść pod tytułem *Nowy Don Kiszot* a ty będziesz w moim romansie owym zawołanym bohaterem, który to wszystko będzie dokazywał w zmniejszonej mierze, to jest będzie nieznanym damom rękę podawał, gdy będą wysiadały z powozu do austeryi, zadrze się z kadetem przy bilardzie w jakim małym miasteczku, spadnie przez jaki przypadek z konia ze dwa razy, zaniosą go potłuczonego do ekonoma albo leśniczego, gdzie mu panna ekonomówna poda filiżankę rumianku a miejsce kosztownych balsamów zastąpi wódka z mydłem — on zaś za to, gdy wyzdrowieje, przechadzając się z nią po wsi, opędzi ją od psów; będzie często źle jadł, pił i spał; zgubi pieniądze, odsedni konia a sam znużony i nieco chory, poszle do babuni Danilka *alias* Szanszopansza, ażeby mu przysłało konie z bryczką i trochę pieniędzy, ażeby się jakim sposobem do domowej strzechy dostać. Tam go przyjmie kochająca rodzina z radością, będzie leżał i wczasował się na powetowanie trudów poniesionych; przyjaciel jego, który dotychczas był we Lwowie na turniejach będzie mu książki czytał — a tymczasem miną i wakacye, trąba do sławy woła: trzeba jechać na turnieje prawa cywilnego do Lwowa! Tutaj ostatnia kartka jeszcze jedna białego papieru, potem kompaturka, albo co modniej broszura — i koniec romansu“.

Dopiero w r. 1828 zawiązuje Pol serdeczną przyjaźń z Janu-
arym Poźniakiem, który także chorował na wierszowanie i na mi-
łość. January poznał wyższość talentu Wincentego i odwoził go
od karyery urzędniczej, skłaniając ku zawodowi literackiemu. Że go
zrozumiał od razu i od razu oddawał mu cześć jako poecie, jeszcze
w czasach gdy nie dało się przewidzieć, do czego doprowadzi ma-
rzyćielstwo młodzieńca, znajduję wskazówkę w wierszu, który Poźniak
Wincentemu w r. 1829 ofiarował.

Złote życzenia niech ci niosą w dance,
 Odemnie przyjmij cichy akord lutni,
 Na której dumam od puszczyka smutniej,
 O mych Karpatach, o mojej kochance!

Przyjmij listeczek karpackiego ziela,
 Które góralek przyozdabia wianki;
 Com na *nezabud* dostał od kochanki —
 Listku od lubej idź do przyjaciela!

Listek ten świeży, jak miłość niebieska.
 Ja go łąą skrapiam, bez łąy pożółknieje...
 Dar jak na przyjaźń niechaj nie więdnije!
 Nie dam — niech nie drży w oku druha łązka!

Więc samą piosnkę, smutną jak Karpaty,
 Dostaniesz w datku, pieśni świat nie klaśnie,
 Lecz wiem, pieśń druha w twej duszy nie zgaśnie,
 Jak pieśń Litwina w krainie Sarmaty!

Miał i innych przyjaciół serdecznych, ale byli to przyjaciele zwyczajni, którzy też zwyczajną miarą chcieli obdzielać niezwyčajnego młodzieńca. Tym nie mogło się pomieścić w głowie, jak można być dobrym religiantem a dostać dwójkę z religii, jak można miłować nauki a przepaść w egzaminie filozofii, jak można mieć ojca radcą apelacyjnym, a nie zapragnąć miejsca przy apelacyjnym biurku. Najpierw przyjaciel jego ojca, sekretarz Esenko, tak długo nękał go, aż biedny poeta skłonił się do napisania podania o posadę praktykanta sądowo-manipulacyjnego. Nie mając egzaminów prawniczych mógł z czasem wyjść zaledwie na kancelistę. Nietęga karyera, ale cóż było robić!

W pamiętniczku Wincentego była data podania się, którego załatwienie opierało się aż o Wiedeń. Esenko pocziwy, ale typowy wychowaniec kasty, uznając człowieka tylko na wysokości urzędu, cieszył się, że dopomaga synowi swego przełożonego. Prośba ła-cińska konceptu Essenki była przepysznie wystylizowana. Zaczynała się, jeżeli nie jak *Illiady* pieśń jaka, to przynajmniej jak Eneida wyrazami: *Spargitur rumor quod ego!* 'To Jowiszowe niby *quos ego!* obejmowało dalej, iż ów *rumor* zanosí wieść o opróżnieniu posady akcesisty, którą suplikant otrzymać pragnie. Zezwolenie przywlokło się dyliżansem z Wiednia, zapakowano młodzieńca do skrobania pióra i przepisywania. Ale gdzie tam! Rwała się dusza w świat. Po trzech tygodniach uciekł do Mostek do Kornelii,

co mu Poźniak szczerze pochwalił, wiedząc, że przecie nie godzi się marnieć w życiu poliniowanem na godziny, minuty i sekundy.

Hulałże sobie znowu lat dwa po świecie, pisząc wierszyki, czytając i robiąc wyciągi z dzieł poetów dawnych, aż znowu zaczął go bliższy mu uczuciami przyjaciel. Był to Bazyli Lewicki, opiekun Kornelii, któremu na sercu leżało, iż Kornelia lat tyle czeka, a młodzieniec o ustaleniu losu nie myśli. Musieli wdać się w to i dawni koledzy ojca Wincentego, i naciskać Lewickiego, aby jako starszy użył powagi. Wziął się tedy do dzieła, i oto on Polak szczerzy, przyjaciel najżyczliwszy, wystąpił z istniejącym oficjalnym listem niemieckim. Przyjaźń przywdziała urzędowy mundur i przemówiła temi osobliwemi wyrazy:

Schätzbarster Herr v. Pollenburg!

Unsere Hoffnungen und die von sich erregte bessere Meinung, haben Sie, wie es scheint minder geachtet, da Sie solche zu vereiteln kein Bedenken trugen.

Wir sehen alle mit Missfallen, dass Sie leider, den seit langer Zeit vorgefassten und schon überreifen Plan Ihrer Abreise an den Ort Ihrer Bestimmung anstatt zu beschleunigen, vielmehr gänzlich aufgegeben zu haben scheinen. Die vorthellhafteste Gelegenheit mit Ihrem geehrten Bruder dahin zu reisen, haben Sie auch unbenützt verstreichen lassen. Dies vernichtet ja den Keim Ihrer in der Entwicklung erst begriffenen Idee, und die schöne blumenreiche Dichtung Ihrer ideellen Welt zerrinnt wie eine Duftgestalt in diesen leeren Regionen, wo der Strahl der Seelenthätigkeit durch den Wolkenfloh des Sinnentaumels nicht durchbricht, und die Geisteskraft solche nicht belebt.

Bei so bewandten Umständen entsagen Sie lieber, mein bester Freund Ihrem so grundlosen Plane auf immer, lassen die goldenen luftgewebten Schlösser schwinden, und Sie verschonen hiedurch das schuldlos sich hingebende Opfer, das jetzt zum Spiel Ihrer Launen geworden an der Blendung dieser Mäusen-Sonne so viel Belieben findet; sich selbst hingegen ersparen Sie die Vorwürfe und die Natterbisse Ihres in Ihnen ewig lebenden Richters. Für Aesthetik bestehen keine selbstständige Lehrkanzeln, und die slavische Litteratur, welche die lateinische und die griechische Sprache mit einschliesst, nimmt nach Ihrer eigenen Ueberzeugung bei einem unermüdeten Fleisse und Ausdauer wenigstens sechs

volle Jahre in Anspruch; alsdann koennen Sie erst um Verleihung einer Lehrkanzel sich in Kompetenz setzen; erwägen Sie nur genau; alsdann sieht ja in Ihrem Gemüthe ganz anders aus. Also noch einmal: wozu alle diese Vorspielungen, Pläne, und Liebeserklärungen? Wozu das süsse Gift in das schuldlose Herz eines unbefangenen Mädchens schleichen lassen; eines Mädchens, das man jetzt anbetet und vergoettert, weil das wonnetrunkene Herz die Gluth der Liebe schwellt, und nach kurzem Sonnen Vorüberflug mit kalter Beurtheilung der spekulativen Vernunft seinem Schicksale überlassen muss?? Hier, deucht mich, hier haben Sie sich vom trügerischen Schein der erborgten Wahrheit blenden lassen; Sie nehmen es als baare Münze an, und es ist nur ein lieblicher — Schein!

Ich will mich übrigens im Geringsten anmassen, Ihnen die Art zu handeln vorzuschreiben, und Sie von Ihren betretenen Laufbahnen auf den Abweg zu leiten streben; nein, dem ist nicht so; aber die Verhältnisse mit dem Fraülein Kornelia aufzugeben und den eitel gemachten Ansprüchen zu entsagen, dazu fordere ich Sie ernsthaft auf, in welcher Aufforderung sich zugleich der sehnlichste Wunsch aller Ihrer und der Kornelia besten Freunde äussert.

Schliesslich beherzigen Sie auch dieses, dass Ihr gegenwärtiges Beisammensein auf dem Lande hier nicht zu Ihrer beiderseitigen besten Empfehlung gedeutelt wird und den Stoss zu manchem Gerede unter'm Haufen darbiethet, est ist zwar nur ein Deuteln, aber das Deuteln übergeht in's Deuten.

Ihrem guten Herzen und Wohlmeinung empfiehlt sich Ihr aufrichtiger Freund

B. Lewicki.

Lemberg, am 18ten Juli 1830.

Sześć lat pozornej bezczynności wystarczało do uznania go za leniwca a jednakże opinia nie ze wszystkim znała pobudki. Wychowanie ówczesne szkolne zasadzało się na pamięciowej gimnastyce w języku cudzoziemskim. Nic na rozum, wszystko do słowa, oto racya całej edukcyi. Temu nie każdego umysł mógł się poddać. Co więcej, wykluczono tam dzieje ojczyste, język i literaturę. Tego wszystkiego trzeba było samemu douczać się. Kto chciał je

gruntownie zbadać, wypadło wiele pracować. Szkoły owczesne szczepiły poszanowanie dla wielkich pisarzy niemieckich. To jedno było dobrem. To był nowy element dodatni, który wsiąkał do literatury polskiej. Dotąd polskie społeczeństwo kształciło się na francuzczyźnie i uiedaleko zaszło. W Królestwie nie umiano po niemiecku. W Galicyi przez Niemców poznawano Szekspira i Bajrona — język nabierał wyrobienia, tęgości pewnej i głębokości. Z takiej szkoły wychodzili Kamiński, Bielowski, Gorczyński, Brodziński, Korzeniowski i inni, którzy imponowali ścisłością i wydoskonaleniem stylu.

Było to najświetniejsze oddziaływanie na inne prowincye, które najpierwej owoce przyniosło na Litwie. Bez znajomości poetów niemieckich nie byłby Mickiewicz tem, czem został od razu. Ale to jedna strona dodatnia. Ujemnych było więcej. Napojeni obczyzną, a niepracujący nad sobą po za szkołą, tracili poczucie czystości języka, tracili zamiłowanie do niego, nabywali wiary w wyższość tego, co im jako wyższe stawiano, a nareszcie gardzili tem, co tylko matka i nianki pielegnowały. Trzeba było wiele hartu, aby ustrzedz się odstępstwa, wiele zapału, aby nie uwierzyć powadze z katedry, wiele pracy, aby się wyrobić tak, jak sumienie nakazywało.

Pol miał sumienie pisarza polskiego, więc ze szkół brał tyle tylko, ile mu potrzeba było do udoskonalenia języka — a widząc, że szkoła nie mu więcej nie da w tym przezeń obranym kierunku, lekceważył ją jako rzecz bez użytku. Wolał on w domu pracować. Więc czytywał autorów, badał kroniki, gromadził pieśni i podania... Wyciągów musiał mieć sporo. Dochował się z nich zeszyt ośmnasty, obejmujący wypisy z Piotra Kochanowskiego. Zawierają one same sposoby wyrażania się, trafne a osobliwsze, oryginalne lub przysłowiowe. Osobno notuje nagięcia wyrazów, po których słówko: się wypuszczono. Inny zeszyt także obejmuje Piotra Kochanowskiego. Tak też przetrawiał Grochowskiego, tak innych niewątpliwie studiował. Tą drogą doszedł do wyrobienia sobie języka, jakim nikt dzisiaj pisać nie umie. Aby język taki przyswoić sobie w wierszu i prozie, tak go przetrawić, aby się potem stał własnością i osobliwą cechą poety, na to trzeba było wiele lat pracy. Bez szkoły sam sobie był szkołą. Pisarze wieku złotego byli jego profesorami, przed nimi zdawał egzamin, a potem złożył go publicznie pieśnią, poematem i gawędą. Nie wińmy go więc. Duch jego nie spoczywał choć omijał szkołę. Umysł rozwijał się, bo sycił się myślami dawnych mistrzów, i odrodzili się mistrze w poecie.

Nie daję posłuchu pozorom, gdy mam świadka jego trudów codziennych. Pol wyrabiał w sobie i z siebie specyalność, to jest: język, pieśń, malowidło przeszłości i obyczaju upłynionego wieku. To bez mocołu iść nie mogło. Szkoły ówczesne, które wszystką strawę naszemu niby choremu społeczeństwu jako lekarstwo przemocą zadawały, a odmawiały pokarmu rodzinnego, musiały wywołać ten nienaturalny odwrót umysłów podnioslejszych od nauki publicznej... Niesmak i wstręt u tych co głębiej sięgali, co niezależniej szli, co podniosleję czuli, był naturalnem następstwem owych leków przymusowych.

Pol, nie smakując w bezmyślnem klepaniu i odklepywaniu lekcyj, byleby przebrnąć to, co się wiedzą uniwersytecką zwało, choćby z tych odklepywań nic w pamięci na przyszłość nie zostało, wołał iść samopas, badać po swojemu i sam sobie zawdzięczać to, czego się nauczy. Było to ryzykownem, ale po części usprawiedliwionem owoczesnemi oplakanemi stosunkami szkolnemi, zabijającemi wszelką samodzielność, wszelką badawczość a wyrabiającemi bezmyślną pamięć i tylko pamięć — i to rzeczy nie własnych, lecz cudzych, częstokroć wstrętnych. Wierzyć chcę i wierzyć muszę świadkowi codziennemu czynności Pola, Januaremu Poźniakowi. Twierdzi on, że nie tylko znał dokładnie klasyków, historię powszechną i ojczyste dzieje, lecz gruntownie badał systemata filozofii niemieckiej.

Filozofii uczono na uniwersytecie przez cztery półroczka a przez jedno półroczko historii filozofii. Była to chwila, kiedy Kant tylko na jednym krakowskim uniwersytecie panował wszechwładnie (bo aż do roku 1846), lecz na innych wyparł go jedynym ciosem Hegel, myśliciel nieśmiertelny, półbóg uczoności, olbrzym nad olbrzymi. Tego to Hegla przetrawiał Pol w domu, ale go przetrawić nie mógł — a kiedy cała młodzież lwowska jednym chórem głosiła uwielbienia dla tego fenomenu, jeden Pol chłodził zapale Poźniaka słowy: że co Hegel wypowiada, są mrzonki bez żadnej wartości. Było to w r. 1828. Pol zapisuje, iż od poznania się z Józefem Kremerem, który go w r. 1835 uczył filozofii Hegla w Zagórzanach, nabył trochę ładu w głowie. Pomimo tego jednak, Pol nie uwierzył w Hegla, i owszem w lat kilkadziesiąt, pisząc list do Henryka Rzewuskiego, redaktora *Dziennika Powszechnego*, wytyka Kremerowi jego ślepy Heglianizm. Nie szczędził przyjaciela, co nawet Kremera mocno obeszło. To było zdanie poety, które uchodziło za herezyą, występpek naukowy, grubą nieświadomość i nieuctwo w oczach tych, co się w zawiłych subtelnościach Hegla bez celu zagłębiali. Dopiero

Artur Schoppenhauer ośmielił się otwarcie wykazać, że system Hegla obracający się w nicości sam jest nicością.

Goethego Pol studyował i jak widać z notat jego, cenił go wyżej nad Schillera. Znał starą poezję niemiecką jak np. *Niebelungen*. Ceniał Berangera, lecz nie lubił tego rodzaju pieśni. Przystudyował Ossyana w niemieckim przekładzie, czytał Bajrona i Szekspira, ostatniego stawiając najwyżej. Wszystkich znakomitszych poetów włoskich znał bardzo dobrze. Z *Jerozolimy wyzwolonej* Tassa przekładu P. Kochanowskiego wygłaszał całe ustępy. Po włosku umiał — ojciec go nauczył. Przyjaciół jego Poźniak także się uczył włoskiego języka od niejakiego Józefa Maczeko, ucznia uniwersytetu, tłumacza poezji Drużbackiej na niemieckie, umieszczanych w *Mnemozynie*. Ten Maczeko ożeniwszy się z Brunsteinówną, kończył karierę przy ministeryum w Wiedniu. Napojony włoszczyzną pan January chwycił się Dantego, a tu ani rusz zrozumieć choćby ze słownikiem. Użalił się przed Wincentym, ten ówczas pochwalił się, że tłumaczył Dantego (1828 r.) ustępami, ale dał pokój, bo nawet z pomocą niemieckiego przekładu wielu rzeczy nie rozumiał. Przeczytał mu kilkadziesiąt wierszy swego tłumaczenia, czytał także coś Agnieszce Ziętkiewiczównej.

Pojawienie się *Sonetów* Mickiewicza w r. 1826 sprawiło rewolucję w świecie rymującej młodzieży. Sonetowali wszyscy kochankowie, nawet pocziwy koleżka Feliks Kopystyński, któremu dotąd ani śniło się o rymach, zakochawszy się w ładnej pannie Julii, córce dyrektora urzędu do wymiaru taks, spacerował w białych rękawieczkach po pod jej oknami wdychając tylko i zdobył się na sonet ognisty, kończący się wierszem: „O Julio! Julio! niech ci Bóg przebaczy!“ Zdaje się, że Bóg zarówno jemu przebaczył, że kaleczył rymy, jak i jej, że była zachwycającą.

Sonetory rozruszały i starego Kamińskiego, który czy o zakład czy dla ironii wypuścił w świat cały snop filozoficznych sonetów. Byłaż z nich uciecha dla młodego pokolenia rymarzy! Nie omieszkałi August Bielowski i January Poźniak ośmieszyć ich. Ułożyli wspólnie sonet, wybraawszy z Kamińskiego co zabawniejsze łamainy filozoficzne.

Zarcik ten zatytułowali: *Sonet do autora podźwięcznych sonetów*:

Wieszczu! co bujasz za myślenia kołem,
Wypileś duszą duszę kałamarza,
Niechaj twe płody złość ludzka spotwarza,
Tyś u mnie mędreem: w niebo chodzisz czołem.

Skropiony istnej mądrości żywiołem,
 Zabiłeś żaka dwójką bakałarza.
 Gębna gęśl twoja jare gromy stwarza
 Czy gadasz z echem, czy kujesz z dzieciołem.

Przedmiot z podmiotem, biorąc w oko z bliska,
 Śmiało pornąłeś po laur nieśmiertelny;
 Chcąc nabrać widu, macasz zmysłem pierwaj
 Stawiasz w czczem polu trzech wieży zjawiska.
 W punkcie trzy punkta widzi duch twój dzielny,
 Widać, żeś pojął naukę Minerwy.

Sonet ten przeczytał Poźniak Polowi. Pol przyganił mu igraszkę z poważnego i zasłużonego męża i prosił Januarego, aby z tego żarcika nie czynił użytku, zwłaszcza, że Kamiński był przyjacielem jego rodziców, Ziętkiewiczów i Kopystyńskiego. Piękny to rys charakteru młodzieńca. Wiek niedojrzały ma zawsze skłonność do upatrywania śmieszności w starszych — Pol poważniej myślał, starszym zawsze cześć oddawał. Przy tej sposobności wynurzył się przed Poźniakiem, że i on tłómaczył kilka sonetów z Petrarke a nawet sam oryginalnie pisał sonety.

Oryginalne sonety nie były to westchnienia do kochanki, lecz potraçały o rozwój życia ludzkiego w różnych porach wieku. Wiek młodociany porównywał ze źródłem bijącym. W papierach po Polu z owego czasu są niemieckie sonety p. t.: *Dichter-Sinn, Dichterglück, Dichter-Wunsch, Dichter-Leben, Menschen-Leben*. Czyż by to nie były wzory, które mógł naśladować lub z których wziął pomysł do swoich sonetów? Co się z temi tłumaczeniami i sonetami stało? Poszły w świat i przepadły tak, jak wiele innych prac, do których autor nie przywiązywał wagi. Pisał je dla siebie i dla Ziętkiewiczowien. Wystarczyło mu, jeżeli były rade i pochwały.

W Szczereu, gdzie się osada kończy, stoi na wzgórku cerkiew. Pół mili dalej wzgórze lud zowie Weremień, a nieco dalej jeszcze wznosi się mogiła. Koło cerkwi widniały obwarowania, baszta przylegała do przedsionka i miała kilka zardzewiałych szmigownic bez lawet. Weremień obrósł krzakami. Na Weremieniu stał niegdyś dworzec Potockich obwarowany i łączył się krytem podziemiem z cerkwią. Tak podanie niesło. Tatarzy zdobyli cerkiew, lud wymordowali, a krew, obryzgawszy ściany, zawsze występowała mimo otulania ścian. Tatarzy znieśli i dwór modrzewiowy na Weremieniu a wracając doliną spotkali rycerstwo, które je rozprószyło a chan poległ na miejscu usypanej mogiły. Z tej powieści osnuł Wiu-

centy pieśń ludową w r. 1826 czy 1827, gdy matka jego bawiła w Szczereu. Dawał ją ówczas piętnastoletniej Agnieszce. Objeżdżał on do pięciu arkuszy, a składał się z trzech oddziałów. Kiedy go później prosił Poźniak o odczytanie wierszy tych, odmówił twierdząc, że to wiersz dawny i bez wartości.

Innym razem zaszedł we Lwowie wypadek, który wstrząsnął umysłami młodzieży. Dawny kolega szkolny Wincentego, Obuchowicz, sprzykrzywszy sobie życie, zastrzelił się. Wystarczyło to wrażliwemu pocięciu. Wprzód czytał on poezję Tiecka, który porównywał bal maskowy i wale masek z życiem ludzkim, i kończył słowami:

So taumeln wir Alle,
Im Schwindel, die Halle
Des Lebens hinab,
Kein Lieben, kein Leben,
Kein Sein uns gegeben,
Nur Träume und Grab.

Wincenty napisał *Samobójcę* i czytał go Poźniakowi. Temu zdało się, iż poeta przypomina myśl Tiecka, choć porównania z ballem nie umieścił. Prosił go Poźniak o odpis poezyi, aby ją dać Jaszowskiemu do umieszczenia w *Rozmaitościach*. Wincenty odmówił, oświadczywszy, że wtedy dopiero poezye drukować będzie, jeżeli będą mieć duszę i barwę a głównie narodową. O *Samobójcy* twierdził, że nie ma kolorytu, że mógłby być zarówno po niemiecku i po francusku drukowany, tak jest bez charakterystyki. Dzisiaj, gdy poeta umarł, można wydobyć wiersz ten nie dla wartości jego, ale dla pokazania, jak pojmował sztukę poetycką w zaraniu swoich natchnień.

SAMOBÓJCA.

Nim się przeniosę w nieznajome strony,
Gdzie czarę światła odwieczna dłoń trzyma,
Lub też nim będę na wieki strącony
Niknąc w przepaści, gdzie wcale nie ma,
Po raz ostatni na dźwięk co mnie mamił,
Chcę jeszcze zwrócić me oczy i serce,
Po raz ostatni, na świat, co mię splamił,
I wytechnąć żale i jęki szydercze!

Zbyt mało szczęściu zostaje ja dłużny:
 W smutku, rozpacz przeżyłem wiek młody,
 Tak małym winien, jak siołu podróżny,
 Gdzie mu podano ognia albo wody.
 Los mi wyznaczył koleje niejasne,
 Człowiek pochwycił dziko miękką duszę;
 A serce moje? ach me serce własne
 Zbytując w czuciu, zwiększało katusze.

Lecz jest dzień w życiu, który wszystko zbiera
 W jeden splot boski, duszę rajem wieńczy,
 Gdzie się nam niebo na ziemi otwiera
 A czucie barwi promieniami tęczy!
 I ja dzień taki zaznałem w mej wiośnie,
 Wprzód nim się serce znużyło w żałobie;
 Lecz nim mu padłem w objęcie radośnie,
 Spostrzegłem z wstrętem, że stoję — na grobie.

I z łzą dziecięcą już tak oszumiały,
 Stałem na ziemi, jak starzec znękany,
 Z łez tylko poznał, co groby zabrały,
 Z łez tylko uczuł, że byłem kochany!
 Odtąd się drogi mego życia śmiły,
 Tysiące nieszczęść w powikłanym splocie
 Brzemienny ogrom na mnie położyły,
 Grożąc upadkiem i duszy i cnocie.

Lecz lubom w walce z losem musiał poledz,
 Nigdy w wewnętrznej walce nie upadał;
 Lubo nie jeden w duszy został kolec,
 Takem nią dzielnie, jakby w szczęściu władał.
 W wyższości własnej szukałem pociechy —
 Bo jeszcze w duszy promień wiary gościł;
 A czystość serca nie skaziły grzechy,
 Lecz tego nawet człowiek pozazdrościł!

Człowiek szlachetny, który pragnie widzieć,
 Li w jawnej zbrodni przewyższonym siebie,
 A wszystkie cnoty w niepamięci grzebie
 Szponą zawiści, i radby obrzydzić.
 Zbliżyć się duszy, która się ogrodzi
 Własnej dzielności czarodziejskiem kołem
 Nie jest tak łatwo — i kto na nie godzi,
 Nie zwykł się zbliżać do niej z jawnem czołem.

Trzeba ją wynieść, chcąc ją upokorzyć,
 Obdarzyć szczęściem, chcąc rozpaczą zgnębić;
 Rozkoszą otruć, chcąc jej siły pożyć,
 A szyderstwami jej surowość ziębić;
 Gdy rozkosz serce nadpsuje i skruszy,
 Resztę dokona już namiętność sama.

Wszystkie zarzuty rozumu okraczy
 W zmierzłej lubości chwilowem objęciu;
 Aż niespodzianie w piekielnem ocknięciu
 Ujrzy się w grobie żalu i rozpaczy!
 Tak to mnie chytrze uwikłano w sidła
 Choć długom mężnie bronił się ponęcie,
 Wiódł mnie człek zwolna w rozkoszy objęcie,
 Czem raz cudniejsze wskazując mamidła.

I póty łechtał i drażnił i słał
 Obrazem szczęścia rozpalone zmysły.
 Aż je w bezdroże zepsucia wywabił,
 Gdzie nad przepaścią dopiero zawisły!...
 I tu dopiero oczom się ukazał
 W właściwym, wiernym obrazie człowieka,
 Który z rozkoszą cudzy błąd rozwleka,
 I gardzi duszą, której czystość zmazał.

Ach! w takim stanie. będąc narażony
 Na walkę z sobą, na napaści losów,
 Widziałem zdala mój raj utracony,
 A wewnątrz czułem hydrę mściwych głosów.
 I choć do enoty powróciłem snadnie,
 Chcąc wznieść się znowu, stłumić ludzkie złości,
 Gorycz, wątpliwość pozostała na dnie,
 Nie nie stłumiło w mojem sercu czezości.

Nie nie zmazało w oczach świata błędu,
 Powrót do enoty zdał się zagrodzony,
 Bo wieść mych błędów były wszystkie dzwony,
 A sławę moją świętoszek bez względu
 Kaził i szarpał fanatyzmu szpony!

Zrażony życiem, zamknięty sam w sobie,
 W duszy się duma zagnieżdżyła dzika,
 Twarz się powlokła wstrętem samotnika,
 A w sercu było tak głucho, jak w grobie!

A kiedy serca nie już nie ułodzi
 By mi nie mogli jeszcze więcej szkodzić,
 Żywiąc mą rozpacz stroniłem od ludzi,
 Bo z nią jedynie mogłem się pogodzić.

Nie jeden wtenczas, któremum uchybił
 Oziębłą dumą — wzrokiem lodowatym,
 Lub sądem — (jeśli sąd się z piersi wybił)
 Pragnął mnie zbadać i nie przestał na tem,
 Ty mnie nie zbadasz, tak sobie mawiałem.
 Lecz on szedł zwolna i zdala mnie drażni
 Udanym smutkiem, skłamanym podziałem,
 W końcu nieśmiałem wyznaniem przyjaźni.

Jeszcze nie wierzył, ale on się prosił
 I łza, łza czysta wytrysła mu z duszy,
 Serce i dary, żebrząc, do mnie wznosił,
 A kogoż udział w nieszczęściu nie wzruszy?
 Jam, com nawyknał być zawsze witany
 Wzrokiem sztyletu, zjadłością czoła,
 Padłem mu w duszę, sądząc, obłąkany,
 Żem się wypłakał na piersiach anioła!
 Ale zaledwom mu duszę otworzył
 I łzę czułości mógł znowu uronić;
 Zaledwom znowu odetchnął i ożył,
 On jak lód ostygł i poczał mnie stronić.
 I temiż usty, któremi wyłasił
 Otwartość moją, przed drugimi szydził
 Ostatnią wiarę w dzielność duszy zgasił,
 Bo się mszcząc na mnie, moją duszę brzydził.
 Odludność moją zwał brakiem odwagi
 Albo próżnością, która że nie może
 Błyszczeć na świecie, bez ducha i wagi,
 Woli posłęczyć przez puste bezdroże.
 A dawszy o mnie sąd tak niedościgły
 Z wzgardą rozgłaszał płytkość mego sądu,
 I dalej łódką bez steru i igły
 Potrącił jeszcze w zatokę od ładu!

Gdy się Pol poznał z Kornelią, napisał kilka miłych miłosnych wierszyków do niej. Wierszyki te pod sekretem po oświadczeniach Wincentego w r. 1828 pokazała panna Poźniakowi. Zapewne już zatracone. Około tego czasu, a bodaj wcześniej Wincenty przeczytawszy powieść jakąś Bronikowskiego, zabrał się do pisania powieści w listach. Pamięta to Bogusław Lonchamp, ale osnowy nie zna. W papierach w brulionie zostały trzy kartki fragmentu

prozą i *Powieść kapitana*, rzecz bez wartości, tem szczególna, że w opowieść wtrącony jest rozkaz od pułkownika, stylizowany po niemiecku. Rzecz pisana w r. 1828, bo w próbie pióra wymieniona jest „kochana Zosiu, Teodozy (jej ówczesny narzeczony) i Józio brat“.

Pol notuje (w r. 1827 czy 1828) te słowa: „Gotowych pieśni gminnych jest dziesięć: Biedne chłopię, Zalotnicy, Skarga, Groźba, Macocha, Jawor, Koń wracający z wojny, Brzoza, Nieszczęśliwa (może to będzie toż co *Urszula*, lecz ta datowana 1830), Nasza Panna (może to *Jadzia*, lecz ta z datą 1830).

W r. 1827 były zanotowane następujące pieśni: Podróż. Samotność, Ranek, Kominek, Wieczór, Wspomnienie, Lipy, Smętarz. Modlitwa, Kresowice (tylko fragment dochował się), Modrzewie elegia, Celinie (dochowane). Jeszcze gdzieś indziej notuje pieśni następujące: Siostry witające konia, Ośm świerków (są tylko cztery wiersze dochowane), Pieśń wioślarzy, Sokół, Pieśń kozacka, Kozak i koń, Trzech zalotników, Książ z Wiszniowca, Dobosz, Matka wyprawiająca syna na wojnę, Brzoza i Tatary (dochowała się), Pieśń przy oddaniu wieńca w obłżynkach, Modrzew (może toż co Modrzewie), Nóty do polowania na dropie.

To więc, co jest wiadomem a co za przypadek uważać można, wynosi przeszło czterdzieści utworów różnej wielkości. Wystarczyłoby to na niezły tomik. Co się zebrać dało, pozbierałem — nawet najmniejszy dwuwiersz, nie dlatego, iżby do tego jako do poezyi można było przywiązywać wagę, lecz że może choć kilka ułomków tym sposobem kiedy się wykryje. Pieśni bowiem Wincentego, zanim je drukował, chodziły po rękach przyjaciół bez podpisu. Niejedna może gdzie się tuła, tylko bez wieści, czyjego to pióra. Jeden lub drugi wiersz ułomkowy odda może przysługę, posłuży za wskazówkę autora. Jak te prace z lat pięciu pobytu we Lwowie poginęły, trudno pojąć. W rodzinie nic się nie dochowało. Że u Pola nie utrzymało się, nie dziwnego. On z razu nie przywiązywał wagi do tego co pisze, bo nie pisał do druku. Jako poeta, systematyczności i porządku nie lubił. Część wierszy wziął z sobą do Wilna, w teczee, na której dużemi literami wypisał niemiecki wiersz brata swego Franciszka, a po drugiej stronie wiersz ten powtórzył po polsku:

Raz się niebo nam chmurzy, a raz się przymila,
Ile tu podobieństwa z miłością kobiety —
Ona równie jak niebo mieni się co chwila,
Bo do nieba podobna, do nieba niestety.

Z tych wierszy resztki dochowane zebrałem jako pamiątkę młodości marzyciela. Wszystkie inne rękopisma pozostawił Wincenty odjeżdżając do Wilna, u Kornelii w Mostkach, część małą oddał swej matce. Papiery u Kornelii przepadły po roku 1831. Dwór w Mostkach pozostawał pod nadzorem. Co miesiąca zjeżdżała ze Lwowa rewizya, zabierająca listy, wiersze i papiery. Kobiety, jak zwyczajnie kobiety, popłoszone, zakopały w ziemi w różnych miejscach papiery Wincentego, dzienniczki, które Kornelia i Agnieszka prowadziły, wiersze patriotyczne i odznaki wolnomularskie starego Polla. Opatrzyły się dopiero w lat parę, i nuż kopać i szukać, lecz nie mogły dojść miejsce, gdzie zakopano. Trwodze tej zresztą dziwić się nie można, bo rewizye były surowe, nocne i wojskowe. Wiadomo, że Ziętkiewiczze przechowywali emigrantów. Ziętkiewicz brał się na sposób. Płacił strażę nocne, które donosiły o najeżdżającej rewizyi, a ówczas wychodźcy uciekali do lasu o kilkadziesiąt kroków. Strażą kierował mandataryusz, który miał za żonę siostrę Jana Bętkowskiego. Raz zdarzyło się, że włościanin wygadał się przypadkiem w cyrkule, że przechowują dwóch emigrantów. Wnet jednak spostrzegł się, pośpieszył prosto do dworu, wyznał to, i ukryto na czas wychodźców przed nadeszłą rewizją. Pol wróciwszy w jesieni 1832 do Mostek, cieszył się, że mu się udały *Pieśni Janusza*; o papiery powierzone kobietom ani pytał bo do nich żadnej nie przywiązywał wagi.

W papierach po Wincentym Polu znajduje wiersz niemiecki, przekład z Mickiewicza *Pierwiosnek*:

DER ERSTLING.

Das erste der göttlichen Lieder
Hat kaum die Lerche ergossen,
Da kam aus der Hülle wieder
Des Frühlings Erstling gesprossen.

ICH.

Zu frühe, Blümlein zu frühe!
Vom Norden bläst es noch rauhe,
Der Schnee, er schmilzt noch mit Mühe,
Nicht trocken ist noch die Aue.
Schliesse deine gold'nen Lichte,
Ehe der Reif raubt deine Schöne,
Schmiege dich an die Mutter dichter,
Eh' dich friert die kalte Thräne.

ERSTLING

Uns're Tage diese gleichen
Dem Leben der Schmetterlinge.

Mnie się zdało, że cały ten wiersz i poprawki są przez Pola pisane. Na końcu podpisał: „Fantazyje w języku niemieckim“. Byłby to jedyny ślad próby wierszowania w niemieckim języku. Że jednak Pol nie próbował się na tem polu, twierdzi więc Poźniak, że to pisał Stanisław Pilat. Prof. Pilat uznaje istotnie pismo za ojcowskie, jednakowoż dopisek: „Fantazyje w języku niemieckim“ do tego wiersza dodany, pochodzi niewątpliwie od Pola. Nie umiem sobie wytłumaczyć tej składowej kompozycyi, chyba że to na wspólną była robota jako próba biegłości w języku. Zresztą rzecz to tak małej wagi, że nie warto zastanawiać się nad tem.

Naciśnięty Pol przez rodzinę, aby się wziął do jakiego praktycznego zawodu, nie mając stopnia uniwersyteckiego, nie mógł się ubiegać o nie w Galicyi. Kraje zabrane i Królestwo były zawsze ziemią obiecaną dla młodzieży ze szkół galicyjskich, więc za poradą Bułharowskiego, swego szwagra, zamierzył wynieść się na Litwę. Wynosząc się, chciał z jaką pracą naukową wystąpić w nowem osiedleniu swoim. Poezya tylko była mu do smaku, więc z tej dziedziny gotował rozprawę. Są to notaty bez ładu i całości, widocznie niewykończone. Rozkład rozprawy bez nadpisu obejmuje sześć części: 1) Estetyka, 2) Piękność, 3) Sztuka, 4) Podział sztuk pięknych, 5) Poezya, 6) Podział poezyi. Część I. Teorya Epopei. Część II. Podział Epopei. Część III. Historya Epopei. Rozebrani mieli być w tej pracy następujący poeci: Homer, Wirgili, Lukan, Ossian, Dante, Tressino, Ariosto, Tasso, Kamoens, Alonzo d' Erceilla, Milton, Jung, Wolter i Klopstok. Piękny wybór i wdzięczny przedmiot do pracy.

Dnia 16 stycznia 1830 pisze Pol w Mostkach *Wstęp do nowożytniej literatury*. Idzie mu jakoś niesporo, bo kończy go arkuszem trzecim kilku wierszami dnia 15 maja 1830 w Winnikach. Wstęp do rozprawy o epopei kilka razy pisze i uzupełnia lecz nie kończy. Dnia 20 maja 1830 pisze w Winnikach o Ossyanie, rzecz obejmującą arkuszy dwa i szkicowe notaty. Dnia 6 stycznia 1830 pisze w Mostkach o Dantem; arkusz drugi kończy dnia 17 maja w Winnikach. Torquato Tasso ukazuje się w Mostkach 1830 roku a rozprawa o nim ma arkuszy półtora. Całością skończoną, na czysto przepisaną jest rozprawa *Podział sztuki, Poezya i Podział poezyi*. Wyjątki z listów Goethego i Schillera o epicznej poezyi podaje w maju 1830 w Winnikach. Pisze o starożytniej poezyi Słowian i uwagi dla zbierającego powieści. Najważniejszą jest rozprawa napisana dla prof. Borowskiego do egzaminu z estetyki: *O źródłach narodowej poezyi* (Pieśń gminna, melodya, podania

ludu). Rozprawa ta niedokończona — według notatki jednakowoż obejmowała część pierwszą arkuszy luźnych 18, część druga arkuszy 10; część trzecia arkuszy 39; razem 67 arkuszy dzieła o epopei. Co się z tem stało, czy istotnie doszło do rąk Borowskiego? To, co dochowało się, wynosi ledwie 25 arkuszy.

Dzieduszycki mówi, że Pol do r. 1830 opracował po niemiecku historię epopei. Jest to mylnem. Raczej rzecz się tak miała: Jocher Adam chciał ułatwić Polowi dostanie się na posadę nauczyciela języka niemieckiego w uniwersytecie wileńskim. Obowiązki te sprawował tam Benjamin Fryderyk Haustein, który nosił godność asesora kolleskiego, adjunkta uniwersytetu i nauczyciela języków niemieckiego i angielskiego. Haustein, syn Jerzego Fryderyka, byłego sasko - elektorskiego komisarza nadwornego, urodzony w Meissen w Saksonii w r. 1771, służył trzy lata w gimnazyum mińskim, a od r. 1804 w uniwersytecie wileńskim, naprzód jako nauczyciel języka niemieckiego, zaś od r. 1809 zarazem jako nauczyciel angielskiego. Wykłady jego niemieckie ograniczały się do dzieł *Deutsche Sprachlehre* Adelunga, Eichhorna *Geschichte der deutschen Literatur*, Hausteina *Sammlung deutscher auserlesener Stücke* i do przekładu z polskiego na niemieckie ks. Wagi *Historyi królów*.

Zapas materyału literackiego zatem wcale szczupły. Tytułu profesora nie miał, a na nauczycielstwo języka samego nie potrzeba było stopni uniwersyteckich. Haustein tylko w drodze łaski wnosił w r. 1817 prośbę do rządu uniwersytetu, aby przez wzgląd na jego synów, Edwarda i Henryka, przedstawił go do rangi konsyliarza nadwornego. W r. 1830 liczył lat 59 a służby 29; bliskim mógł być emerytury. Czy jednak jeszcze w r. 1830 urzędował, nie wiem. W roku 1824 spotykam Arnolda Grauerta, który tytułując się nauczycielem języka niemieckiego w gimnazyum przy uniwersytecie wileńskim, wydaje *Gramatykę* i *Wypisy niemieckie*.

Pol mógł starać się o posadę po jednym lub drugim. Uwzględniając zapewne lata służby Hausteina, Jocher sądził, iż łatwo mógłby Polowi dopomódz do ustalenia losu, byleby z jaką niemiecką pracą pojawił się w Wilnie. Na nauczycielstwo dość było być Niemcem, o patenta uniwersyteckie nie pytano.

Chwyciła się tej propozycji rodzina. Naciśnięto marzącego poetę, aby na tory praktyczne się przerzucił. Więc January Poźniak zbierał dzieła i rozprawy dla przyjaciela, a Stanisław Pilat, znawca niemiecczyny i estetyk, dopomógł w wyborze przedmiotu, ułożeniu symetrycznego planu. Zgoła już we Lwowie urodziła się rozprawa kandydata na nauczyciela. Rozprawa ta dochowała się dotąd. Ma

ona stron 72 *in quarto* szerokiego pisma. Przedmowę podpisał: *V. Poll, Wilna im November 1830*. Obejmuje ona streszczenie historyi literatury niemieckiej w trzech epokach. Pierwsza od 768 r. do 1137 do *Minnesuengerów*; druga do XVI wieku, tj. do reformacyi; trzecia do naszych czasów; ostatnia w poddziałach do wojny 30-letniej (1618) do końca siedmioletniej (1763) i do ostatnich lat. Rozpoczyna od poezyi (epos), idylli, romansu i t. d. a kończy na krytyce, Kancie, Fiehem i Schellingu. Prócz jednej pani Staël, żadnych nie przytacza źródeł. W ogóle rzecz powierzchowna, napisana na urząd. Autor sam z pewnością nie cenił tej roboty swojej, pisanej dla chleba za powinność, i ani myślał o jej ogłaszaniu.

Co się więc tyczy opowieści Dzieduszyckiego, iż Pol prosił Bielowskiego, aby dał Chłędowskiemu do tomu drugiego *Haliczanina* streszczenie rozprawy jego niemieckiej o epopei (sześć kartek szerokiego pisma w tekście niemieckim) po polsku, by tym sposobem dał się światu uczonemu poznać, to widocznie Dzieduszycki myli się. Rozprawa o epopei, będąca ustępem próby o literaturze niemieckiej, wcale się streścić nie da. Inaczej rzecz się miała. Jeżeli Pol dawał co przez Bielowskiego, to tylko rozprawkę *O gminnej pieśni* (z r. 1829), która przepisana i podpisana literami W. P. widocznie do druku była przeznaczona. Zapewne jej Chłędowski nie przyjął, nie znając osobiście i mało sobie ważąc początkującego autora.

Pisze Dzieduszycki, że w lipcu 1830 r. otrzymał Ziętkiewicz list naglący od Jochera, aby Pol co rychlej przyjeżdżał. I to prawdą nie jest. Jocher wcale nie wzywał, byłby bowiem coś o tem Ziętkiewicz w liście do Jochera wspomniął. Jocher już dawniej był proponował obmyślenie jakiego zajęcia Polowi a to na żądanie rodziny. Nie byli oni z sobą na stopie poufalej, jak to widać z listu Pola. Pisze bowiem jeszcze dnia 10 maja 1830 r. (inny list był z 21 listopada 1829). „Kochany panie Adamie! Już to przez trzy razy korzystam z pozwolenia Antosi i miło mi jest, że przynajmniej w ten sposób mogę mu się dać poznać. Raczyłeś w Twojej ostatniej odezwie, kochany Panie Adamie, umieścić kilka wyrazów i o mnie, i dziwisz się, że dotychczas nie dotrzymuję słowa, gdyż nie jestem jeszcze w Litwie. Ach, nieczego więcej nie życzę, jak ażebym się tam dostał, jednakże okoliczności różne, szczególnie ciężka choroba mojej matki uczyniła przewłokę, która jeszcze drugą przewłokę za sobą pociągnęła. Lecz zanim pożółkną drzewa, zobaczmy się niezawodnie w Wilnie i ja będę miał pierwszy tę przyjemność powitać kochanego brata w gronie Jego kochanej familii;

którą najczulej pozdrawiam, polecając mnie Jego dobremu sercu i łaskawej pamięci. Wincenty Pol". List dość ceremonialny i chłodno stylizowany.

Szło rodzinie o to, aby Pol już raz czem został i z Kornelią się ożenił, a że o sobie myśleć nie umiał, zatem myślano o nim. Poźniak, jako konkurent do Agnieszki, miał zaufanie Ziętkiewicza. Ten go uprosił, aby Pola znaglił i przypilnował egzaminów. Wincenty ze swej strony nie kwapił się bardzo, aby Mostki porzucić. Za dobrze mu tam było. Zdobył się jednakowoż jeszcze przy końcu roku 1829 na list do Lonszanów do Pragi, żądając informacyi o uniwersytecie wileńskim. A że w Pradze bawił Alojzy Niewiarowicz, uczeń tego uniwersytetu, otrzymał Pol od niego wskazówki pożądane. Pomimo tego, wyjazd doznawał zwłoki. Dopiero Ziętkiewicz i Poźniak dołożyli wszelkich starań, aby mu wyrobić paszport, co ówczas nie było tak łatwo. Zaopatrzył go następnie Ziętkiewicz tak, jakby własnego syna.

Pismem zaś z 7 sierpnia 1830 r. Józef Ziętkiewicz poleca urzędowo Jocherowi Pola w słowach: „Pan Wincenty Pol, mój siostrzeniec a twój braciszek, z tych liczby, którym pomimo posiadanych zdolności trudno w naszym kraju przyjąć do pewnego sposobu życia i utrzymania się, przedsięwziął szukać szczęścia w państwie rossyjskiem. Ukończył filozofią, do nabycia wyższych nauk brak funduszu, do utrzymania się i sustentacyi przeszkodził. Umarł bowiem ojciec, nie zostawiwszy majątku. Idąc za radą przyjaciół, szczególnie szwagra swojego, Bułharowskiego, profesora filozofii w Kamieńcu, zaprzyjaźniony oraz z domem pana Bogszczanin, dyrektora szkół w Krzemieńcu, mając oraz listy rekomendacyonalne do niektórych domów, udaje się do Wilna. Tam w zawodzie naukowym chce położyć zasługi i w czasie spodziewa się łaskawych względów jak w swojej ojczyźnie — a do tego kroku najwięcej go ośmieliła pewna nadzieja znalezienia w tobie, kochany siostrzeńcze, dobrego brata, przyjaciela i opiekuna. Że będziesz nim, zapewnia mnie najlepsze serce twoje, kochany panie Adamie, i o to cię wszyscy prosimy. Poznaliśmy się z żoną p. Bogszczanina, dyrektora szkół w Krzemieńcu; w Lubieniu z nią razem kąpie się nasza Urszulka, przez nią zrobiliśmy wstęp Polowi do jej męża w Krzemieńcu. Mamy sąsiadkę, najlepszą przyjaciółkę naszą, dziedziczkę Nawaryi J. W. Szolańską, spowinowacaną z domami Tyszkiewiczów koło Wilna, ta dobra pani pisze za naszym p. Wincentym. Chęć Wincentego jest, zostać stosownie do posiadanych nauk publicznym profesorem; daj mu Boże, życzymy mu, ale mu oraz radzimy, w niemożności tego

dostąpienia, aby przyjął miejsce prywatnego nauczyciela, byle w jakim godnym domu, z któregoby mógł mieć pomoc do wyższych publicznych stopni“.

W całym tym liście nie ma o obietnicy professury w uniwersytecie, zatem też z pewnością jej nie było ze strony Adama Jochera, zwłaszcza, że Haustein jeszcze pełnił służbę. Szedł Pol po prostu na los szczęścia.

Antonina i Agnieszka także zalecają opiece Jochera swego Wicusia, proszą by o nim pisał, bo sam o sobie nie napisze. Przykro im, że go już tylko parę godzin widzieć mogą. Proszą, by mu rodziców zastąpił, wynalazł mu sposób do życia, wyszukał miejsce i kondycję i cokolwiek do utrzymania, bo odtąd Zofia, siostra, zastępuje braciom miejsce matki.

Wybrał się przecie raz Wincenty do Litwy, zasilony funduszami zacnego Ziętkiewicza. Przed wyjazdem rozpoczął *Dziennik podróży do Litwy*. Czy go pisał istotnie, nie wiem, została tylko jedna z książeczki wydarta kartka, na niej stoją wyrazy: „Dnia 7 sierpnia opuszczam niestety Mostki“.

Dalej idą następujące zdania:

„Pamiętaj pan o nas, kochaj nas tyle, ile my Ciebie zawsze będziemy. Kornelia.

„Wspomnij czasem o najlepiej żyjącej ci siostrze. Agnes“.

„We Lwowie d. 8 sierpnia. Owych chwil kilka tak rozkosznie tu z sobą spędzonych, o ileż mi szczęścia wróżą! Wincenty! Sądzę, że równie jak ja wspominać je będziesz, są one dla mnie na przyszłość gwiazdą pociechy, gdy mi je myśl przywiedzie, bom cię kochał, podziwiał i żałował, a w mem sercu jest przyjaźń, która Ci wieczne zachowa płomienie, obym był godnym wzajemności! Wspomnij i kochaj. J. Bętkowski“.

Więcej żadnego pisma; karta niezapisana. Czyżby inni przyjaciele nie żegnali przyszedłego wieszczą? Smutno pomyśleć.

Odjeżdżając Wincenty z Mostek, pożegnał Poźniaka listem, z którego widno, że jechał na niepewne, tak dalece, że wymaga tajemnicy od niego i od Pilata o jego doli lub niedoli. Jestto list prawie desperacki, czy dlatego tylko, że porzucał Kornelię, czy też że nie ufał swej gwiazdzie? List ten datowany z Mostek z 7 sierpnia 1830 r. przytaczam w całej osnowie:

„Mój kochany January! Nie spodziewałeś się, odjeżdżając, że mnie już nie zastaniesz, lecz dzięki Bogu, że się tak stało. Wiem, że przyjaźń twoja nie zmieni się dla mnie w oddaleniu, bo znam twe serce, kochany January! Dzięki ci tysięczne za to wszystko,

coś kiedy dla mnie, nieszczęśliwego przyjaciela uczynił, bądź pewien, iż nie zapomnę, czem dla mnie byłeś! Odjeżdżam, wiesz kogo zostawiam; wiesz wszystko, nie pozostaje mnie nic więcej, jak tylko prosić cię, żebyś za interesami Kornelii pochodził, starał się, żeby jej kapitał mógł być jak najprędzej ulokowany w Mostkach i był jej prawdziwym przyjacielem. Oto cię prosi twój Wincenty. Ja wyjeżdżam jednym słowem, na opatrność boską — z łódką na morze! Będę do ciebie pisywał, lecz cokolwiek będzie, czy mnie się dobrze, czy źle powodzić będzie, zachowaj przed całym światem tajemnicę, jak gdybyś nie wiedział o tem, gdzie się obracam i co się ze mną dzieje. Pilata o to samo proszę w moim liście i ty uczyn to dla mnie. Jest to może ostatnia moja prośba, bo wiesz, jak ludzie wszystko nieują i jak się cieszyć zwykli cudzem nieszczęściem. Kornelia opowie ci wszystkie szczegóły o mnie. O Jagusi nie piszę, lecz wiesz czego ci życzę, dałby Bóg, żebyś nie na próżno jej pokój skłócił i był szczęśliwym! Bywaj mi zdrów, mój January! Daj Boże, żebyśmy się szczęśliwsi uścisnęli. Bądź zdrów i szczęśliwy!

Twój Wincenty.

Ten list piszę właśnie na samej chwili wyjazdu z Mostek. January! To jest okropnie! Mój los się szydersko toczy, obyś ty był szczęśliwszy!

W.

Gdy Pol listem żegnał Poźniaka, ten pożegnał był go pierwszej rymami, bo pan January miał zawsze w każdej chwili słabość do rymowania. Oto, jak opiewają:

Tentońskie lasy, doliny i góry,
 Rodziły wprowadzie Krzyżakom komtury,
 Krwiożerczą dzierżące broń —
 Ale i kwiaty przecudnej urody,
 Oddychające oddechem swobody,
 Wszem ludom siejące woń.

Tentońskie lasy, góry i doliny,
 Patrzyły wprowadzie na sromotne czyny:
 Rozboje, pożogę, mord —
 Lecz i na rozwój duchowej potęgi,
 Co ludom świeci nakształt tęczy wstęgi,
 Rdzą trawi przemocy kord.

Teutońskie góry, doliny i lasy,
 Grzmiewały wprawdzie takimi zapasy,
 Co bratnią toczyły krew --
 Lecz brzmia tam także pieśni, siłą cudu
 Wznoszące w niebo myśl i serce ludu,
 Rzewne, jak słowików śpiew.

Pęk owych kwiatów, owych wstęp i pieśni,
 Nagromadziłeś bracie, dużo wcześniej,
 Niżby kto inny mógł być;
 Bo do zdobycia piękna z niw oświaty,
 Lackich i obcych, dał zasób bogaty
 Bóg tobie, duchowych sił.

Rzucasz nas — w mury Gedymina grodu,
 Co wychowały słowika narodu,
 Pospieszasz z zdobyczą twą;
 Żeby umysły litewskiej młodzieży,
 Która w zbawienność prac duchowych wierzy
 Geniuszu krzepić skra.

Dzielna to młodzież: ciałem, duchem zdrowa,
 Twarda, jakoby skała granitowa,
 Jak ongi Witolda pięść,
 Co zdruzgotała szyszak komturowy;
 A więc cię żegnam druhu temi słowy:
 Zamiarom twym Boże szczęść!

Wincenty drogę obrócił na Warszawę, dokąd miał pismo polecające do Józefa Weinera, kupca towarów żelaznych, krewnego Ziętkiewiczów. Jak się dalej powiodło Polowi, nie ma na to zgody. Pol sam o sobie mówi w albumie Preka te słowa: „1818—1829 napisałem historję epopei, poczynając od Homera a kończąc na nowożytnych epikach. 1830 wyjechałem do Wilna na Litwę, zrobiłem rygorosum w tamecznym uniwersytecie, złożyłem rozprawę o epopei, otrzymałem stopień uczony i katedrę zastępcy profesora literatury. Z końcem tego roku stanąłem na czele związku młodzieży, która zrobiła powstanie na Litwie“.

Pisał to autor z pamięci, widocznie pomylił się w datach. Mówi o rozprawie opracowanej nie 1828 lecz 1830 r. i o jej złożeniu, a nie mówi o pracy niemieckiej, o której inni twierdzą.

Opowiada o stopniu uczonym i profesurze, gdy Wileńcy, Klimaszewski i Kraszewski, zaprzeczają tej jego karierze. Tak samo wojaczka z r. 1833 natrafia na niewiernych. Co do stopnia uczonego doktoratu, aby go uzyskać, trzeba było rozprawę wydrukować. Tej nie było, więc i nie było stopnia. Alojzy Niewiarowicz, były kandydat w oddziale filozof.-matematycznym w uniwersytecie wileńskim twierdzi stanowczo, że Pol złożył egzaminy, odbył rygorozą i otrzymał nominacyą na zastępcę profesora literatury niemieckiej. Że jednak Niewiarowicz dopiero 10 grudnia 1830 zjawił się w Wilnie, pamięć więc jego o czynnościach Pola może sięgać dopiero od owego czasu. Tytułu zastępcy profesora literatury mieć nie mógł, bo takiej katedry w uniwersytecie wileńskim nie było. Istniało tylko nauczycielstwo języka, co jest zupełnie inną rzeczą.

Nie więcej pamięta Wiktor Zienkowiec, uczeń wydziału fizyczno-matematycznego w instytucie pedagogicznym, dziś zamieszkały w Piemencie. Powołuje on na świadectwo Oskara Ignacego Żebrowskiego i Eugeniusza Chevalier, i mówi, że kiedy był kandydatem stanu nauczycielskiego, mieszkał w uniwersytecie. Bywał często w bibliotece, i tam Jocher bibliotekarz zapoznał go z Polem, jako mającym objąć katedrę literatury niemieckiej. Pol odwiedzał często kandydatów w instytucie pedagogicznym, zjednał sobie ich zaufanie a po wybuchu rewolucyi widywali go tem chętniej z powodu, że Pol bywając w wielu znaczniejszych domach, miewał lepsze informacye o rozwijaniu się powstania. To nawet wytworzyło mniemanie, że Pol jest agentem rządu z Warszawy, i radzono mu, aby był ostrożniejszym.

Kiedy rósł entuzjazm w Litwie, gdy dokonano rzezi (d. 15 kwietnia) w Oszmianie, pojawił się partyzant Matuszewicz, zwany piorunowy. To rzuciło popłoch między władze w Wilnie. Nowosilców i Pelikan, nie czując się bezpieczni, kazali przenieść uczniów instytutu pedagogicznego do instytutu skarbowego medyków, a w lokalu opróżnionym osadzono żołnierzy. Wielu kandydatów miało broń, której do nowego pomieszkania strzeżonego przez żołnierzy nie można było przenosić. Otóż Pol wskazał im kryjówki, gdzie broń przyjmowano, gotując się do rewolucyi miejscowej.

W opowiadaniu o Polu, Zienkowiec nie umie nic bliższego o jego profesurze podać. Jedno i drugie podanie jest twierdzeniem, nie mogącym wątpliwych przekonać, bo niepopartem. Zobaczmy, co sam Pol o tem pisze. W przedostatnim liście Wincentego, pisanym z Wilna do Ziętkiewiczów, do którego był dołączony list do Kornelii o swoim stanowisku i przyszłości wraz z zapowie-

dział, że przyjedzie za parę miesięcy, by ją poślubić i zabrać do Wilna — były także dołączone cztery karteczki do czterech córek Ziętkiewicza. Karteczka do Anieli, obecnie zamężnej Cieleckiej, dochowała się i tak opiewa:

„Kochana Anielo! Dzięki Ci za twoje życzenia. Prawdziwie nie mogę pragnąć większego szczęścia, jak gdy los nie pozwala z wami. żyć przynajmniej w waszej pamięci. Róże Kornelii, Elba i wszystkie wspomnienia, które się z tamtymi różami i Elbą łączą rozrzewniły mnie. Kwiaty przeszczepiać z miejsca, gdzieśmy szczęśliwi byli, na inne, gdzie pragniemy mieć świadków naszej przeszłości: jest to pomysł czuły i prawdziwie niewieści. Kobiety są przeznaczone na to, żeby poezję w sercu żywiły i uświetniały nią nagość i ponurość życia. Lecz ile mnie ten rys waszego serca cieszy, tyle się obawiam, żebyście nie przywiązywali losów naszych do życia roślin, a wiem, że tak będzie. Nie masz zapewne w niczem większego podobieństwa — rośniemy, przenoszą nas w obce strony, nie możemy nieraz przywyknąć do cudzej ziemi i nieznanego nieba, tęsknimy do swoich, do tych, z którymiśmy wzrosli — lecz czyż i na grobach nie zakwitają nieraz najpiękniej? A to niech dowodzi, iż nie mają z nami wspólnego życia; bo się tam cieszą czyli cieszyć zdają, gdzie my płacemy; nie trwożmy się więc jeżeli która uschnie, albo boleć będzie z róż naszych. O ja przeczuwam, że te róże szczęściem dla nas wszystkich zakwitną! Sny wieszczę Anielo, któreś niegdyś mnie i Januaremu opowiadała, już się w połowie większej ziściły; wkrótce trzech zapuka chłopców do twego okienka i serduszek zapuka jak nam teraz, jak mnie teraz, gdy do was piszę o pomyślności... Powiedz kochana Anielo ojcu, niech się nie martwi zbyt losem naszej nieszczęśliwej siostry, ja mam nadzieję, że Polusia (Polska) wyjdzie z tych konwulsji, lubo widzę z waszych listów, że wy rozpaczacie — Bóg najwyższy nad naszą rodziną! Wszak mamy dobrych lekarzy a zresztą są pieniądze, więc i z zagranicy można wezwać kogo do pomocy, kiedy tak silne konwulsje, to nastąpi polepszenie, pocieszajcie ojca; Bóg łaskaw, niepłonne ja mam przeżycie, że Polusia wyzdrowieje i że jeszcze będzie tańczyć na mojem i Kornelii weselu, a stary ojciec podpije sobie i spłaczę się z radości. Pragniesz wiedzieć, jak mi się powodzi, bardzo dobrze odpowiadam, lepiej niż kiedy w mem życiu, jestem tyle szczęśliwy, ile nim być tylko można bez was — i wy jesteście jedyną troską moją. List ostatni wasz w takim ucisku duszy pisany — Boże! Cóż się tam dzieje z wami; mnie lepiej, ja jestem szczęśliwy, a

wam miałoby być gorzej? Zapewne wielki macie powód do tego, widzieć bowiem siostrę tak cierpiącą, czyż to nie ma boleć! Ja sądziłem zrazu gdym się dowiedział że dostała konwulsyi, że z bólu, pękne. Adam (Jocher) był zaskłbł i obojętnie przyjął urodzenie córki. Lecz Bóg nad nami i jeżeli nas z jednej strony zasmuca, z drugiej niesie pociechę. Mnie się lepiej powodzić zaczęło i prędzej może, niż sądzicie, przyjadę do was po Kornelię. Droga matka nasza zaczyna z długów wychodzić, jak mi zaczęły jej adwokat donosi. Leonowi (Polowi) dobrze się powodzi, a Filipiek jedną razą możliwym panem został, a po jego sercu i głowie można się spodziewać, że wesprze całą w nędzy zostającą rodzinę, zwłaszcza, że się żeni z dawniejszą swoją kochanką, która jest najmniej 5 razy majątniejszą od niego -- piszę o tem Antosi, a mam tę niezawodną wiadomość od Ludwika nawaryjskiego (Nabielaka), z którego to łódki na jeziorze January nieraz tak się śmiać lubił. January czy zawsze tak szalony? Teraz zgodzilibyśmy się dopiero co się zowie; bo i ja nabrałem zdrowia i dobrego humoru. Przypomnij mu naszą maszkaradę u Chojceckich. Ja z woli Uniwersytetu zostanę przy katedrze i piórze, ale on z małym Józiem (Jabłońskim) może i przypłaci tę maszkaradę prawdą, jak mi się zdaje... Są żarty w życiu człowieka, które zapowiadają przyszłość. Gdzie się obraca mój Henryk (Janko) i jego burzliwy przyjaciel (Ludwik Jabłonowski z Lubienia) a wasz sąsiad? Chciałbym o tym wiedzieć; jeżeli będziecie mogli mi donieść. Właśnie tej chwili odczytałem ten bilet i sam widzę, że nie ma wiele związku, lecz wybac mi Anielo, że się tak źle tłómaczę; bo mnie blizna dzisiaj dokucza, (cięcie na głowie z pojedynku z Turkułem) a wiecie, jak to jest ból dotkliwy. Anielo, myśmy się dawniej rozumieli, spojrzawszy tylko po sobie. Bądź zdrowa, módl się, a Bóg nas pocieszy, jak już i pocieszył. Do śmierci żywiliwy brat Wincenty“.

Jakkolwiek list W. Pola jest bez daty, łatwo ją odgadnąć, bo w nim dziękuje za życzenia. Że zaś imieniny przypadały 22go stycznia, zatem list ten pisany był prawdopodobnie w końcu stycznia 1831 r. Na jego podstawie twierdzić można stanowczo, że Pol do tego czasu nominacyi nie dostał, choć miał zapewnienie ze strony Uniwersytetu. Nominacya mogła być pojawić się dopiero około czasu, gdy Wilno gotowało się do rewolucyi a młodzież nie uczęszczała, myśląc o wybuchu. Jeżeli zatem Pol został nauczycielem, mogło to nastąpić ledwie około lutego 1831 r. więc też około tego czasu Jocher zapewne pisał do Ziętkiewicza, że nie potrzeba posyłać Polowi dalszych zasiłków, bo otrzymał posadę. List ten czytał

January Poźniak, więc choć przepadł, nie ma powodu wątpić o jego istnieniu. Twierdzi też Poźniak, że Pol donosił Kornelii o nowem swoim stanowisku, i zapowiadał, iż po nią przyjedzie za parę miesięcy. I ten list przepadł, a szkoda, bo radbym datę jego ujrzeć. Nie da się bowiem zapowiedź przyjazdu pogodzić z świadomością rychłego powstania. Mógł Pol wiedzieć, że z dniem wybuchu rewolucyi przepadnie nauczycielstwo, więc nie mógł liczyć na zapewnienie swej przyszłości. Sądzę zresztą, że Pol jeżeli rozpoczął wykłady w Uniwersytecie, to zaczął je w chwilach, kiedy nikt już o słuchaniu wykładów nie myślał; nie mógł stanowiska swego brać na seryo. Mniemam nadto, że nie było czasu na wyrabianie mu nominacyi, bo wszystko było prowizorycznem. Uniwersytet stał na wulkanie, sam wulkanem będąc. Dlatego wierzę Klimaszewskiemu i Kraszewskiemu, że mogli nie wiedzieć o tej chwilowej i tymczasowej karyerze *in spe* poety. Profesury chwilowej jego, nawet jeżeli ją pełnił, w tych okolicznościach brać na seryo nie podobna, choćby nawet istotnie miał jakąkolwiek nominację. Samo twierdzenie Pola, że po złożeniu rozprawy o epopei otrzymał katedrę zastępcy profesora literatury, jest mi nie jasnem, bo rozprawa polska o epopei nie dawała prawa do wykładu niemieckiej literatury. Zaś o złożeniu pracy niemieckiej innej osnowy Pol przemilecza, tak, jak gdyby jej nie był złożył, jak równie przemilecza, jaką to wykladał literaturę.

Gdy tak czynił zabiegi około otrzymania posady, Kornelia łudziła się nadzieją bliskiego szczęścia. Tymczasem rok, który portargał tyle węzłów, zniweczył tyle nadziei, spustoszył ojczyznę na lat tyle, odrodzenie kraju powstrzymał, złowieszczy rok otworzył puszkę Pandory i nad Litwą.

Najbliższy list Pola do Ziętkiewicza już ogólnikowo mówi o przyszłości, lecz o przyjeździe do Mostek milczy. Wiedzieli Ziętkiewicze, co to znaczy. Oni pierwsi byli zawiądomieni o zamierzonym powstaniu w Warszawie. Leon Biedkowski, oficer z trzeciego pułku strzelców pieszych w Królestwie, zjawił się jako wróżbita złej wieści. Udzielił ją Poźniakowi i Lewickiemu, u którego zamieszkał.

Biedkowski bawił we Lwowie aż do wybuchu, poczem ruszył do Warszawy. Ziętkiewicz martwił się srodze nieopatrzoną pokusą rewolucyi, nie wierzył w jej powodzenie — odradzał i wstrzymywał, ale gdy raz kość rzuconą była, nie zawahał się poświęcić wszelkich oszczędności i wszelkich funduszków na ołtarzu sprawy desperacko podjętej. Poszły fundusze ze sprzedaży kamieniczki, poszedł kapitał odłożony na przykupno folwarku Malinowki, a uga-

szczanie i uzbrajanie ochotników nadwreżyło zasoby dóbr Mostek, i było może głównym powodem sprzedaży ich, gdy się powikłały sprawy pieniężne. Taki to był duch obywatelski w mieszczaństwie lwowskiem, że choć nie wierzyło, jednakże się poświęcało.

Po wybuchu powstania w Warszawie rozpoczęły się tajemne agitacye we Wilnie. Jednym z najczynniejszych i najgorętszych był Wincenty Pol. Świadek jego czynności, Aleks. Niewiarowicz, opowiada, że wróciwszy 10 grudnia 1830 r. z Pragi do Wilna, zastał w mieście i uniwersytecie stosunki na pozór normalne. Wrzało atoli wszystko po cichu. Rząd przeczuwał potajemne roboty młodzieży. Rozpoczęto kroki dla powstrzymania wybuchu. Rektor owoczesny Pelikan zaprosił na 31 grudnia całe grono uniwersyteckie do siebie. Po północy zjawił się gubernator Chłreptowicz wraz z kuratorem Nowosilcowem i zawezwał profesorów, aby pospólnie z agentami policyi zrobili rewizyę u młodzieży i broń poodbierali. Uskuteczniło to w ciągu nocy na d. 1 stycznia. Następnego dnia w południe zebrano młodzież w auli uniwersyteckiej i tam feldmarszałek Dybicz, człowiek przyjaźny Polakom, miał przemowę, ostrzegając przed niewczesnymi porywami. Ostrzeżenie przyspieszyło tylko przygotowania. O nauce nie było już mowy. Akademicy kupowali proch od żołnierzy i gotowali broń. Gdy nie nadechodziły z Warszawy sygnały powstania, wysyłano emisaryuszy. Jednym z ostatnich był Pol, jak twierdzi Niewiarowicz, ale na to żadnego dowodu nie przytacza.

W komitecie rewolucyjnym wileńskim większość chciała oczekiwać i nie ruszać się, mniejszość dążyła do wybuchu. Pol uniesiony egzaltacją szedł na oślep, i o to z Niewiarowiczem staczał walki. Jeden bowiem przyjmując obowiązek, nie wierzył w powodzenie rewolucyi, drugiemu zdawało się, że z *Odą do młodości* przejdzie zwycięzko świat cały. Oczywiście, że po stronie Pola stała murem cała młodzież. Ucierał on się z komitetem hamującym zapalę jego. Komitet nie chciał zezwolić na powstanie w Wilnie, wiedział, że to byłoby zagładą miasta.

Trwały te starcia przez trzy miesiące do połowy kwietnia. Oczywiście, że w tej gorącej powstańczej nie mógł Pol myśleć o obowiązkach profesorskich. Byłoby to dowodem krwi zimnej niegodnej poety i młodzieńca. Na Wielkanoc umyśliła młodzież wymykać się z Wilna partjami na prowincyę, do lasów między Oszmianą a Smorgoniami. To wymykanie się trwało dwa tygodnie.

Co uczynił Pol ówczas z sobą? Są opowiadania dwojakie, nieco sprzeczne, czemu nie dziwię się, bo trudno wymagać od star-

ców, aby po pięćdziesięciu latach pamiętali daty. Dość tego, że z ich opowieści czerpie, iż Pol brał udział przeważny w Wileńskiej ruchawce.

Według Niewiarowicza akademicy wileńscy a z nimi i obywatelstwo poszli za ruchem Oszmiańskim. W liczbie powstańców był Pol i Semeneńko podobno. „Pol i my wszyscy wyruszyliśmy do tego (Oszmiańskiego) powstania, któremu przewodniczył Przędziecki“.

Otóż właściwie tak było. Oszmiańskie powstanie zawiązane 1go kwietnia, skończyło się 15 t. m. zdobyciem szturmem Oszmian. Powstańcy cofnęli się z tej linii. W tem powstaniu nie widać Wincentego, lecz czynny udział bierze Justyn Pol Filaret. W tym to czasie 95 młodzieży przedarło się z Wilna traktem połockim do Niemenczyna, gdzie stał z oddziałem Parczewski. Kilkunastu zostało przy nim, inni poszli przez Wilkomierz na Żmudź. Odtąd codziennie ktoś się z miasta wymykał. Dnia 10 maja wyszło 60 do lasów w okolicy Rudni, a w następnym dniu wyszło trzystu. Gronem tem akademików dowodził stary kapitan wojsk francuskich. Tutaj Wincenty Pol był adjutantem. Mianowano dowódców kompanii; między niemi byli Gronostajski, Janowski czy Jankowski, ksiądz Petrulewicz (zwany baron Krentz) Klimaszewski i podobno Waleryan Pietkiewicz. W liczbie powstańców był Niewiarowicz i Zienkowicz.

Zienkowicz twierdzi, że po długiej tułaczce po lasach bez żadnego kierunku oddział szemrał niezadowolniony. Wówczas Pol poświęcił się i umyślił przebrany za wieśniaka iść i zasiągnąć języka o wojsku polskiem. Po jego odejściu zaszła walka pod Pake-monem. Większa część poległa. Rozbitki zbłąkani dotarli do korpusu Dembińskiego a część najznacniejsza dostała się do Giełguda.

January Poźniak w tym przedmiocie mówi: „O tej podjętej misyi opowiadał mi nasz Wincenty, że nie on sam ale w towarzystwie Litwina, którego, jak mi się zdaje, nazwał Kuczyńskim, przebrani za wieśniaków opuścili oddział powstańczy w celu zasiągnięcia wiadomości o wojsku polskiem lub też o innym jakim oddziale powstańczym, że Kuczyński znał doskonale język, zwyczaje i obyczaje ludu wiejskiego, że podczas odbytej wędrowki nasz Wincenty udawał niemego. Podróżowali niby sadownicy celem dzierżawy. Tak dotarli z Kuczyńskim do znacznego oddziału powstańczego, który zostawał, jeżeli sobie dobrze przypominam, pod dowództwem Ogińskiego, że atoli, nim się napowrót do swego oddziału mogli byli dostać, ten ich oddział został już rozbity i podzielił się na

kilka mniejszych oddziałów, że jeden z tych mniejszych oddziałów składający się przeważnie z akademików odszukali — Wincenty został dowódcą tego oddziału i dotarł z oddziałkiem swym szczęśliwie do oddziału wojska polskiego, którym dowodził generał Chłapowski, a Chłapowski umieścił był Wincentego w swoim sztabie“.

Nieco odmiennie mówi Niewiarowicz, a to jest dokładniej. Pol należał do owego korpusiku akademików, którego losy opowiedziano w wydany przez F. Wrotnowskiego *Pamiętniku o powstaniu Litwy* 1833, (str. 13—15). Przygody tam opisane zgadzają się z tem, co Pol w pamiętnikowym wspomnieniu o powstaniu opowiedział. Część tego oddziału w Augustowskim za Niemnem spotkała Giełguda, druga część złączyła się z Matuszewiczem i Ogińskim i doczekała się Chłapowskiego. Zanim to nastąpiło, trwała włóczęga bardzo długo.

W czasie leśnej tułaczki. Pol przebrany za chłopą, acz nieświadom języka litewskiego, zapuszczał się w okolicy, aby zaprowiantować oddział. Że zaś miał wielką i niezgrabną szablę, więc Wiktor Zienkowicz zrobił z nim zamianę, dając mu swoją lekką, oficerską.

Były to straszne chwile pielgrzymki leśnej. Gromada wygłodniała żywiła się po kilka dni tylko szczawiem gotowanym a nawet surowym lub inną trawą. Rosły kłótnie i bójki między swoimi, samobójstwa mnożyły się. Jeden Pol nie tracił ducha i on cały oddział ocalił. On objął naczelnictwo, kierował dalszym odwrotem, zaopatrywał w żywność. Doczekał się wkroczenia Chłapowskiego do Lidy. Wcielono go do sztabu i wkrótce wysłano dalej w misyi. Ocalenie oddziału Polowi się należy, mówi Niewiarowicz.

Odmiennie rzecz tę opowiada Dzieduszycki, lecz w rezultacie na jedno to wychodzi, czy Pol do Giełguda czy do Chłapowskiego się dostał, dość, że odznaczał się w toku całej tej nieszczęsnej ruchawki rewolucyjnej. Niedługo ona trwała. Giełgud, Chłapowski a z nimi Wincenty dostali się do Prus. Nie było pola do popisów wojennych, ale było pole do doświadczeń i rozmyślenia. W pochodzie nasuwały się piosenki streszczające wrażenia z odbytej kampanii. Tak rósł materyał do *Pieśni Janusza*.

Długi czas podczas kampanii i po ukończeniu nie było w Mostkach wieści o losie Wincentego. Dopiero w lecie zawitał do Żiętkiewiczów młody Żmudzin emigrant, i przywiózł ze sobą tekę z rysunkami ołówkiem scen z powstania na Litwie. Rycina jedna przedstawiała obóz w lesie na polanie. Postać jednego powstańca na

koniu tak była podobną do Pola, że Kornelia i Agnieszka zawołały jednocześnie: „Wszakże to Wincenty!“ Jakoż Żmudzin potwierdził to, dodając, że Pol był jego profesorem w Wilnie a dowódzcą w lesie.

Siedząc za granicą nie mógł Pol zaraz wracać do kraju. Rodzina odszukać go nie mogła. Listy albo przepadały, albo poeta zaniedbywał donoszenia o sobie. Jocherowi d. 20 lutego 1832 piszą z Mostek, że „Wiciuś od 8 listopada nie nie pisał. Dni temu kilka pisałyśmy do Królewca. We Francyi chleba on nie znajdzie, którym mógłby się z Kornelią podzielić. Los Kornelii jest prawdziwie smutny“. Dnia 29 czerwca 1832 piszą: „O Wiciusiu wielebym miała napisać, ale to Kornelii zostawiam. Bogusz i Zienkowicz bawili tu tydzień i pospieszyli do Francyi“.

Kornelia jednakowoż niewiele pisze do żony Jochera. List ten tylko wykazuje, jak cierpiała na tem, że Wincenty tuła się po świecie. Oto co donosi w liście pod datą 29 czerwca 1832:

Kochana Teosiu Nasza! Jakież miłe było obudzenie dzisiejsze, gdy Antosia wejrzała do pokoju naszego mówiąc: „Wstawaj pisać do Adasia“ — lecz ja nie znając was oboje a kochając was tyle, więcej ośmielona jestem do kobiety pisać aniżeli do Adasia twego, chociaż mu tak szczerze sprzyjam jak tobie; wrodzona nieśmiałość nie pozwoliłaby mi czynić tak częstej odezwy, gdyby nie twoja dobroć, do której sobie roszczę prawo, nie wiedzieć dlaczego? Nie uwierzysz, ile nam p. Ksawery opowiadał rzeczy o was, może był unudzony ciągłym zapytywaniem, gdyż bawiąc przez cały tydzień, dalszy ciąg jednej rozmowy trwał zawsze, my przecież nie-nasycone byłyśmy i nieustannie: „Cóż jeszcze o Adasiu i Teofili?“ brzmiało mu w uszach. Pojmiesz moją radość, luba Teofilo, gdy p. Ksawery w pierwszych chwilach zapoznania, przyrównywał mnie do ciebie, mówił, iż ogólny rys twarzy mamy do siebie podobny i wzrost i ułożenie; cieszyłabym się mocno, gdyby tak było, dwa razy stawiałabym się miłszą siostrze Mosteckiej, lecz zapewne to podobieństwo musi być bardzo nieznaczne, inaczej Wiciuś rychlej byłby dostrzegł — nieprawdaż! Donosiliście o przemianie pobytu swego, z jednej strony powinna nas ucieszyć ta wiadomość, z drugiej przeciwnie, zapewne to przeniesienie stanie się mniej korzystnem dla was a nadmienienie Wiciusia, w jednym liście, iż może przez niego co ucierpieć, mocno mnie dotknęło, ta myśl często mnie dręczy i oby Bóg dał, żebym się myliła w niej; proszę odpiszeć mi tak lub nie, uspokoić choć jedno bolesne przypomnienie; dużo ja cierpię, nie ma spokoju i jednej chwili dla mej duszy, mocno zmizer-

niałam i nie wiem, czy długo tak zdrowie potrwa; lepiej byłoby nie czekać chwil okropniejszych. Wiek XIX hańbę ściągnie na zawsze swoją obojętnością. Ile tu chwil bolesnych trza przeżyć, nie macie wyobrażenia. Wicus nam przesłał swój portret niedawno i wkrótce ma przybyć sam; i tem się cieszyć nie mogę, gdyż sobie nieszczęście sprawić może, i Bóg wie jeszcze, co się stać może. Teofilo droga, niech twoja Marylka i Emilcia westchnie do Boga za nim, może ich modły niewinne uchronią go, bo ja nawet modlić się już nie mogę, tyle czasem uciśnioną jestem, prędzej i szczerzej za innemi proszę jak za sobą; sama nie wiem o co prosić, czego chcieć. Gdyby Bóg przynajmniej Antosi i Jadzi pobłogosławił; ich szczęście w części spełni żądania moje. Żegnam cię najdroższa Teofilo, i całuję z twemi aniołkami, które tak szczerze kocham, i nie zapominajcie o dobrze wam życzącej i biednej Kornelii. Pana Adama i p. Józefa pozdrów serdecznie odemnie. Wicus w każdym liście pozdrawia was.

Wraca wreszcie przy końcu roku 1832 Wincenty do kraju, prosto przez Lubień do Mostek. Wyjeżdżając z lasów rozległych, na pola mosteckie, widno z oddali świerkowe drzewa okalające dwór w Mostkach. Wincenty ślubował podczas partyzantki, że gdy cało wyjdzie z niebezpieczeństwa, to wróciwszy do gniazda, postawi krzyż na miejscu, z którego najpierw dostrzegł drzewa świerkowe. Pierwszą więc czynnością jego było postawienie krzyża dębowego o ćwierć mili od dworu, około czego pracował z toporem w rękę wraz z cieślami. Jak długo Mostki dzierżyli Ziętkiewiczze, krzyż istniał — dzisiaj ani śladu tej pobożnej ofiary poety.

Powrót do kraju nie wpłynął na ustalenie losu Wincentego. Bywał kolejno w r. 1833 w Dubiecku, Lisku, Krasieczynie i Bachórze, nie myśląc o przyszłości swojej. Martwi się tem Kornelia i pisze d. 7 marca 1833: „Ja mogę powiedzieć: Bez nadziei! Nie mogę się nawet spodziewać ani żądać niczego w tym czasie. Wincenty tylko w przyszłości żyje, a byłoby może niedorzecznością łączyć się teraz z nimi“.

To jego nietroskanie się o domowe sprawy martwiło rodzinę. Agnieszka Ziętkiewiczówna pisze w r. 1834: „Wicus biedny, bez żadnej nadziei polepszenia w losie. Wytrwałość Kornelii w jej smutnem położeniu enotą nazwać można“. Ziętkiewiczowa w listopadzie tegoż roku pisze: „Kornelia bawi u Antosi (Lonszanowej). Wicus jak bez chleba, przejeżdża z miejsca na miejsce. Nasza młodzież bez pomocy, kiedy nie ma majątku, i bez chleba, a nasze panny w oczekiwaniu nie wiedzieć czego. Pójść za ubogiego, gotowa

bieda“. W lipcu następnego roku czytamy w liście Kornelii: „O Wicusiu tyle donoszę, że zdrow; więcej nic nie wiem, bo od dziewięciu miesięcy nie widziałam go“. W liście z lutego r. 1836 czytamy: „Kornelia teraz przez zapusty u p. Polowej. Dość zdrowa. Wicusia dawno nie widziałam. Ciężko im się złączyć, interesa oporem idą“.

Dopiero gdy Ksawery Krasicki osadził Wincentego na wsi w Kalenicy, można było pomyśleć o pobraniu się. Ślub odbył się d. 8 kwietnia 1837 r. W październiku 1838 pisze Ziętkiewiczowa: „Wicusz ożenił się z Kornelią. Umarło im pierwsze dziecko, teraz w powtórnem jest oczekiwaniu. Są u hr. Krasickiego niby w obowiązku, lecz to więcej z przyjaźni. Nie źle się im powodzi“. W tym roku ożenił się przyjaciel Wincentego January Poźniak z Agnieszką Ziętkiewiczówną.

Oto główne momenta życia Pola, zanim jeszcze zasłynął jako poeta. Zebrałem drobiazgi, które dzisiaj obojętniemi się zdają. Ciekawemi będą jednak kiedyś, gdy zmieniają się stosunki, wyobrażenia i świadkowie wymrą. Obowiązkiem moim było nic nie zatajać. Ze szczegółów wydobywa się ogólna fizyonomia całości. Życie pisarzy narodowych należy do życia narodu. Im bliżej poznane, tem zrozumialsze są dzieła jego. Nie można obojętnie pomijać domowego ogniska poety. Naród żyje wieszczami swymi i przez nich trwa na wieki. Ludy mogą nie mieć zasług naukowych, mogą nie słynąć bogactwem wiedzy, lecz jeżeli tylko mają wielkich poetów, pozostaną na zawsze wielkimi ludami. Grecya przez pamięć poetów swoich, Serbia przez pamięć gęślarzy swoich odzyskały to, czego oręż odzyskać nie zdołał. Kraj, który nie ma wieszczów, ginie w niepamięci; gdy ich ma a nie czci, nie godzien sam cześci.

Nie kuśiłem się o powtarzanie znanych szczegółów. Zebrawszy nieznane wierszyki Pola i prozę jego, nie przykładam do nich literackiego znaczenia. Są to gładkie próby zawiązku ducha poetyckiego, godne dochowania ze względu na autora, nie zaś na ośnowę. One to cofają zawód literacki poety o kilka lat po za datę roku 1833, wydobywają postać jego z przeszłości i odsłaniają stosunki jego młodości. Widno teraz dopiero, jak talent ten czerpał natchnienia z wrażeń młodości w rodzinie szlacheckiej, serdecznej, kochającej i kochanej. Pobyt w Mostkach, to okres jego życia najmiłszy — okres szczęścia niezachmurzonego, niezłamanego trudami ubiegania się o chleb powszedni. Gdybym dzisiaj był właścicielem Mostek, miałbym sobie za obowiązek, za zaszczyt, tam

w pobliżu świerków, gdzie Pol uczył się śpiewać dla narodu, postawić na kępie popiersie wieszczu z tym napisem:

Tu młodość Pol przepędził, wolen trosk i trudu,
Te sioła go natchnęły, te pola, te niwy,
Ztąd na troskę żywota wyszedł pieśniarz ludu,
Tu kochał, tutaj śpiewał, tu tylko szczęśliwy.

DOMÓWIENIE.

Na tem kończę biografię autora. Szło mi tylko o lata, kiedy jeszcze nie był znanym. Skoro raz zajaśniał, zwracano uwagę na niego, notowano jego przymioty i błędy; zgoła poeta jeszcze jest w świeżej pamięci, za świeżej, aby wdawać się w szczegóły.

Mam kilka listów jego, które nie wiele dorzucają do wiadomych drobiazgów. List z dnia 10 czerwca 1846 pisany był z więzienia do żony, inny z 10 października 1847 r. z Berlina, opowiada jak wyprawia siostrę Zofię z familią do męża do Algeru. Listami z 11 i 26 grudnia 1849 z Krakowa załatwia familijne sprawy i donosi o swoich czynnościach: „Praca moja idzie mnie dosyć dobrze. Wszystko jest wytrawniejsze i treściwsze niż bywało. Krótko powiedziawszy, prawie duchowo bogatsze; tylko że w sercu ubogo i pogarda dla wszystkiego, co ztąd pochodzi, zem długo był za granicą; że nie mam nikogo w koło siebie, cobym go mógł kochać. Co do druku poezyi żadnych nie mogę i nie chcę obecnie robić układów. Pozycya moja nie pozwala mi dziś na ogłaszanie poezyi, przeciwnie nakazuje zająć się wyłącznie wykładem przedmiotu i choć częściowem wydaniem geografii. Z tego toru nie dam się zbić niezem, bo jednej tylko rzeczy służyć można i trzeba. W pierwszy dzień równo z rozpoczęciem szkół po świętach będę miał pierwszą prelekcję d. 8 stycznia 1850 od 6 do 7 wieczorem. Westhnij tam do Boga za mną, żeby dał siłę i natchnienie. Prelekcya ta wstępna będzie drukowaną; napisałem ją już, będę ją czytał, bo mówiąc nie zdołałbym tyle rzeczy i myśli ująć i ścisnąć w ramach jednej godziny. Dobra jest ale twarda. Pierwszą będę czytał, resztę będę z notatki mówił, bo rzecz jest świeższa daleko gdy mówiona. Nie pierwszy to egzamin w życiu, a może Bóg mnie wesprzeć zechce!“.

Niedługo cieszył się ustaleniem losu swego. Zmieniają się stosunki w zapatrywaniu władz na kraj, zmieniają się profesorowie

w uniwersytecie krakowskim, który na gwałt germanizują. Pol traci naraz posadę bez danego powodu, traci ją dla tego, że go naród czcił i miłował. O tej utracie posady pisałem już na str. 12, wyrażając się ironicznie, iż rząd usłuchał głosu pamflecisty. Proszę tej ironii nie brać dosłownie, bo żaden rząd nie czerpie wskazówek z pamfletu. Oddaleniem kierowały cele polityczne chwilowe, złe dla kraju i złe dla rządu.

Pozbawiony chleba jednym ciosem, zwraca się o ratunek, o sprawiedliwość, do tego, o którym sądził, że ma, czy miał wpływy w sferach decydujących. Są dwa listy jego do prof. Antoniego Walewskiego, jeden z 7 grudnia 1849, w którym uiszcza się z długu małego, drugi z 29 września 1851, w którym prosi, by ministrowi przedstawił krzywdę, której doznał. Nic to nie pomogło. Poeta po utracie posady utracił możność spokojnej pracy. Z myślą o chlebie powszednim, o niepewnem jutrze, rosły prace częstokroć dla tego chleba, dla tego jutra. Natchnienie obumiera tam, gdzie przewodnią gwiazdą — dzienny zarobek.

Studjum to o W. Polu wychodziło w łamach „Przewodnika naukowego i literackiego“ we Lwowie (Styczeń do Lipca). Podjęte zostało wśród i z powodu okoliczności dotyczących naszego poety. Rychło po zgonie jego zaczęły zjawiać się opinie, znacznie obniżające poziom zasług jego literackich. Dwaj najznakomitsi krytycy dali hasło do tego. Czytelnicy nie uważali na to, co krytyka chwaliła, lecz zapamiętali tylko to, że go przezwano minstrelem staroświeczczyzny, najpopularniejszym antykwaryuszem w poezyi, itd.

Szło mi zatem o to, aby jaśniej podnieść pewne dodatnie strony talentu Pola, mniej może uwidocznione przez drugich. Szło też, by poznać, przez zbadanie narodzin jego ducha poetyckiego, dla czego rozwinał się takim, jakim pozostał do końca, dla czego nie mógł być innym.

Być może, iż mi się nie udało rozwiązać zadania. Żem jednak nie ubliżył pamięci poety, mam z tąd przekonanie, że w toku pojawiania się tej pracy, zgłaszali do mnie przyjaciele starzy zmarłego, mężowie znani z zasług w kraju i wyrażali mi uznanie może nawet za pochlebne.

Tem też mniej spodziewanemi były z tej okazji listy od dwóch osób, z Warszawy otrzymywane, przepełnione szeregiem najpospolitszych obelg z zagrożeniem „nieochybnej zemsty“ w razie,

jeżeli nie odwołam artykułów o W. Polu. — Czytelnik będzie zapewne pobłażliwszy, i nie dopatrzy się w studyum tem ani „fałszu i nienawiści“, ani „bezczelnej złej woli“, ani „plugawej śmiałości“, ani też wielu a wielu jeszcze jaskrawszych definicyi. — Uzna co najwięcej, iż ciekawość może była zbyt natarciwą, jako też była może przedwczesną chęć dotarcia do jądra prawdy.

Sądzę też, że trudno zaliczyć do „wywodów policyjnych“, twierdzenie, iż W. Pol pochodził z rodziny niemieckiej. Pochodzenie z tej lub owej narodowości, nie ubliża nikomu.

W ogóle, gdyby oglądać się przyszło na stosunki domowe, mielibyśmy związane ręce pisząc biografie mężów znakomitych. Musiałby Małecki spalić swe studyum o Słowackim, musianoby rodziny Mickiewicza prosić, czy pozwoli poruszyć strunę obłędu religijnego, miłości odmienianej i materialnego niedostatku, a cóż dopiero mówić o biografii Zygm. Krasińskiego!

Materyał, z którego czerpałem nie jest fantazją. Żywcem brany z autografów poety, które skoro są w publicznym księgozbiorze, stoją do użytku kogobądź. Lecz ten ktobądź, byłby może bezwzględniej je zużytkował, może silniejsze narysował kontury. Czego własnoręczne pisma nie dostarczyły, to dostarczył przyjaciel od młodości, a że był przyjacielem serdecznym, tego liczne są dowody w pismach poety. Jam tylko był echem reminiscencyi przyjaciela, temu przecie zależało na tem, by uczcić po śmierci tego, którego czcił serdecznie za życia.

To zresztą nie zaprzeczona prawda, że historia życia męża zasłużonego w narodzie, własnością jest narodu, a nie rodziny. Co więc rodzina pominęłaby obojętnie, to nie będzie obojętnem dla narodu. Cobyśmy dzisiaj dali za to, gdybyśmy mogli wysledzić stosunki młodości Mickiewicza, zanim zasłynął jako poeta. Rodzina nie przechowywała ich w pamięci, bo o ile mogły być one dla kraju zajmującemi, o tyle rodzina je uznawała za zwyczajne, zbyt wiadome dla siebie a może i za nie pożądane.

Zasłużeni mężowie są zaszczytem rodziny, nie zaś rodzina ich zaszczytem. Rodzina urasta dopiero ich wzrostem. Ztąd wynika, że gdy zwracamy uwagę na tego co zajaśniał w narodzie, nie patrzymy na tych co drzemia w pomroce, mimo, że światło wystrzeliło z tej pomroki. Innemi słowy: mąż znamienity zawsze zaszczyca ród swój, ale familia nie zawsze zaszczyt ten utrzymać zdoła.

Jeżeli odchyłam zasłonę może za wcześnie, zbyt doraźnie, czynię to dla tego, że kraj czci męża o którym piszę, że kraj zaj-

muje się choćby najcichszemi sprawami jego życia. Nie jest to zatem ciekawość prosta, jest to obowiązek przekazania tego pamięci, co jeszcze dzisiaj w tej pamięci tkwi, a co jutro z niej uleci.

Niechże więc nikt żalu swojego do mnie nie chowa, żem poetę odmalował inaczej niż poprzednicy moi. Główny żal o niemiecczynę, jakże trudny do ukojenia. — Jakże tu odwoływać to, co świadczył dr. Radziwoński, nauczyciel domowy w rodzinie staro Pola, co twierdzi kolega szkolny Wincentego i jego brata, Mat. Sartyni w liście do mnie pisanym.

Możeby nawet i inne znalazły się wskazówki. Jest ślad w metryce katedry lwowskiej, że w r. 1776 zawarł Franciszek Poll ślub z Elizabetą Fingerową. Jeżeliby to ten sam był, to wypadaloby, że w r. 1800 drugi raz wchodził w związki małżeńskie będąc już wdowcem. Nazwa ówczas pierwszej żony, wskazywałaby niemieckie jej pochodzenie i związki. — Lecz ten szczegół nie jest rozjaśniony.

Wymowniejszym jest list niemiecki z roku 1806 zachowany w zbiorach K. Zielińskiego czy Wilamowskiego w Warszawie, a jeszcze bardziej popiera używanie niemiecczyny w potocznych stosunkach list pisany do Polaka. Podaję go w całości:

(List do Dominika Głogowskiego adwokata w Krakowie, o zwrot pieniędzy na ręce sekretarza apellacyi w Krakowie Franc. Chrastiańskiego.)

Lublin d. 23. April 1799.

Lieber bester Freund!

Die Intriguen, durch welche ich nach Lublin geschleidert worden bin, setzten mich in die Lage, dass ich auch meinen besten Freunden lästig werden muss. Unter diesen bist du mein lieber Głogowski, zerrüttet durch diese Abreise in meinen Geschäften, wurde ich in Nothwendigkeit versetzt, Geld aufzunehmen, dieses zu bezahlen ist kein anderer Weg, als die kleine bei dir haftende Baarschaft anzugreifen. Ich bitte dich also um unserer Freundschaft halber, habe die Güte dieses Geld dem Hr. Chrastianski abzugeben, der von mir die Commission hat, es an meinen Gläubiger zu bezahlen. Ich habe an den Chrastianski eine Copie von deiner Obligation geschickt, und ich sichere es dir als ein ehrlicher Mann zu, dass ich das Original bei der ersten sichern

Gelegenheit zu überschicken trachten werde. Ich bitte dich nochmals um diese Freundschaft, damit ich mein Wort zu halten im Stande wäre. Lebe mir recht wohl, sey mein Freund wie ich der deinige zu verbleiben nie aufhören werde. An deinen lieben Bruder, wenn er in Krakau ist, wie mans mir hier in Lublin gesagt hat, meine Empfehlung. Dein

wahrer und unveränderlicher Freund

Poll.

Tyle w osobistej sprawie, odślaniającej przyjemności zawodu autorskiego.

W dodatkach umieszczam resztę wierszy Pola, które nie weszły do tekstu. Zamierzałem i prozę dołożyć. Lecz nakładcy zdało się, że proza nie zasługuje na rozpowszechnienie, bo zbyt małej wartości literackiej. Uznałem słuszność uwagi tej, dlatego cofnąłem rękopis. Autor na tem zyskuje, ciekawość traci.

POEZYE

DO ADAMA MICKIEWICZA.

Tyś znowuż język za Zygmunów sławny.
Z toni zagubnej wybawił.
I tyś go wrócił czystości dawnej!
Odarłeś Gallów mdławe łakocie!
 Tyś go wyorał i sprawił
 I szczeroufnej oddał prostocie!
A kędy szczyty polskiej Kaliopy
Nieprzedarte mgły obwiały,
Tam gdzie świecą gwiazdy chwały,
Twej lotnej myśli wieszczę pochopy.
 Chwyciwszy ziarna z gminnych zasieków,
 Śmiałe po skale stawiały stopy,
 Zdeptały gromy i chmury
I dopięły szczytu góry —
U której podnóża
Dwóch przeszłych wieków
Naśladowcza tłuszcza,
W bagnie się nurza!!
 Wielkolitwinie spiewaku Sarmaty!
 Przyjmij ten listek Halickiego zioła! —

KILKA DUM CZERWONORUSKICH.

I.

(Ten Nr. I. tylko drukowany r. 1833 w Czasop. Ossol.)

Trzech dziś u mnie chłopców było,
 Każdy przyniósł dary:
 Pierwszy miły, mówił miło
 I dał wstęg bez miary;
 Drugi szpetny, lecz pokusa
 Dał mi srebra dzbanek;
 Ach! a trzeci dał całusa
 I różany wianek.

A w tym pierwszym, co dał wstęgi
 Brata miećbym rada,
 A w tym drugim, co dał dzięgi
 Teścia lub sąsiada,
 Ach! a temu co dał róże
 I całus pasterce,
 Oddałabym oczy duże
 I pieszczzone serce!

II.

Nie jem, nie śpię, dręcę siebie,
 Usycham z miłości,
 Czyż już nie ma Boga w niebie
 Ni w ludziach litości?

Matka mówi on ubogi
 Nie kochaj go dziecię,
 A ja kocham, bo mi drogi,
 Szczęściem dla mnie w świecie.

„Co robicie? nie ma chaty“
 Sąsiad dziś powiedział,
 Niechby sobie dziad brodaty
 W pasiece tam siedział.

Gacą ludzie, potok gacą,
 Chętnieby wstrzymali,
 Ale groble nie nie płacą
 Potok płynie dalej.

Bronią ludzie, szczęścia bronią
 I nie każą szlochać,
 Ale myśli za nim gonią
 I każą go kochać!

III.

Hej jaworze! ty jaworze!
 Nad ojcowską moją chatą,
 Rosłeś sobie tu nieboże
 Przez niejedno już to lato.

Ale patrzaj, toporzysko
 Wyostrzyłem już na ciebie,
 Wkrótce będziesz leżał nisko
 I nie spojrzysz już po niebie.

Jam twą chatę lata chronił,
 Czy śnieg padał, czy grad kosił,
 Czy skwar palił, czy wiatr gonił,
 Ach! to wszystko jam ponosił.

A dziś kiedy miłe ranki,
 Chcesz podcinać moje zdrowie?
 Gdzież polecą moje wianki?
 Moje wianki i ptaszkanie!

Patrz, gdzie sadek tam na brzegu,
 Tam twój słowik będzie dzwonić,
 W kołysanej fali biegu,
 Będą wianki ptaszka gonić.

Z pnia zaś twego czółen zrobię,
 A z gałęzi, zrobię sanki
 I tak latem, zimą sobie,
 Będę jeździł do kochanki.

POEZJA I PRZYJAŻŃ.

(Stachowi Pilatowi do pamiętnika.)

W ciemnej naszej pielgrzymce świecą dwie niebianki,
 One wiecznie wracają życiu młode ranki.
 I błogo, komu pasmo dni złotych uprzedły!
 Pierwsza strojna, na głowie kwiat nigdy nie zwiędły!
 Piastuje w ręku czarę z najczystszą rozkoszą,
 Z której wonne obłoki wiecznie się unoszą
 I skleją w zarysy, jako mgły poranne,
 I tworząc na powietrzu zmiany nieustanne:
 Grodzą duszę jasnością magicznych obręczy,
 Wonią kwiatów, przetkanych kolorami tęczy —
 I już obecnych wdzięków rozkoszą nas mamia,
 To umarłej przeszłości wszystkie kształty kłamią.
 Czasem na nie duch ziemski zbyt ostro zawieje
 I w szarem zamieszaniu obłok się rozleje;
 Lecz zaledwie uroczna uśmiechnie się pani
 I już woń się rozdaje i obłok bałwani —
 I kto zwabion szelestem srebrnopuchych skrzydeł,
 Zbliży się do jej czary i do jej pachnideł —
 I kto jej na ofiarę oddał serce rzewne
 I myśli, jak jej rąbek czyste i powiewne —
 I kto duszę w anielskie zatopiwszy lice,
 Niewymownej czułości przeczuł tajemnice.
 Tego ona z dobrocią pod swój welon przyjmie,
 I spokojnie, szczęśliwie na jej łonie zdrzymie —
 I prześni całe życie — gdyż pod jej opieką
 Będzie ból ziemski stronił od niego daleko.
 Druga, jak ziemska siostra, lecz nie z rodu ziemian,
 Miła i zawsze stała nie lubiąca przemian,
 Co szczęśliwa za młodu na ustroni kwitnie,
 Nigdy zbyt nie pieści, nie ostyga zbyt.
 Nieodstępna, spokojna i zawsze jednaka;
 Lecz kiedy nasze życie skłóci burza jaka,
 Kiedy upał przygrzeje zbyt w południe,
 Kiedy pod ciosem nieszczęść czucie nasze zchłódnie,
 Wtenczas przybywa ona z leki cudownymi

I garnąc nas do siebie ramiony cichemi,
 Gdy nie może nowego utworzyć nam świata,
 Z wonnych gałęzi chłodnik nad nami wypłata —
 I gojącym oddechem rany nasze chłodzi,
 I cichym blaskiem oka znowu czucie budzi,
 I o burzy już przeszłej zapomnieć nam każe,
 I ręką przebaczenia całą przeszłość maże.
 A gdy bole uśmierzy i rany wygładzi,
 Znowu silnem ramieniem w życie nas prowadzi,
 Kiedy los w nasze życie wpiwszy szpony charpie
 I pasmo dni szczęśliwych i duszę rozszarpie.

DO SAMOTNOŚCI!

O samotności! ty cicha siostrzyco!
 Złote młodości wracająca ranki;
 Do której czucia, kiedy się przesycą,
 W burzliwym życiu, lgną jak do kochanki!
 Ty — coś w szczęśliwych niegdyś dla mnie latach,
 Gdym sobie ziemię nie tak wyobrażał,
 Heruby widział w niewcielonych światach
 I im podobnych ludzi, światu stwarzał,
 Była tak lubą towarzyszką duszy
 I śród spokoju miesięcznej pogody,
 Kiedy mgła lekka doliny poproszy,
 Błądziła ze mną razem po nad wody;
 Albo pod cieniem owych lip wieczystych
 Porannym modłom wznosiła pochodnie,
 Albo do pieśni starych i ojczystych,
 Młodzieńczą duszę nastrajała zgodnie.
 Ty! której balsam wątłe siły krzepił,
 Gdym się w rozpacz na twe łono rzucił,
 Gdy szął zbuchały rozum mój oślepił,
 Ach! a ból tylko duszę z bólu cuciał....
 Gdy ukochana nie była wzajemną,

Choć krwią zabiegły czucia i powieki,
 Bóg nawet nie miał litości nademną,
 A los mnie wygnał od niej w kraj daleki.
 Gdy ranek, który w obcej ziemi wschodził,
 Z żadnej mi strony nie tuszył pomocy;
 Każdy dzień nowy tysiąc mąk przywodził,
 Po stokroć dla mnie okropniejszej nocy!
 („Gdy przyjaciele zdradzali ufne go,
 W sercu się wiary zachwiała budowa;
 Jam zebrał cudu u tronu boskiego,
 A ani Bóg mi, ani anioł jego,
 Zbawienne wiary chciał zwiastować słowa.
 Kiedy tak pędząc w różne strony mylnie,
 Upadłem w końcu śród cierpień bezsilnie,
 Nie mając zdrowej myśli więcej w głowie,
 A w pustej piersi, żadnej błogiej chęci,
 Ni zgody w czuciu, ani związku w mowie,
 Ani otuchy w tajnikach pamięci;
 A bez promienia najdalszej nadziei,
 Cała moc duszy była obumarła,
 A wśród tej długiej straszliwej zawiei
 Jedyne gorycz na dnie serca warła...“)

Ty! coś natenczas ramiony cichemi,
 Garnęła do się rozżalone dziecię;
 Tulila czule i balsamy twemi,
 Gładziła rany zadane po świecie,
 Coś niegdyś w gaje wiodła marzyciela,
 Z szalu cucila duszę zapaleńca,
 Słuchała czulej skargi przyjaciela,
 Z niebem jednała serce odszczepieńca
 I nauk boskich wskazała świątynie,
 Uczyła wzgardzać znikomymi skarby
 I świat cudnemi przetykany farby,
 Wskazała duszy, który nie zaginie.
 Dziś, gdy grom może równie strasznej burzy
 Godzi na resztkę moich dni jesiennych,
 Nie już nie zdoła wstrzymać mej podróży,
 Ani odmienić wyroków niezmiennych.
 Przybądź bogini i otocz mnie znowu,
 Jako mgła owa, która pielgrzymowi,
 Co zgubił ścieżkę wśród Karpat parowu,

O jego strasznej przyszłości nie mówi —
 I kryjąc bezden swym całunem mrocznym,
 Krańce, przetchliny, osłaniając oku,
 Nie trwoży duszy zgonem już niezwłocznym,
 Który go czeka — gdy poruczy kroku....

1827.

W.

Ustęp zanawiasowany jest przekreślonym.

(Na boku popisan): Panna Antonina Pan Kibront powiada, iż może bydz. Oto pan Henryk zuch. — Moje siostry. — Z tego widać, że pisano w Mostkach.)

Na końcu dołączono spis gotowych Elegii.

1. Podróż,
2. Samotność,
3. Ranek,
4. Kominiek,
5. Wieczór,
6. Wspomnienie (ośmioletni. wierszem),
7. Lipy,
8. Smętarz,
9. Modlitwa,
10. Kresowice,
 Modrzewie, elegia,
 Celinie do Pamiętnika.

To zapewne były pierwsze prace wierszowane Winc. Pola.

H A R F A.

Gdy młoda wiosna kraj powlecze majem,
 Natenczas całe Włochy są ogrodem,
 A każdy ogród znowu nowym rajem!
 A cóż dopiero, gdy z morskiej kąpieli
 Księżyć się pomknie po błękitnej błoni,
 Blask tajemniczy po świecie rozroni,
 Nieba rozjaśni i ziemię pobiele!
 Natenczas głośniejszy słychać szum kaskady,
 Światło się łamie w perle wodospokoju,
 A jasną smugą ciche wody muska.
 Szmer nocnej scenie dodaje uroku

I piersi morskie srebrna kryje łuska.
 Ziemia oddycha wonią strefy włoskiej,
 Z zachodu mile powiewają chłody;
 Pąk się rozkwita a owoc narasta,
 By nowym datkiem powitać dzień młody.
 Senność zalega i wille i wioski,
 Lecz ruch tajemny mięsza wielkie miasta:
 Wszystkie publiczne miejsca i ogrody,
 Pełnią się we dnie niewidomą rzeszą,
 Każdy gdzieś bieży jak gdyby w zawody,
 A wszyscy prawie bez służby i pieszo.
 Tysiąc się snuje nieznanych postaci:
 Ten tego śledzi wyteżonem okiem,
 I już go schwycił i znowu go traci.
 On postępuje wymierzonym krokiem
 I taką tęgość w swej postaci chowa,
 Iż nieomylnie zda się w każdej chwili,
 Skoro moc zemsty w duszy się przesili
 I pierś do zbrodni i ręka gotowa!
 A w tamtem ciele widać dumę duszy,
 Poziera w strony, często krok chamuje,
 Choć ciżbą idzie nikt go nie poruszy,
 Choć go nikt nie zna, każdy ustępuje.
 W tego osobie znać powagę strojną,
 Ten sobie do niej żadnych praw nie rości!
 W tym widać duszę cichą i spokojną;
 W tym znowu istny obraz wesołości.
 Tutaj zalotność, a tam zaniedbanie,
 Uprzejmość, chytrłość, zemstę lub kochanie.
 Wszyscy się snują jak tajemne mary,
 Kryją ich zwykle płaszcze okoliste,
 A każdego chowa pod płaszczem gitary,
 A w łonie serce mściwe i ogniste.
 Gitarę, aby pod oknem lub w krzewie,
 Igrać i nucić piosenkę dla lubej
 I w krewną duszę przelewać zarzewie.
 Lub wspomnieć chwilę cichego wesela
 I oczom świata ukrywane szluby,
 Zemstę i sztylet dla nieprzyjaciela.
 O nocy włoska! i któż cię opisze?
 Kto rozmaitość tych zdarzeń pochwyci?

Tutaj z balkonu śpiew zakłócił ciszę,
 I trzyma duszę na miłosnej wici;
 Chwila po chwili orszak się gromadzi,
 I każdy słuchacz w swej duszy się dumi,
 Wszyscy się dumią, wszyscy słuchać radzi,
 Lecz jeden tylko jej pieśni rozumi....
 A tam w ulicy nie-tak zaludnionej,
 Jakiś się człowiek baczynym krokiem skrada
 I często staje i patrzy na strony —
 I płaszcz szeroki rozkłada.
 Brząknął zanucił pieśń Laury... przerywa...
 Bo już w pobliżu zabrzękło okienko.
 „Tak! tak! to ona! godzino szczęśliwa!“
 Głos jakiś słodki odpowiada cienko,
 On tak do góry wyteża źrenice,
 Jak bujny płomień, co się w niebo wdziera;
 Ona z firanek ukazała lice,
 Jak księżyc kiedy z za chmury wyziera.
 W tem szmer jakowyś przebiega ulicę
 I on uchodzi jak gdyby występny;
 Ona za lubym wypuszcza źrenice,
 Dopóki w mglistej dali nie zamierzchnie —
 I dźwięk znajomy gitary posepny,
 Po raz ostatni z brzących strun nie pierzchnie.
 Gdzie srogi przymus wziętego zwyczaju,
 Krępuje serca, czuciem drogę znaczy;
 Gdzie pięknej córy dumne oko strzeże
 I zbawia młodość w ziemskich uczuć raju —
 I do ostatniej potrąca rozpaczy,
 Tam się i miłość na sposoby bierze!
 Nieraz panienka w pobliżu fontany,
 Idąc przy matce bilet z drobnej dłoni,
 Gdy się z daleka skrada niewidziany,
 Na umówionem podnóżu uroni.
 Skoro odejdą wtenczas on z pospiechem,
 Leci i czyta najdroższe wyrazy,
 Czyta je z łzami, z łzami i uśmiechem,
 I nie dość czytał gdy czytał sto razy.
 A cudem zda się, że papier co kręśli
 Zapaly lubej, zapal nie pochłonał;
 Albo, że jego całusem nie spłonał,

Gdy w nim utopił i czucia i myśli!
 Czasem wśród nocy o pewnej godzinie,
 Coś się pomyka i wiosło zaplaszcze,
 I zanim jeszcze w mrocznej fali zginie,
 Z bliskich wybrzeży ktoś w dłonie zaklaszcze.
 Obydwie łódki gonią w różne szlaki,
 Lecz zdala brzegu mienia się ich jazdy,
 Czem raz to częściej dają sobie znaki,
 Łączą się w końcu jak przyjazne gwiazdy.
 Do jednej łódki siadają majtkowie,
 Oni na drugiej odjeżdżają nieco,
 Morze i księżyc jedyni świadkowie
 I błogie gwiazdy ich miłości świecą!
 Cicho na łódce, drzemie wtenczas wiosło,
 Morza jasnego igrają z nią fale;
 Ach! bo nie dbają w rajskim błędzie wcale,
 Kędy są teraz i gdzieby ich niosło.
 Jedna myśl tylko duszą jego miota,
 (Jeśli myśl jaką należącą światu,
 Podobna powziąć w objęciu anioła)
 By wieczność trwała taka chwila złota,
 By morzem spłynął cały świat dokoła,
 Lub wiatr na pustą wyspę ich zagonił!
 I w tejże chwili wszystkie struny jęły,
 Potem silnymi akordy zadrzały,
 Jak gdyby herub uderzył w nie śmiały —
 I pękły.

M U Z Y K A.

Tu znów muzyka — lecz już nie szalona,
 Ale powolna, ponura i czuła,
 Wszechwładna władza wdarła się do łona
 I czarów przedzą umysły osnuła.
 A jak ocean swoimi bałwany,
 Tysięczne świata naszego odmiany,
 Zgodą owładnął od osi do osi,
 Tak tej muzyki wszechwładnąca siła,
 Wszystkie obrazy dnia tego unosi
 I wszystkie w jedno uczucie stopiła.

Święta muzyko! niebios wielki darze!
 Ty wznosisz serca w krainę błękitu.
 Droga pamiętko z rajskiego pobytu!
 Najczystszość serca to są twe ołtarze.
 Co pierś napróżno wyjąknąć się suszy,
 Co duch napróżno pomyśleć się sili,
 Co nawet oko, mowny poseł duszy,
 Niezdolne przesłać przez ciernia okucia,
 To ty władczynio! panująca w chwili,
 Nie ziemską mową przesyłasz do czucia.

B R Z O Z A.

Czemuś brzoza nad strumieniem!

Opuściła twe kędziory?

Czy wiatr może ostrem telnieniem,

Nadpsuł białe twoje kory?

Czy ci strumień ów głęboki,

Z ziemi korzeń twój obnażył;

Czyli może twoje soki

Stary, siwy mróz powarzył?

Siostro Olgo! brzoza powie:

Ni mróz stary, ni mróz siwy,

Podciął zimą moje zdrowie;

Ani potok natarczywy,

Obmył latem me korzenie.

Białe prątki, liść zielony,

Nie zwarzyło wiatrów telnienie;

Lecz z dalekiej wschodniej strony,

Najechali tu Tatarzy;

Wkoło stóp mych stłukli wrzosa,

Obrywali me konary

I palili wielkie stopy.

A gdzie oni ogień kładą,

Nigdy darń tam nie zieleni;

A gdzie oni polem jadą,

Stanie czarne jak w jesieni.

Gdzie ich konie potok zbrodzą,

Pię z tej wody już nie łechce;

Gdzie ich strzały raz ugodzą,

Nigdy ból tam ustać nie chce!

Książ halicki w rannej dobie,

Po halickiem spojrział polu,

I zawołał w ciężkim bolu:

Zabierz z sobą chłopów mężne,

Na Tatary pójdziem w pole;

Ale zamknij w zamku księżnę

I książęce twe pachole!

(Bez daty także w r. 1827--8).

S P I E W A K.

Duch porzuciwszy w niższém przestworzu,
 Ciche szalały i śnieżyste trzody,
 Zakłęte zioła i góralek czary,
 Ścieżki watażka, opryszka pieczary,
 Wioski, doliny i bory i wody,
 Debry, wąwozy, drożki i przesmyki,
 Gniazda i jamy, bagniska i jary,
 Niedźwiedzie, sarny, jelenie i dziki;
 Drze się po piętrach urwisk na szczyt góry,
 Chwyta się sosen sterczących korzeni,
 Wymija gniazda śmierć niosącej kozy,
 Wymija tuman zgromadzonej chmury
 I w grom ciężarne piorunowe wozy —
 I tam dopiero, gdzie się nie zieleni
 I mech już nawet; na wieczystem śniegu,
 Spoczywa nieco po tak śmiałym biegu;
 A wzorem orła znikając u szczytu,
 Topi swe skrzydła w otchłani błękitu.
 Lecz, orlim lotem nazbyt zmordowany
 Opuszcza wietrzne bezdroże,
 Leci na ziemskie przestworze,
 W świat, mniej trwożliwy, a więcej mu znany:
 Z trwogą zawisa nad chylem urwiska,
 Pada z kaskadą, w odmęty topieli,
 Szumiąc w powietrzu kropelkami tryska
 I ginie w czarnej rozpadlin gardzieli!
 A tam dopiero, gdzie po bystrym czwale,
 Głębsze już wody żartkie wiosło kraje,
 Brzeg mniej skalisty, spokojniejsze fale,
 W ojczystym Sanie znowu zmartwychwstaje.

Z G O E T H E G O.

Ani nieba nigdy więcej
 Nie bywały tak pogodne;
 Ani myśli tak swobodne,
 Ani unysł tak dziecięcy.
 Dzionek złocił smugi, wzgórki,
 Za błękitu zasłonami,
 Gdzieś daleko nad górami,
 Po tygodniu stały chmurki.
 A jeżeli wioską czasem
 Przeciągnęła nagła burza,
 Świeższe były potem wzgórza,
 Po nad rzeką, po nad lasem.
 Świeższe, żywsze, barwy, wonie,
 I powietrze było lżejsze —
 Ach! i bóle serca mniejsze,
 Czystsze czucia w lżejszém łonie.
 Darni błyszczała w srebrnych rosach,
 A olbrzymie półobrzęcze,
 Cudnych farb podwójne tęczę,
 Kołowały po niebiosach.

S P O J R Z E N I E.

Po co wzajem serce dręczyć,
 Jeden wystrzał skończy bole,
 Tysiąc razy umrzeć wolę,
 Niż tak cierpieć niż tak jęczeć.
 Raz ją jeszcze widzieć muszę,
 Jeden całus ust wyżebrać,
 Potem całą rozpacz zebrać,
 Niebu piekłu sprzedać duszę.
 Rozpacz śmiałość mą podwaja,
 Stoję przed nią, zamysł zgadła
 I zadrzała i pobladła —
 I spojrzeniem mnie rozbraja.
 To spojrzenie w duszę wciągnęłam,
 To spojrzenie mnie zbawiło,
 Obdarzony nową siłą,
 Uklęknąłem i przysięgnęłam,
 Że się nigdy nie zabiję ...

(Dalej strofa nieczytelna.)

CELINIE DO PAMIĘTNIKA.

Tu gdzie równie pobożne modły,
 Umiała kreślić przychylna ci ręka;
 Tu gdzie niejedna wesoła piosenka,
 Wdzięcznie jednocy uroku powaby;
 Gdzie mile nucą przyjaciele szczerzi,
 Głos ten bolami przepalanej piersi,
 Głos żałości i głos słaby,
 Żle się wyda tobie.

Lecz jako napis na samotnym grobie,
 Kędy się cyprys posępny kołysze,
 Chyląc nad głazem latorośli wisze,
 Kroki przechodnia przywabi ku sobie;
 Tak ty Celino! w twej jesieni może,
 Po latach wielu, jeszcze większej zmianie:
 Gdy czas twe wdzięki pomroka owionie,
 Gdy twej młodości zbledną miłe zorze,
 A z niemi razem i nadziei tyle,
 Z łaskawszem sercem, lecz w smutniejszym stanie,
 Na ten to wieniec zwrócisz twoje oczy,
 Któren przyjazne uwiły ci dłonie...
 Wtenczas Celino! wspomnisz przeszłe chwile
 I ów wdzięk życia świeży i uroczy,
 I moją miłość i twe młode lata
 Przywołasz wtedy do twojej pamięci.
 Zmieni się postać powabu i świata
 I łza boleści w oczach się zakręci!
 Westchniesz głęboko i w słodkim obłędzie,
 Przeniesiesz serce w odbiegłe nas wieki;
 Rzucisz wzrok w przeszłość zdawać ci się będzie,
 Że w oddaleniu nasza młodość płacze!...
 Lecz mnie Celino! już wtedy nie będzie...
 Ja już zakończę to życie tułaczę
 Z zbolałem sercem od ciebie daleki,
 W obcej ziemi, w obcej stronie
 I obcą grzebany ręką,

Spojrzawszy raz jeszcze na przeszłe obrazy,
 Na życie nieszczęsne, lecz życie bez skazy,
 Zasnę błogo, zasnę mięko
 I ukoję ból w swem łonie.

(Zapewne w Maju 1828 bo na temże papierze i tym atramentem
 co wiersz Do ... z tej daty).

E L E G I A.

O inne niegdyć dla mnie bywały te ranki,
 Kiedym lubość ich witał w oczach mej kochanki,
 Gdy po lekkim spoczynku już o samym świetle,
 Rozkoszny szczęścia pączek rozwijało życie!
 Wtenczas z duszą tak czystą jak ranne powiewy,
 Spieszyłem za darami, najwprzód między krzewy:
 I różę co dzień młody cudownym uśmiechem,
 I wonią powitała, uszczeknąwszy z pośpiechem,
 Wkradałem się bywało z cicha do pokoju...
 I patrzyłem jak ona w śnieżnym rannym stroju,
 Kąpiąc w jasnym zwierciadle swe prześliczne oczy,
 Rozplatała z uśmiechem nieład tych warkoczy,
 Które sen był ułożył nieuczonym wieńcem,
 Spostrzeżony i nagłym witany rumieńcem ---
 Gdy po lekkim spoczynku, o różowym świetle,
 Rozkoszny życia pączek rozwijało życie.
 Ach za wdzięku tyle!
 Za jeden taki widok, jedną szczęścia chwilę
 Oddałbym dzień z rozkoszą, cały widok świata,
 Dnie! miesiące!! lata!!!
 Ach! za jedną taką chwilę,
 Ach! za taką chwileczkę.....

(Zarazem: bez nadpisu fragmenta)

(Czem raz to dalej niosą mnie rumaki,
 A widok puszczy krew w mych żyłach ziębi;
 Bo tylko wilków wycie z lasów głębi,
 Niesie wiatr dziki przez piaszczyste szlaki.

Czem raz to dalej los mnie w puszcze miecie,
 Ach w dziką, dziką puściłem się drogę!
 Ciężkość i tęskność pierś i myśli gniece,
 Lecz ani westchnąć, ni zapłakać mogę!)

Brałem za uśmiech róży i zroszone wdzięki,
 Boski uśmiech w odpłatę i ściśnienie ręki.
 Setny całus wytchawszy w jej ujęcie miękie,
 Bojąc się bym nie znudził, puszczam zwolna rękę;
 Biorę krzesło i siadam w pewnem oddaleniu,
 Wiążąc całą mą duszę, jedynie w spojrzeniu!
 Tutaj od niej dzielony girlandą kobierca,
 Liczyłem chwile szczęścia, częstszem biciem serca,
 Gubiąc myśli i chęci w setnych wdzięków tłumie,
 Z których jeden mógł zmieszać, spokój w mym rozumie.

I gdy pamięć przeszłości serce ukołyszę,
 Biorę pióro do ręki i elegie piszę!

Przekreślone są wiersze:

Przypadł do szyi i usty czułem,
 Złotych miękkich pierścieni przygarnął obfitość
 I tak przylgnął do szyi, jak gdybym miał litość —
 Litość nieba, zbawienie sobie ucałować
 I pod temi puklami duszę już pochować.

Pisane niewątpliwie 1827 r. choć daty nie ma, lecz papier
 i pismo toż samo co inne z r. 1827.

Ośm wierszy w klamrze () są na tymże papierze.

PLAN HENRYKA.

1. Wstęp, krótkie opisanie Podola.
 2. Zwrot na góry; epizod o górach. — Opryszek — lirnik — zwrot na:
 3. Podole — (poetyczny) krótki rzut oka na historyczne stosunki i położenie — urodzaje.
 4. Noc się spuszcza na doliny Podola.
 5. Henryk się jawi na błoniach i pędzi co wyskok, znika.
 6. Zbrucz, opisanie granicy, straż po obu stronach (jak zgodna siostra łączy rzeka, dwa nieprzyjazne brzegi, jak dwóch braci niezgodnych, póki nie pójdzie z domu za męża, póki w Dniestr nie wpadnie).
 7. Henryk przypada na granice, straż go wstrzymuje — pali w łeb żandarmowi — skacze przez poręcz i przepływa rzekę na koniu.
 8. Scena z jego kochanką w kaplicy.
-

DO ...

posyłając mu „Henryka“ powieść podolską.
 Chciałem coś nucić dla przyjacieli
 I dla kochanej Celiny,
 W tem z wyobraźni bujnych topieli.
 Znikł nagle obraz dziewczyny.
 Ujrzałem jeźdźca na białym koniu
 Pięknego wzrostu i lica,
 Jak się pomykał po żyznem błoniu,
 Przy bladym świetle księżyca.
 Leciał co siły największym cwałem
 Wzrok mój krainę okola,
 Patrzę, gdzie jestem? a w tem poznałem
 Smutną równinę Podola.
 Wracam w też tropy, wzrok bacznie śledzi
 Ciekawiem po drodze pytał,
 Brzękli mi niecoś blisicy sąsiedzi,
 A resztem z jeźdźca wyczytał.
 Lecz wprzód jeszcze nim tamtej wody
 Mej myśli dotkną się wiosła,
 Przebacz Celino, przebacz mi wprzód
 Że się myśl od ciebie uniosła.

We Lwowie 16. Maja 1828.

H E N R Y K.

(Powieść podolska.)

Żyzną i smutną Podola krainą,
 Gdzie równie wszędzie jak oko zasięga,
 Powolne rzeki rozłożysto płyną,
 Zwolna się snuje do morza ich wstęga.
 Zamki co leżą tam porozrzucane,
 Groźnej przeszłości pamiętne oznaki,
 Potęgą czasu już porozwalane,
 Dziś zamieszkują tylko nocne ptaki.
 Na wieżach ptaki, a po norach zwierzę,
 To cała świetnych rozwalin osada!
 Wieśniak przechodząc odmawia pacierze,
 Jeśli przypadkiem mrok mu tam zapada.
 Pastuch nie pędzi bydła w tamte strony,
 Ani w bliskości spostrzeżesz zagony;
 Bo człek nie chętnie na tem miejscu staje,
 Skąd postrach blady rozchodził na kraje.
 Żyzne rozległe, Podola zagony,
 Zbytнім dostatkiem darzy dłoń natury,
 Powolne rzeki nie niweczą plony,
 A przecież wolę ja jednako góry!
 Na górach tylko wolność zamieszkała!
 Tam się wylęgła i tam to urosła,
 Tam to od wieków swe sztandary wzniosła,
 Gdzie górnych niebios czołem tyka skała,
 Na górach tylko człowiek żyje wolno!
 Na górach nie mu spokoju nie truje,
 Na górach — tam! gdzie ludzkość sąsiaduje,
 Z powietrznym orłem i kozą swawolną!
 Więcej w Podolu mleka, miodu, chleba,
 Lepiej tam kopa i ziemia wydaje,
 Lecz góral za to, bliżej mieszka nieba
 I nogą depce piorunowe kraje.
 Nikt mu nie zajrzy skopca ani trzody,
 Ani tam srogie zamieszkały pany,

Nikt nie zatruje wolności, swobody,
 Nikt jeszcze góry nie okuł w kajdany!
 Życie górali! cóż się równa tobie?
 Gdy jasne słońce wzbija się wspaniale,
 Wierzchołki złoci w miłej wiosny dobie,
 A na ligawkach zagrają górale.
 Gdy się przez góry śnieżna trzoda toczy,
 Pośrodku której igra cap rogaty,
 Którą zawraca wierny pies z uboczy,
 By wesół pasterz nie ponosił straty.

Dzikich pohańców rozbestwione hordy,
 Roznosząc pożar, łupież, krwawe mordy;
 Nękali obcy, swoi ją nękali,
 Ileż to razy ją nie napadali!
 Gdyby krew ludzka w ziemię nie wsiąkała,
 A łzy wieśniaków nie płynęły rzeką,
 Łzą i krwią ludzką ta kraina cała
 Byłaby zlana, chociaż jest daleką.
 A kmiotek jęcząc w tak srogiej niewoli,
 Gdy go los twardy uciskał okrutnie,
 Gdy ujrzał pustkę, uciekał od roli,
 W odległe stepy i zawodził smutnie.
 Kraj cierpiąc ciągle tak srogą niewolę,
 Zmienił śpiew tańca nawet w smutne dźwięki;
 Stąd to dotychczas brzmi całe Podole
 I wśród wesela smutnemi piosenki.
 Stąd to powieści o tatarskim Chanie,
 Które dotychczas rozwodzą dziewice;
 Stąd to piosenki i o Tamerlanie,
 Któremi dotąd brzmią te okolice.
 Policz te zamki, co porozwalane,
 Które ku niebu silna ręka wzniosła,
 I pieśni smutne w Podolu spiewane,
 Ile ta ziemia klęsk niegdyś poniosła!

Policz te zamki co porozwalane,
 Policz mogiły co porozrzucane,

I pieśni smutne w Podolu spiewane,
 I krzyże policz, tam gdzie idzie droga,
 Które zabitym dłoń przyjazna wzniosła;
 A będziesz wiedział jaka ilość mnoga
 Klęsk, które ziemia ta niegdyś poniosła.

EPIZOD.

Ż y c i e g ó r a l i .

(Góry.)

Na górach tylko wolność zamieszkała!
 Tam się wylęła i tam to urosła,
 Tam to od wieków swe sztandary wzniosła,
 Gdzie górnych niebios czołem tyka skała!
 Na górach tylko człowiek żyje wolno!
 Nic mu na górach swobody nie truje,
 Na górach, tam gdzie człowiek sąsiaduje
 Z powietrznym orłem i kozą swawolną!
 Nikt mu nie wydrze skopca ani mleka,
 Za ostrą panom jest góralska ścieżka!
 Za bystro płynie dla nich górską rzeka;
 Dlatego wolność nad górami mieszka.
 Więcej w Podolu, mleka, miodu, chleba,
 Lepiej tam kopa i ziemia wydaje;
 Lecz góral za to bliżej mieszka nieba,
 I nogą depce piorunowe kraje!

A pośród gęstwi zabeczają jelenie...
 O! kto ustronie i spiewy polubił,
 Kto lubi bładzić w samotnych dąbrowach,
 Komu natura odsłania tajniki,
 Kto chętnie spędza swą młodość na łowach,
 Kto iść z niedzwiedziem w zapas się nie lęka,
 Kto znajdzie powab w okolicy dzikiej

I kto się słusznie w gronie łowców chlubił:
 Że mu nie drżała zbrojna w oszczep ręka,
 Gdy kłębem świeciły zapienione dziki;
 Duch tego będzie — z rozkoszą się gubił
 W czarownych wdziękach górskiej okolicy --
 Ileż tu ponęt dla wieszceży żrenicy.
 Kto od dzieciństwa nie chowany w górach,
 Czyje się nogi nad przepaścią chwieją,
 Lub kto myślami nie przebywał w chmurach,
 Niech się nie wdiera do tej wysokości!
 W otchłani spadłych trupieszają kości!
 Z niej widma śmierci do żywych się śmieją...
 Świt coraz bardziej poziom urumieniał,
 Spłonął w szkarłacie — i słońce wyjrzało;
 Rumieniec pokrył śnieżne góry lice
 I ostrej skały czoło się rozśmiało! —
 Tak gdy kochanków spoją się żrenice,
 Niknie ów smutek co twarze ocieniał;
 Czem on się dłużej w jej oczy wpatruje,
 Czem dłużej chwila trwa dla nich szczęśliwa,
 Tem z każdą chwilą ona żywiej czuje,
 Tem więcej wdzięków uroczych przybywa.
 Zbudził się orzeł, światłem urażony,
 Poglądał dziko w okoliczne strony,
 Wyciągnął nogę potem skrzydła obie,
 Napuszył szyję, wygładził ją znowu,
 Sierpatym dzióbem pomuskał po sobie
 I wzrok ciekawy puścił w głąb parowu;
 Hyżo spadł w przepaść, ale długo trwało,
 Nim go napowrót z przepaści wydzwignął,
 Dźwignął się przecie, oko mu odniało,
 Przykrzywił głowy i na słońce mignął.

Spojrzałem za się — skwitłe warstwy śniegu,
 Zimową dreszczą z pomiędzy szpar wiały,
 Gdzieniegdzie krople śnieżystego brzegu
 Cienkimi strugi po skale spływały.
 Tutaj byś zliczył, gdyby spodnie śniegi,
 Rozkazem słońca nie topniały z laty
 Ile już razy śnieg zwiedził Karpaty. —

Gdy spojrzysz w górę, na te ziemskie zbiegi,
 A potem na dół w krainę zatraty :
 Zda się — że przepaść myślą nie dociekła,
 Maca czeluści rozwartego piekła ;
 A wiecznym śniegiem okwitłe szczyty
 Przebiły niebios błękity !
 Człowiek pośrodku dwóch sprecznych otchłani,
 W swoim żywiole, w pajęczynie myśli,
 Równie jak pająk wisząc w słabej sieci
 Olbrzymie koła w koło siebie kręśli,
 Lub roni wsteczne po otchłaniach nici.

Pamiętam ranek — kiedym zwiedzał góry,
 Szałas pasterski opuściłem do dnia :
 Przedemną lekko mój przewodnik kroczył,
 Gdyśmy minęli urwiska i chmury,
 Błady obłoczek od wschodu się toczył,
 Nad nim świeciła jeszcze gwiazda wschodnia.

Skrzydła ma krótkie, lecz wzrok długi za to,
 Dlatego zawsze jeden stada strzeże
 I zawsze baczy na owo i na to ;
 Lecz się i łowca na sposoby bierze :
 Albo kundysy wypuszcza nań szybkie,
 Lub zsiadłszy z konia cichaczem podchodzi
 I rażną strzałą albo kulą szkodzi.
 A czasem nawet pacholátko chybkie,
 Kiedy się bacznie za kępy ukryje,
 Pieszgo go zbieży i kosturem zbije.

O N A.

Czy nie mogła, czy nie chciała,
 Do dziś nie wiem, co znaczyło;
 Bom czuł jak jej serce biło
 I jak bladła i jak drżała.
 Z sobą w walce najstraszliwszej,
 Gdym ja jąkał błędne słowa,
 Ni jej oczy ni jej mowa,
 Dały poznać udział żywszy.
 Serce tylko biło silnie
 I dawało mi nadzieję,
 Nie umieram, nie boleję,
 Ona kocha nieomylnie!

I ożłocon szczęściem cały
 Ściskam, chwytam a namiętny —
 Wzrok mnie przeszył obojętny —
 I znów stałem jak zmartwiał.
 A niezdolny czucia wstrzymać,
 Chciałem uciec, odejść nieco,
 Płatki przed oczyma lecą
 Musiałem się czucia imać.
 Ach! i pewniem się zatoczył,
 Chęć się nagła w sercu wszczeła,
 By mnie ziemia pochłoneła,
 Aby ból mnie w piekło wtłoczył.
 Minał zapęd, skute ręce
 Wnet opadły z osłabieniem,
 Pierś się wzniesła wraz z westchnieniem,
 Popłynęły łzy dziecięce.
 Litowała się nademną:
 Mocniej robią piersi obie,
 Twarz z rozkoszą i w żałobie
 Waży jakąś myśl tajemną.
 Nagle zbladły mocniej lica,

Coś szukała w koło siebie
 I spojrzała gdzie po niebie
 Płynie z wiatrem łódź księżycą.
 Dech nie pełnego westchnienia,
 Zachwiał na piersiach zasłony
 I ujrzałem rozdwojony,
 W oku promień ubóstwienia.

„Mój aniele“ szeplem skrycie,
 Przesiliło się uczucie,
 Duch chciał przedrzeć to okucie,
 Za nią wzlecieć po błękicie.

Dalej, nie wiem, co począłem,
 Ach! wiem tylko późno w nocy,
 Z bólem w sercu i w niemocy,
 W obcym łożu się ocknąłem.
 Patrzę błędnie, przy pościeli
 Stał z brewiarzem ksiądz modlący,
 A przy księdzu lekarz drżący,
 Przy lekarzu — stał ktoś w bieli.

LIST DO HENRYKA JANKO.

Tak mój Henryku! znowu maj na niebie,
 A ja com siedział w zimie zasklepiony,
 Jak ślimak co się w swej skorupie grzebie,
 Dzisiaj wesoły pędzę w wszystkie strony
 I szukam czegoś na ziemi i w niebie.
 Właśnie z przechadzki teraz powróciłem,
 Jeszcze mi drgają rozigrane żyły,
 Wszystkom zapomniał, tak upity byłem,
 Uroki wiosny szczęście powróciły
 I znów na jawie marzyłem i śniłem.

Kiedy tak błędzę daleko od miasta,
 W odludnej stronie, ale pełnej wdzięku,
 Spotka mnie w krzakach prześliczna niewiasta
 I z równie ślicznem dziecięciem na ręku,
 Co ledwo roku drugiego dorasta.

I cóż to pana sprowadza w te strony,
 Pyta a z słowy uśmiechy zmieszała,
 Pewnie pragnienie? Tak, jestem spragniony.
 A ona na to dziecię mi oddała,
 I od komarów (szukała?) ochrony.
 Ja wyrabiałem z malutkiem swawole,
 Wkrótce wróciła z kubkiem w ręku mleka,
 Chatka jej stała jakby w jakim kole,
 Na zachód krzaki a od wschodu rzeka.

Siadłem na ławce, patrząc w lica młode
 Długom rozprawiał i o wszystkim pytał,
 Z nich wyczytałem spokój i swobodę
 I równy pokój w mej duszy zawitał —
 Takiej ja żądam za życia nagrody.

Za wszystkie straty, męki i cierpienia,
 Za dobre sprawy jeśli jakie liczę,
 Jeśli oniemia burze przeznaczenia,
 Niech taką chatę przed śmiercią dziedzicę
 I zagon roli nad brzegiem strumienia.

By nieznanego człowieka nikomu
 Taka topola w lesie ocieniała,
 A taka skała chroniła od gromu,
 Ach! i tak luba kobieta witała
 Z dzieckiem na ręku, gdy idzie do domu.

Wszystkie, ach! wszystkie związki potargane,
 Które wiązały tęskne niegdyś dziecię,
 A wyrzucony na morze nieznane,
 Sam jestem sobie zagadką na świecie.

Nie zimnem sercem twe ofiary mijam,
 Lecz nie chcę nigdy igrać twym spokojem,
 Szczęścia ci życzę, zanadto ci sprzyjam,
 Jakżebym mógł być twoim przyjacielem.
 Różna nam gwiazda świeciła w powiciu
 I równie różne wiodą nas koleje,
 Ty żyj swobodnie w szczęśliwym ukryciu.
 A ja popłynę kędy los powieje.

I czego to zasiadłem? tak, chcę napisać książkę? i cóż to jest to autor? Jeden, który mówi do wielu, do dziecizy! lub do chóru aniołów, którzy niemi być nie umia, ile człowiek być może aniołem, to jest tak westchnąć i tak spojrzeć ku niebu, że to westchnienie i spojrzenie użala się nad swoim losem i zaskarża Twórcę; że zda się mówić „na co mnie tego ciała! na co mi tej ziemi? to mną ciśnie, a ta strefa nie dla tej planety“.

Ach gdyby zawsze do takich ludzi można mówić! wtenczasby się szczupły obwód nieskończonej miłości, która się w jednej piersi dusić musi, w olbrzymie kolisko rozłożył, jak kamień rzucony na

powierzchnię morską, czem głębiej sam leci w otchłań niepamięci, tem szersze z każdą chwilą na widomym świecie, koła i fale roztacza.

I ta by jedna pociecha była, że i wtenczas jeszcze, kiedy tę lepiankę, ból do szczętu skruszy, nie jedno pobratymcze westchnienie o urnę marmurową uderzy; w której popieleje pokrewne mu serce, nim go wichler do szczętu rozwieje!

Jeżeli wspomnisz sobie o mnie, gdy będziesz szczęśliwą, zmów pacierz, pacierz anioła mnie wesprze, a jeżeli kiedy o tobie usłyszę, że jesteś szczęśliwą, tedy, wtenczas odwykły modlitwie, westchnę do nieba, że mnie choć z tej strony pocieszył.

(Pisane jednocześnie z wierszem do Henr. Janko.)

Z POWIEŚCI GMINNEJ.

Wszyscy płakali i pili.

Ale bis nie spi! jak mówią starzy,
Choć człęk co w sercu dobrze zamai,
Gdy się zbytecznie trunkiem rozmarzy
I grzech śmiertelny wytai.

Jezyk przebąknie a wnet niecnota
Chwyciwszy słówko zdradnie podchodzi,
Coś sobie z tego potem umota
I po trzeźwemu zaszkodzi.

Już się wieść nagła po wsi rozsięwa,
Że się u Kseńka komory złocą,
A że gdzie złoto i djabeł bywa,
Więc djabeł naszedł go nocą.

Na cztery strony naprzód zapukał
 I łańcuchami strasznie zadzwonił,
 Potem się zaśmiał, zawył, zahukał
 I w koło chaty pogonił.

Zerwał się Kseńko, ale się zdziwił,
 Że w byczej skórze djabeł zagościł,
 Djabeł zadrepcił, różkami skrzywił
 I takie prawo urościł:

„Hej słuchaj Kseńko! gdyś dziecię chował
 Znalazłeś wielki kociołek złota,
 Jam tego kotła sto lat pilnował
 Za nicże moja robota?

Ja ci wszystkiego nie chcę odbierać,
 Lecz i wszystkiego nie mogę tracić,
 Jeśli przed czasem nie chcesz zamierać,
 To musisz tak się opłacić:

Weź na trzy równe zmierz złoto miarki,
 Każda niech będzie dobrze mierzana;
 Pierwszą do cerkwi dasz na podarki,
 Drugą dla księdza plebana.

Trzecią zakopiesz pod starą gruszą.
 Ale przed nikim nie będziesz sławić,
 Żebym, gdy nocą nie można duszą,
 Mógł się choć złotem pobawić.

Reszta dla ciebie.“ Rzekł i zastukał
 I łańcuchami strasznie zadzwonił,
 Potem się zaśmiał, zawył, zahukał,
 I z wiehrem w lasy pogonił.

Zapiały kury, we wsi odniało,
 A Kseńko w sadzie duma i chodzi,
 Trzy równe części rozdać kazało,
 Lub mi na zdrowiu zaszkodzi.

A gdy raz trzeci wchodził w podwórze,
 W pewnej nadziei, że skarb pozyska,
 Uczuł się cielcem w bydlęcej skórze,
 W głowie zastrzegły rożyska.

I w jednej chwili zszerściły lice,
 Chciał zerwać skórę, porwał za rogi,
 A z pięciu palcy po dwie racice,
 Kolana z łokci, a z rąk to nogi.

Znikło obuwie, znikła gdzieś szata,

Oko się wole w głowie zasepia,
 Tylko się żupan w ogon uplata
 I w samym końcu rozstrzępia.
 Upadł na przednie — znowu się zchwyca,
 Potężny gardziel ziemi dostaje,
 Chciał się przeżegnać ale racica
 Czoła już dotknąć nie daje.
 Chciał jakieś imię wymówić święte,
 Silił się bardzo i w końcu ryknął!
 Myślał, że miejsce jakie zakłete,
 Chciał ruszyć z miejsca i — bryknął!
 Bryknął — i zabiegł jeszcze ciemnotą,
 Gdzie bystre nurty Dniestru się snują,
 Tam mówią zginał; lecz inni plotą:
 Że go czasami widują;
 Bo gdy noc ciemna, stadnik dostrzega,
 (Pomiędzy bydłem, co brzeg wypasa)
 Czarnego byka, co wściekle biega,
 Ryczy, roztrąca i hasa.

Na tejsze kartce ręką Pola jest urywek wiersza:

Jak my pomrzemy, jak my pomrzemy
 Skażemy sobie
 Złote litery, złote litery
 Wyrzyć na grobie.

Kto pójdzie tędy, kto pójdzie tędy
 Przeczyta sobie,
 Złączona miłość, złączona miłość
 Leży w tym grobie.

Z tego zdaje się, że tę pieśń ludową utworzył Pol i od jego czasów dopiero kraj przebiegła. Ona zaczyna się:

Ty idziesz górą, ty idziesz górą,
 A ja doliną.

Nr. 3. (PIEŚNI).

(Nr. 17 jest z r. 1827. Do Samotności.)

Cóż ja biedny będę robił,
 Żem ja pola nie obrobił,
 Nie zrodziła hreczka siwa,
 Dola moja nieszczęśliwa.
 Sąsiad orze, sąsiad sieje,
 I łan jego zielenieje.
 Ach! a u mnie nie zorano,
 Ani żyta nie posiano!
 U sąsiada liczne stogi,
 Dla sąsiada zapomogi,
 A ja tyle nie zarobię
 Co uniesie ptaszka w dziobie.
 U sąsiada żonka miła
 Ranne dziatki i chleb stary,
 U sąsiada chata biała
 I koników cztery pary.
 Ach! a u mnie i psa nie ma,
 Czy to lato czy to zima,
 Słońce do mnie dachem świeci
 I deszcz pada i śnieg leci!

(Na arkuszu rozprawy filozoficznej, jak się zdaje z r. 1827).

† † †

Za górami, za lasami
W dzikiej stronie i nieznanéj,
Za morzami, dąbrowami,
Poległ w boju wasz kochany.
 A któż go tam w ziemię skryje?
 Kto popieści? kto osłoni?
 A któż go tam łzami zmyje?
 Kto tam nad nim pieśń uroni?
W lecie rosy go pokryją,
A w jesieni mgliste szaty,
W zimie śniegi go obmyją,
A na wiosnę zrosną kwiaty —
 I skowronek nad kwiatami
 W cichym ranku pieśń zanuci,
 Oset polny zlany łzami
 Nad poległym się zasmuci.

U R Y W K I.

I.

Czasem ton jakiś w przemiany ścieku,
 Wymknął się wesół i rady i tkliwy,
 Niby dzień jakiś z dzieciństwa szczęśliwy
 I zdał się mówić, wróc do mnie człowieku.
 A inny na to: żegnaj równienniku!
 Nie przyłgnie kwiatek do zimnej opoki,
 Już to nie dla mnie, twe cacka i skoki;
 Nie cierpię tego wesołego krzyku!
 Lecz jeśli żądasz, bym powrócił do cie
 Odwróc nieszczęść krocie!
 Odmień świat, ludzi, weź pamięć odemnie,
 A echo na to: Daremnie! Daremnie!
 I znowu serce w uczuć płataninie,
 W morzu rozpaczy nurza się i ginie.
 Czasem ton jakiś z patryarchów wieku,
 Pierwotnej barwy, wiary i ufności,
 W znękanej duszy na chwilę zagości
 I wnet religia w anielskim uroku,
 Palmą i czarą spływa na obłoku
 I silnie wspiera potężnem ramieniem;
 Na taki widok radość serca w oku.
 Chcemy się podnieść, ale przewinieniem,
 Ciśnięci na dół, czołgamy się w pyle!
 Tu niby żalu ozwały się jęki,
 W prochu się dusza domagała raj
 I jakieś tęskne i żałosne dźwięki,
 Zdały się wpraszać do swojego kraju.
 Niby świadome, że nie winne tyle
 Mówiły tonem co to wszystko zezynił,
 W srogich męczarniach czołgając się w pyle!
 O twórcu! twórcu i cóżem przewinił?!
 Tu się dźwięk ozwał, potężny, spokojny,
 Jak piorun w miejscu przetoczonej wojny,

Któremu sprawy światowe są niczem —
 I przeznaczenie kamiennem obliczem,
 Spojrzało groźnie na jęczące dzieci;
 Moc rezygnacyi zabrzmiała po stronach,
 Dusza się wznosi, ciska brzemię, leci;
 Półboże czucie ozwało się w tonach
 I zdala jakiś promyczek zaświeci:
 Promyczek nikły i słaby i blady,
 Jak gdzieś z daleka światelko wieczoru,
 Lub błotnistego połysk meteoru.
 Błądził przez skały, pustynie i sady,
 Czasem przygasał, czasem żywiej błysnął —
 I po trudzącej wędrowce zawisnął,
 Gdzie wierzba smutna i ponura jodła
 Nad głazem tęsknie ramiona rozwiódła.

II.

Lotem fantazyi brzmiało fortepiano,
 A tło fantazyi było takie ciemne,
 I uroczyste, tęskne i tajemne,
 Jak błękit nocny w niepełnej pogodzie.
 Gwiazdy świeciły czasem świetnym blaskiem,
 Niby już ziemne, gdyż odbite w wodzie,
 Chmurką zasute ledwie mdłym obrazkiem,
 Krzepiły jeszcze zasmucone oko.
 Lecz jedna gwiazdka świeciła wysoko
 Której nie zśemiły czarnych chmur powodzie,
 Niby to czara piastująca mary:
 Wierności, szczęścia, miłości i wiary.

III.

Zda się, że znikła burzliwa ich władza,
 W tem jedną razą coś mocniej zaświeci —
 I srebrna gwiazda wysoko podleci,
 Jak Fenix, co się z popiołów odradza.
 A tam u dołu świecą ognie blade
 I na dwa sążnie podrosły do góry —
 I już stanęły, niby z tego rade,
 Szmerzą łagodnie, ich szmer tak ponury,
 Jak szmer kaskady w odludnym ogrodzie;

Niby fontana oświeciła cienie
 I światło takie jak w kroplistej wodzie —
 I tak u góry łamiał ich promienie.

IV.

Ale ja sobie zwyczajnie prostaczek,
 Wziąłem chleb za chleb, a znaczek za znaczek.
 Olbrzymia raca mignęła z ukosa,
 Zda się, że cały świat na popiół zetrze,
 Taki żar sypie z piekielnego włosa;
 Jakby gadzina leci przez powietrze,
 Lecz nazbyt wzniosłszy pałającą szyję,
 Łamiąc się, pęka i w ciemnościach kryje.

V.

A choć frasunek, przeżytych lat siła
 I wojennego życia zawierucha,
 Sędziwym szronem głowę mu zbieliła,
 Młodego jeszcze w piersiach żywił ducha
 I pierwszy dzikie zajeżdżał rumaki —
 I pierwszy w wojnie wyrębywał szlaki.
 Twarz niegdyś piękna zmieniła się z wiekiem,
 Ale się zdało, że wciąż rosły siły;
 Twarz się rozstała z młodą krwią i mlekiem,
 Wszystko stopniało na kość, szpik i żyły.
 Kiedy radzili przedniejsi wodzowie,
 On wtenczas mileząc opatrywał zbroje,
 Gdy uderzono w trąby pogotowie,
 Wtenczas on leciał i bił tyło troje.
 Zawsze siekł w czele a nigdy w odwodzie;
 Bo taki zwyczaj był już w jego rodzie.

VI.

Słońce się prawie miało do zachodu,
 Kiedy stanęli pod dębowym borem,
 Hetman dał hasło od bliskiego brodu
 I wszystkie błonie zajęto taborem.
 Żołnierz się skrzętnie zabierał do wczasu:
 Zrzucano zbroje, z rumaków kulbaki,
 Część z toporami posłano do lasu,

Na bujną łąkę puszczone rumaki;
 Straże stanęły z daleka i z bliska
 I obozowe zabłyśły ogniska.

VII.

Ledwo się z dłoni cechiny pomknęły,
 A w tejże chwili gotowa zasadzka
 I kilku zbrojnych wypada z nienacka:
 Koleczaty kołem ofiarę opaszą
 I nim obronne ręce ich odstraszą,
 Już oczy zgasiły i usta się ścięły.
 A kędy skały zakończają morze
 I pęd swój traci fala kędzierzawa,
 Niesie zbrodniarzy szybko drobna nawa
 I skoro zbieży na dalsze przestworze,
 Nędzna ofiara do wody wypada —
 I w morskich grobach znajduje swe łożo.

Nie tylko miłość budzą w wrzącem łonie
 Cienie północy — i zbrodnia się zrywa!
 I zemsta zgubniej w mściwym sereu płonie,
 I sztylet pewniej wśród nocy przeszywa!

VIII.

Za cóż uczucia, co niegdyś tak mownie
 Do stron ojczystych przemawiały pieśnią,
 Dziś gdy ból więcej uciska nierównie,
 Ciężko i głucho na dnie duszy pleśnią?
 I żrą się w serce, jako rdza stuletnia
 W odwieczny kirys przywalony w pleśni,
 Nie mogąc spłynąć we łzach, ani w pieśni,
 Co ulgę niesie i życie uświetnia?!
 Ach! jak nie dobyć z struny zbyt napiętej
 Odwiecznych głosu boskiego strumieni;
 Jak sił nie dobyć z ręki mocno ściętej,
 Wody z pustyni — kwiatów z niw jesieni,
 Tak z mego serca zbytny ból rozstania,
 Nawet bolesnych jęków nie wytrąci,
 Tysiąc pamiątek, przyjaźni — kochania,

Wszystkie uczucia, wszystkie myśli maci,
Ach! i ma dusza w pieśni nie rozplynie.

(Pisane także w r. 1830 z pieśniami Jadzia, Urszula — w Wilnie.)

IX.

Rzekł i z wściekłością porwał za broń palną,
O ziemię cisnął popiersiem kochanki,
Dzikim wejrzeniem w koło siebie toczył,
Spojrzał na ścianę, spojrzał i poskoczył
I zerwał nieco powiędniałe wianki;
Zerwał je, stargał, zmiął, o ziemię cisnął!
A w tem na ręce pierścionek zabłysnął:
Spojrzał na pierścień z szyderczym uśmiechem,
Chciał go zdjąć z ręki, ciskał się i zrywał;
Zerwał go wreszcie, choć się mocno trzymał,
Porzucił w chaszcze — a z wielkiem pośpiechem
Chwycił płaszcz z ziemi, zarzucił bezładnie
I już uchodził.
W tem nagle jakiś młodzieniec wypadnie!
Co był zapewne od dawna ukryty,
„Stój“ krzyknie groźno — oczyma ugodzi,
A Karol stanął w miejscu jakby wryty.

X.

Dni me brzmiały, jak piosenki,
Jakby na tych kilka latek.
Szczęście cały swój dostatek,
Chciało wylać z hojnej ręki.

I u starców byłem w względzie,
Starsi tak tuszyli sobie,
„Niech ten chłopiec stanie w dobie,
Zobaczycie czem on będzie“.

XI.

Dwie tylko drogi wiodą do serca człowieka,
Albo trzeba go kochać, albo nienawidzić.

XII.

Tam to się rzucę do tajemnic matni,
 Przed której połą gmin trwożnie ucieka,
 'Tam usnę wiecznie i chwili ostatniej
 Już mi nie struje oblicze człowieka.

XIII.

Niech to biedne serce mile,
 Burzy się choćby na chwilę,
 Ach na chwilę! bo na dłużej
 Szczęśliwość świata nigdy nie posłuży!

XIV.

Lećmy, płynimy z tym potokiem,
 Odurzenia, omamienia,
 Może między tym natłokiem,
 Znajdziem chwilę wypocznienia.
 Stój szaleńcze! skąd ta radość
 Co się w kole tém pomyka?
 Czyż już twemu sercu zadość
 Gdy odurzy cię muzyka?

XV.

Wziąwszy za rękę jęła się uśmiechać
 I prosić ojca „Papo pozwól proszę“
 Ja do Rogożna chciałabym pojechać.
 „No jedź waść sobie, toć niewiast rozkosze,
 Wozić się tylko“ rzekł starzec z uśmiechem.

XVI.

Więc idźcie ze mną przyjaciele moi,
 Czy ciężar życia zbyt nie was przytłoczy,
 Czy niebo waszą pomyślność podwoi,
 Złotym owocem i kwieciem otoczy.

XVII.

Kresowiec.

Jest tam w ustroni z marmuru grobowiec,
 Od lat już wielu poświęcon przyjaźni,

Tuż przy nim strumyk serce żalem drażni,
 Lub szepce pacierz jak tęskny wędrowiec;
 Siedem cyprysów ramiony czułem,
 Sklepią świątynię smutku i marzenia —
 I stoją cicho, albo szumy swemi
 Budzą i myśli tęskne i westchnienia.

XVIII.

A pod łukami sklepieni
 Pełzały srebrne robaczki,
 I znaczyły cętki, szlaczki
 Po ciemnawém tle zieleni.

XIX,

Chciałem umrzeć, lecz choć nudno,
 Nudno. nudno i boleśnie,
 Czy na jawie czy to we śnie
 Nie umarłem — umrzeć trudno!

XX.

W błękit się stroi gwiazdziste sklepienie,
 W błękitnych falach łamie się jezioro,
 A gdy twą drogę zemią rozpaczy cienie
 I wszystkie światła nadziei wygorą,
 Wtenczas. —

XXI.

Czasem na nie dech świata zbyt ostro zawieje
 I w szarej płataninie obłok się rozleje,
 Lecz zaledwie uroczą rozśmiej się Pani,
 A już się obłok wznosi i toń się bałwani.

XXII.

Czyż żeś to wybiegł tak bardzo w twym rodzie?
 Ach poznaj siebie i żyj z światem w zgodzie.

XXIII.

Rankiem słyszę ogary
I po lesie hukanie,
Później gęste wystrzały
I myśliwych trąb granie.
A gdy spojrzę wieczorem,
Po zamglonej przestrzeni,
W różnych stronach pod borem,
Nocny ogień promieni.

Ponad bagnem i wrzosem
Już pożółkłej zieleni,
Czajka smutnym odgłosem,
Budzi cichość jesieni.
Czasem słońce odmłodnie
I pagórki zrumieni,
Niby cicho, pogodnie —
Lecz to cichość jesieni.

T A N I E C P O L S K I.

(Na nótę: „W kontusze bracia w kontusze“.)

Taniec ojców to odwieczny!
 I swobodny i wspaniały,
 Jak serce Polek stateczny,
 Jak mąż w zbroi okazały;

Bo to w każdym jego kroku,
 Cześć niewieście, mężom sława;
 Serce w oku, kord przy boku,
 Nie zawadzi i buława.

Nie ubliży i koronie,
 Rycerskiemu miły człeku...
 I piękności i matronie —
 I każdemu przystał wieku.

Kto z Tatarem w tany chodzi
 I na sejmie jak mąż stawą:
 Temu się swoboda godzi —
 I przystała ta zabawa.

Taniec według obyczaju,
 Jest naszych dziadów obrazem;
 Bo co świeci w życiu, w kraju,
 To się tutaj zbiegło razem!

Jaki zwyczaj, jakie prawa,
 Jakie serce w łonie bije,
 Jakie dzieje, jaka sprawa,
 Taki duch w tym tańcu żyje...

I tym tańcem, co my przodem
 Posunęli wielkim chodem;
 Idą w dziejach i na gody,
 W ślad nasz wszystkie dziś narody...

I gdzie tylko czezą swobodę
 I powagę cenią w kraju,
 Cnotę niewiast i urodę,
 Taniec polski — jest w zwyczaju.

(Rok 1833).

W nr. 193 „Czasu“ 1855 r. jest artykuł Pola

O ZGONIE MARYI KRASICKIEJ

zakończony wierszem :

Rószeczko zacnego Rogalitów' drzewa,
 Lilijko moja i różyczko wonna!
 Jakaż to miłość z Ciebie się posiewa!
 Takaś nam młoda, a taka zakonna.
 Jakżeś się prędko wyrwała do nieba!
 Znać ci tak trzeba — znać i nam tak trzeba,
 Aby o jedno przybyło ogniwo
 Co z Panem wiąże nas modlitwą żywą.
 Więc łzy i modły niech Ci będą wianem
 Jakie składamy na porannym grobie.
 A Ty Maryniu! stój za nas przed Panem!
 To łatwiej będzie trafić tam po Tobie.

UCIECZKA POLAKÓW Z PRUS.

Już strzał działowy nas nie dostanie,
 Jużemy w opiece wody,
 Na wschodzie błysło świetne zranie;
 Dalej na morskie przygody!

Już mię znudziła przewrotność lądów,
 I boleść krzywdy odgłosów;
 Znam rozpacz ludów, znam gwałty rządów
 I burze serca i losów.

Tam — tam na lewo droga się bierze
 I płynie w kraj nasz daleki;
 Tam ja dziewczynę kochałem szczerze,
 Tam ją rzuciłem na wieki.

Lecz kiedym przeżył owe rozstanie,
 I stratę świętej ojczyzny,
 Kiedym sam patrzył na jej skonanie,
 Nie masz już dla mnie trucizny.

Gdy mię pogańskie szable nie zsiekły,
 Nie sięgła zemsta tyranów,
 Gdy umszedł szpiegów rzeszy zacieklój,
 Nie strach mi morskich bałwanów.

Miło w rozpaczynie będzie spojierać
 Na rozhukane płaszczyzny,
 Łatwiej na morzu będzie umierać;
 Bo z tam nie widać ojczyzny!

Niebo się gniewne w koło zachmurzy,
 Jak mi się chmurzy lat wiele,
 Jak żyłem w burzy, tak zginę w burzy,
 Grobem mi będą topiele —

I pamięć po mnie zniknie w mym rodzie,
 Jak ślad po szybkim okręcie,
 A równo ginać w bojach, czy w wodzie,
 Czy to w rozpacz y odmęcie;

Bo losu zwrócić nie ma sposobu,
 Jak wichru gdy dmie w przestworze;
 Dalej więc, dalej do koła globu!
 I rozpacz szczęściem być może.

Wiersz ten przechował Jul. Horoszkiewicz, wydrukował go Bartoszewicz w *Spiewniku Polskim* Tom 5. *Piosnki patriotyczne*, Lwów, Księgarnia polska 1880 str. 10 atoli nie z tytułem „Ucieczka Polaków z Prus“ ale z tytułem „Belwederezyk“.

P. Horoszkiewicz zaręczył Poźniakowi, że wiersz o którym mowa znalazł w zeszycie z roku 1831 pochodzącym, w którym oprócz tego wiersza, różne inne z rzeczonego roku spisane były — przy wierszu o którym mowa nakreślone było, że jest on Wincentego Pola.

(Własnoręczne pismo Maryi Ziętkiewiczowej.)

NA PAMIĄTKĘ GUTTENBERGA

CO DRUK WYNALAZŁ.

Na wielką cześć światła i wesela,
Na wielką cześć czei narodów mnogich,
Podług słów świętych Boga Zbawiciela:
Przyjmiecie do stołu waszego ubogich!

A gdzie szczęśliwych narodów ofiary
I wzniosłe pieśni i bogate dary,
Na ołtarz leją wielkiemu mężowi,
Niech Lach położy w milezeniu grosz wdowi.

CHÓR LACHÓW.

Ciebie Guttenbergu Ciebie!
Sławi lud głosy lackiemi!
Bóg stworzył światło na niebie,
Tyś rozsiał światło po ziemi.

Wiersz ten nie znajduje się drukowany w Zbiorze pism Wincen-
tego Pola, lecz jest w Tygod. literack. 1840 i w Mayera Henr. Gutten-
bergs-Album. Braunschweig 1840 str. 302.

GODŁO ŻYCIA.

Wiernie stanąć w przeszłości —
Jak krew ze krwi, jak kość z kości,
I sumiennie poczcć dzieje,
A w świat przyszły siać miłości
Ziarna wiary i nadzieje;
Ziemie z niebem związać spodem —
Serce z Bogiem — myśl z narodem;
Słowem, wzorem iść mu przodem,
I przymierza opleść kołem —
Nieporanić, niepodwoić,
Lecz miłością bole koić;
Pracą ducha uszlachetnić
I uwiecznić i uświetnić —
To zadanie zacnej młodzi
I ojczyźnie to się godzi.
To zadanie sztuki, śpiewu,
Mężów prawdy i posiewu
Dobrego w ojczyźnie.

(W Nr. 1 pisma „Czytelnia dla młodzieży 1860.)

MODLITWA DLA MOICH DZIECI.

UŁOŻONA U GROBU Ś. JANA NEPOMUCENA W PRADZE.

O święty Janie! przy Twoim grobie
 Żaloszny ojciec oddał nas Tobie!
 I prosił dla nas o dobrą sławę,
 O męstwo w walce za słuszną sprawę —
 I o wytrwałość w trudach cierpienia,
 O dar mądrości i dar milczenia.

A o co prosił od nas daleki
 U grobu Twego, u Twojej rzeki,
 Niech Święty Janie w nas się to ziści —
 Abyśmy wyszli od pokus czyści —
 I z dobrą sławą przez życie przeszli,
 I w niebo patrząc w milczeniu zeszli!

Lub jeżeli taka jest Boża wola,
 Aby nie jasna padła nam dola,
 Jeżeli życie nam się zasępi,
 Jeżeli niewinnie świat nas potępi:
 Wesprzyj nas wówczas pociesz w sumieniu,
 By krzywdy świata przetrwać w milczeniu.

Niech ta modlitwa, o święty Janie!
 Z błogosławieństwem od ojca złana,
 Na zawsze w uściech naszych zostanie
 I w pokoleniu będzie podana --
 Jako nauka, prośba, przestroga
 Ku chwale Twojej i ku czci Boga.

Rok 1849.

(W Czytelni dla młodzieży 1860 Nr. 6.)

E T H A E C . . .

Na świecie wszystko tak jak było dawniej...
 Tylko krzywd więcej i więcej ubóstwa!
 Ale co do nas — my wśród cierpień mnóstwa!
 Więźnie ciż sami, wiecznie niepoprawni —
 Bo ani w dobre, ni w złe chcemy godzić,
 Ni Boga w sobie nie umiem odrodzić,
 Ani szatana w naszych piersiach stłumić,
 Ani Bożego palca wyrozumieć.
 Za cóż nam Panie dałeś takie serce?
 Kiedy co nasze ma być w poniewierce;
 Za cóż nam dałeś taką pamięć Boże?
 Co dziejów matki zapomnieć nie może...
 I za cóż dałeś nam taką nadzieję,
 Że żadna burza już jej nie rozwieje.
 Gdy się o losy wszelka siła łamie,
 Gdy serce, pamięć i nadzieja kłamie?
 Czyś Ty nas obrał za swoje narzędzie,
 By zrab postawić świata, który będzie?
 I chcesz nas Panie wprzód w ogniu oczyścić,
 Byśmy zdołali Twoję wolę ziścić?...
 O! ja się nie chcę Twych tajemnic dobić,
 Lecz pragnę Panie! wiedzieć co mam robić;
 Wszak na pokorę jam wylany zawdy,
 Ale mnie budzisz, bym szukał Twej prawdy.

Panie! my nędzni — i Twej obietnicy
 My nie uściem, chyba w Twej prawicy...
 Panie! my podli — nam o marne chodzi,
 I na pokusy duch nas czarny wodzi...
 Panie! my dzicy — bo chcemy zatury
 Przeciwnych sobie i krwawej odpłaty...
 Panie! my ciemni — bo złe złem wojujem,
 I więzy świata ciasniej tylko kujem...
 Od mnogich razów świecą nasze kości,

Lecz się nie budzi ni iskra miłości! —
 Po ziemi Panie! drogi nasze ciemne! —
 A kroki nasze Panie! to ujemne;
 Za każdym ciosem tylko ciało jęknie,
 Lecz ani serce, ani duch nie klęknie.
 My drogi twoje krzywim na zachcenie:
 Obróć nas Panie! — i daj nam sumienie.
 Świat dla nas twardy i dał zatwardziałość,
 Obróć nas Panie! i Ty daj nam stałość.
 Chciwy nas obdarł, i wzięliśmy chciwość:
 Obróć nas Panie! i daj sprawiedliwość.
 Gdy w poczet nieszczęść liczym Twoje kary,
 Obróć nas Panie! i daj światło wiary.
 Gdy boleść wiedzie przez losów zawiłość,
 Obróć nas Panie i natchnij nam miłość.
 Gdy zły nas strącił i złe się z nas sieje,
 Obróć nas Panie! i daj nam — nadzieję.

(Czytelnia dla młodzieży 1860 Nr. 22.)

W I E R S Z

znaleziony w papierach po Stań. Niezabitowskim.

Dobrze bracie, żeśmy w borze,
Bo to jeszcze, tu bezkarnie
Człowiek prawdę mówić może,
W świecie toby zginął marnie;
Bo zdziobałyby gawrony.
Ależ oto jak w przekorę,
Leci sobie sojka z krzaczka,
Co nas biedna i w tę porę,
Nie opuszcza jedynaczka.
A cóż słyszać? Cóż niebogo?
Nie wybrałaś się za morze?
Z nami żyjesz w zimę srogą?
Czy tak miło tutaj w borze?
Czy tak pięknie tu się zdaje,
Że nie lecisz w cudze kraje?
Piórka twoje takie krasne,
Ktoś by myślał, że ty trzpiotka,
Gdy otrząsasz szrony jasne,
A ty zacna patryotka.

W imionniku artysty skrzypka BRAUNA.

Życ sztuce cały — jest to życie miłości.
 Miłość do nieba wielkie drogi prości,
 Lecz kto jej żyje — ten nie żyje sobie
 I czy laur wzrośnie, czy piołun na grobie:
 Wszystko to pono wychodzi na jedno —
 Bo boli serce tą miłością biedną,
 Co pragnie nieba do ziemi przychylić,
 Życie ozdobić i świat ten umilić;
 Co drugich wznosi w szczęśliwym natchnieniu
 Harmonią ducha i kształtu i słowa:
 A która puhar goryczy w milezeniu
 Nie dzieli z nikim — lecz dla siebie chowa....

We Lwowie dnia 10. Sierpnia 1859.

WINCENTY POL.

D Z I E C I O M

Antoniego Niementowskiego na pamiątkę.

Kiedy wstąpię w dom polski gdzie się roją dziatki,
 Patrę na nie uczuciem mej nieboszczki matki —
 Jako ona patrzyła na nas miłościwie
 Jako ona śledziła każdy ruch trwożliwie,
 Czy to serca, czy ciała w pocziwej obawie,
 Czy to nada się Bogu i tej polskiej sprawie?
 Otóż trudno na chłodno dzisiaj mówić o tem —
 Co w ślad owej miłości krwawym zlano potem.
 Lecz o błogosławieństwie matki mówić można
 I co ona mi dała, jak Polka pobożna,
 To ja dziatki tu składam dziś na waszą głowę:
 Sławę ojców i cnotę i tę polską mowę
 I to serce co w Bogu wytrwa i wśród gromu —
 Błogosławieństwo Boże, dla dziatwy i domu.
 Kiedyś może wspomnienie, żem ja z wami bawił
 I to słowo od serca dla domu zostawił;
 Wówczas duszę polećcie moją Panu Bogu,
 Jak ja dziś was polecam, w tym pocziwym progu. —

W Żółkwi dnia 18 lipca 1865 r.

Na cmentarzu krakowskim na pasie 1 (przy głównej ścieżce do kaplicy wiodącej na prawo) znajduje się pomnik Adama Kochanowskiego z następującym napisem

ADAMOWI KOCHANOWSKIEMU.

* Roku 1800

† dnia 19. Maja 1852.

Kamień ten położyły w żalu niepokieszone dzieci.

Po Kochanowskich pamięć świata miła;
Bo mieli wiele miłości pocziwój
I tyś z ich rodu — i miłością żywy
Prosto czyniłeś i świadczyłeś siłą.
Co Kochanowskim, to także i Tobie
Niech Bóg zgotuje i Ojczyzna chowa,
Wielka mi żalność, że na twoim grobie
Mnie jeszcze przyszło położyć te słowa.

Do tego zbioru wierszy doliczyć trzeba te, które w tekście biografii przytoczyłem, jakoto: Urszula, Aniela, Jadzia, Elegia do E., Samobójca. Zatem więcej 35 poezyi nie zamieszczonych w zbiorze 9 tomowym, w którym także jest umieszczony wiersz Emissaryusz mylnie miany za utwór Pola. Pisał go Wł. L. Anczyc.

W zbiorze dzieł Winc. Pola Tom V. str. 360—2, podano jako jego utwór Przypowieści Pana Wełdysza. — Przypowieści te znajduję odmiennie zapisane ręką Adama Jochera widocznie z r. 1831 pochodzące. Mam tenże tekst nieco zmieniony, przepisywany w r. 1848 jako utwór W. Pola. — Czy je Wincenty pisał? czy też przerobił pod firmą Wełdysza, nie umiem osądzić. Mógł je spisać Jocher według rękopisów Wincentego, bo rękopisma jego posiadał, i z Wincentym żył najściślej. — Być też może, iż Wincenty rzecz już gotową i w ustnem obiegu będącą od r. 1831 przerobił na swoje kopyto.

Przysłowia i przypowieści polskie.

1. KOCHA SIĘ.

Jak mazur w ojczyźnie,
 Jak magnat w pańszczyźnie,
 Jak bekas w błocie,
 Jak lichwiarz w złocie,
 Jak świnia w barłogu,
 Jak m..... w batogu.

2. UCIEKA.

Jak panna od komarów,
 Jezuita od czarów,
 Mniszka od mężczyzny,
 Magnat od ojczyzny,
 Chłopiński od sławy,
 Lubecki z Warszawy.

3. ALBO COŚ — ALBO NIC!

Jeśli tańca — to polskiego,
 Jeśli konia — to dzielnego,
 Jeśli zbrojno — to już z szablą,
 Jeśli z miną, to już z djabłą,
 Jeśli spiewać — to wesoło,
 Jeśli rąbnąć — to już w czoło,
 Jeśli jeździć — to już konno,

Jeśli szaleć — to za panną,
 (Jeśli jeździć — to już sanna.*)
 Jeśli kochać — to już stale,
 Gdy się żenić — to już trwale,
 Jeśli strojno — to już w złocie,
 Gdy pracować — to już w pocie.
 Jeśli pić — to pić już czelnie,
 Jeśli bić — to bić już dzielnie,
 Jeśli hulać, to z drugimi,
 Jeśli ginąć — to w swej ziemi.

4. KTO POLSKI NIE ZBAWI.

Kto klejnoty lubi,
 Kto się z rodu chlubi,
 Rękę z lekka ściska,
 Co dzień grywa w wiska,
 Cudzą mowę gada,
 Za modą przepada,
 I kraj cudzy sławi,
 Ten Polski nie zbawi!

5. KTO ZDRAJCA.

Kogo wielkość łechce,
 Kto wrogów bić nie chce,
 Kto nie chce swobody,
 Równości i zgody,
 Kto bez duszy rządzi,
 Szpiegów długo sądzi,
 Niezgodę doradza,
 Ten ojczyznę zdradza.

6. SPISAŁ SIĘ.

Jak Kasiński w sądzie,
 Chłopiński w rządzie,
 Jankowski w napadzie,
 Krukowiecki w radzie,
 Kamiński w bitwie
 A Giełgud na Litwie.

*) Ten wiersz opuszczony, lecz znany.

7. JAKI GDZIE LUD ?

Na górach lud szybki,
 Wesoły i chybki.
 Na Wołyniu hardy,
 Na Podolu twardy,
 W Ukrainie dumny,
 A w Litwie rozumny.
 Na Żmudzi pobożny,
 W Krakowskiem wielmożny,
 Na Mazowszu żywy
 W Poznańskiem poczciwy.

8. CO KTO MA ?

Litwin ryby,
 Litwin grzyby,
 Miodu i zwierzynę,
 I zboża po snopie.
 Rusin konie,
 Rusin błonie,
 Sterty i słoninę
 I bujne konopie.
 A po naszej Polsce całej
 Piaski się rozwiały...
 Lecz nad ryby
 I nad grzyby
 I nad miody
 I nad słody
 I nad bujne li konopie,
 Jakby złoto — polskie chłopie.

9. DWIE ZASADY.

1. Rząd co zasad nie głosi
 Skoro tylko nastanie;
 Sejm co chłopu nie wznosi,
 Wódz nieufny w powstanie,
 Zawsze będzie kiep;
 A więc pal mu w łeb!
2. Zawsze będzie nie do rzeczy
 Póki brak nam czterech rzeczy:

Chłopa wolnego,
Wodza dzielnego,
Sejmu w rządzie,
Ludu w sądzie.

10.

Co chrzczone — to wiara,
Co lube — to para.
Burka — to pokrycie,
Lisy — to podszycie;
Dukat — to mi kwitek
Miód — to mi napitek;
Bigos — to potrawa,
Kulig — to zabawa.
Nad zwyczaje polskie,
Nad żniwa podolskie,
Nad ojczyzny błonia,
Nad własne ustronia,
Nad polski śpiew,
Nad polską krew,
Nie ma nic wyższego!

11.

Orać skibę swoją,
Walczyć ojców zbroją,
Dla ojczyzny złożyć
Ostatnią koszulę,
Bogu się ukorzyć
Gromić cudze króle,
A grozić swojemu:
To mi po dawnemu!
W to Mosanie! w to nam graj!
To nasz polski obyczaj.

Są jeszcze okolicznościowe wiersze późniejszej daty Wincen-
tego Pola w rękę p. Józefa Łepkowskiego, z okazji nocnych ma-
jówek, przygody humorystycznej pp. Łepkowskich i inne także dwie
poezyjki w rękę p. Juliana Kołaczkowskiego we Lwowie.

Napisał Pieśń o grobie naszym, o czém dochowała się jego notatka, Władysław Bełza widział w r. 1869 ułamki tej pieśni u pani Turnowej w Poznańskim. Po jej śmierci rękopis miał dostać się do rąk pani Leonardowej Kwileckiej, czy téż do siostry Turnowej, panny Aldyny.

Początek miał być ten:

Spiewak wita wasze strony,

Niech Bóg będzie pochwalony.

Pan Adolf Malczewski w Poznańskim, ma podobno w albumie nieznane poezye Pola.

SPRÓSTOWANIA.

Str.	23	wiersz	5 z dołu,	zamiast: „miemana“	popraw: „domniemana“.
„	25	„	7 z góry,	„było“, popr.: „był on“.	
„	26	„	10 z dołu,	„Z niemieckich“ popr.: „Z cudzoziemskich“.	
„	27	„	11 „	„do Warszawy“, popr.: „we Lwowie“.	
„	29	„	1 z góry,	do „z pism“, dodać: „do Meisnerów“.	
„	33	„	3 z dołu,	zam.: „czwarte“, popr.: „trzecie“.	
„	36	„	4 z dołu,	zam.: „dwóch“, popr.: „trzech“.	
„	37	„	17 z góry,	„strwonili“, popr.: „utracili“.	
„	37	„	8 z dołu,	„Towarnickim“, popr.: „Tchórznickim“.	
„	46	„	11 z dołu,	„Mikołajowej Szolańskiej“, popr.: „Bernardowej Bogdanowiczowej“.	
„	53	„	3 z góry,	„przyjaciół domu“, popr.: „osiwiałych przyjaciół rodziny“.	
„	57	„	7 z góry,	„murem“, popr.: „wałem“.	
„	62	„	1 z dołu,	„podporucznik“, popr.: „podpółkownik“.	
„	63	„	7 z góry,	„poety“, popr.: „poetę“.	
„	68	„	7 z góry,	„Bluha“, popr.: „Błaha“.	
„	69	„	5 z góry,	„Kraśńskiego“, popr.: „Krasickiego“.	
„	69	„	12 z dołu,	„Skurzyński“ popr.: „Skarzyński“.	
„	70	„	7 z góry,	„Biały kamień“, popr.: „w Białym kamieniu gospodarstwo włościańskie“.	
„	71	„	1 z dołu,	„serbskie“, popr.: „czeskie“.	
„	72	„	13 z góry,	„1809“, popr.: „1829“.	
„	73	„	18 z dołu,	„Leśniewic“, popr.: „Leśniowic“.	
„	74	„	5 z góry,	„Jabłońskiego“, popr.: „Jabłonowskiego“.	
„	79	„	13 z dołu,	„łacińskich“, popr.: „greckich“.	
„	87	„	3 z dołu,	„kaligraficznych“, popr.: „ortograficznych“.	
„	107	„	3 z dołu,	„edukcy“, popr.: „edukacy“.	
„	115	„	9 z dołu,	„łódką“, popr.: „łódkę“.	
„	122	„	12 z góry,	„odtąd“, popr.: „dotąd“.	
„	124	„	12 z dołu,	„Weinera“, popr.: „Wemera“.	
„	124	„	10 z dołu,	„1818“, popr.: „1828“.	
„	127	„	4 z dołu,	do „uczęszczała“, dodać „na wykłady“.	
„	133	„	9 z dołu,	zam.: „z nimi“, popr.: „z nim“.	
„	136	„	6 z dołu,	do „zgłaszali“, dodać „się“.	

Str. 138 wiersz 16 z góry, do „rozjaśniony“, dodać „Jednakże zapewne wdowcem był; bo w akcie jego ślubu z Eleonorą Lonszanówną w Giełczwi dnia 24. Sierpnia 1800 stoi, że ma lat 36, (co nie prawdą było) i że jest doletni, ale wbrew przepisom, stanu jego nie wymieniono, gdy przeciwnie, co do Eleonory zapisano, iż ma lat 23 i jest panną. Wniosek ztąd, że nie był wolnego stanu, lecz wdowcem. Ślub dawał Matias Mielnicki ze Chrzczonowa“.

„ 144 „ 4 z dołu, zam.: „Gacą ludzie“, popr.: „Gacą ludzie“.

„ 146 „ 10 „ „ „Bądzie“, popr.: „Będzie“.

Wydawnictwa księgarni GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA

WE LWOWIE.

Dr. ANTONI J. Opowiadania historyczne, 1 tom	zł. ct. 3 —
1. Pod Półksiężycem. 2. Książę Sarmacyi. 3. Odwiedziny monarsze 4. Na kresach	
5. Dwór Tulczyński. 6. Losy pięknej kobiety. 7. Tynna w końcu XVII wieku.	
— Gawędy z przeszłości, 2 tomy	5 60
BIBLIOTEKA POLSKA: Każdy tomiebroz. 1 zł. 80 ct. w oprawie	2 30
I—II. Krasiński, Z. Pisma. Wydan z przedmową Stanisława hr. Tar-	
nowskiego, 2 tomy. III—VI. Mickiewicz, Adam. Dzieła. Wydanie zu-	
pełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. VII—X. Zaleski, B. Poezye.	
Wydanie przejrzane przez autora. XI. Pamiętniki Paska. Wydanie	
nowe krytyczne, przejrzane przez dr. W. Ciesielskiego. XII. Niemcewicz,	
J. Jan z Tęczyna. Powieść historyczn. XIII—XVI. Słowacki, Juliusz.	
Dzieła. Wyd. przejr. przez prof. dra. A. Małeckiego. XVII—XIX. E. y,	
(Asnyk Adam). Poezye, 3 tomy. XX—XXII. Małecki A. Życie	
i pisma Juliusza Słowackiego, wydanie drugie znacznie pomnożone	
3 tomy. XXIII. J. Wybiicki, Pamiętniki. XXIV XXV. Mickiewicz,	
Dzieła. Tom V. VI.	
BOLESŁAWITA, B. Hybrydy. — Król i Bondaryw a. Pamiętnik pani-	
cza — Dziennik Serafiny. — Nad modrym i unajem. Każdy tom	2 40
CHŁEDOWSKI, K. Sylwetki społeczne	2 40
JEŻ. J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnej	2 40
KACZKOWSKI KAROL. Wspomnienia 1808—1831 z papierów pozosta-	2 40
łych po ś. p. K. K. generał-stab-lekarzu wojsk polskich, ułożył	
T. O. Orzechowski, 2 tomy	4 20
KANTECKI, K. Elżbieta trzecia żona Jagiełły	1 20
— Z podróży Oświęcima	1 80
— Dwaj Krzemieńczanie Wizerunki liter., 2 t.	3 60
KRASZEWSKI, J. S. Pan z Panów. Powieść	2 40
Na cmentarzu na wulkanie Powieść	1 80
KUBALA, L. Dr. Szkice historyczne. Dwie serye, każda	3 40
LEMCKE, K. Estetyka, 2 tomy	6 —
LISKE, X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamięć.	4 20
LISTY Tadeusza Kościuszki zebrane i wstępem objaśnione przez L.	
Siemienińskiego	2 80
LISTY Juliusza Słowackiego 1830—1848, 2 tomy	5 —
MONUMENTA POLONIAE HISTORICA. Pomniki dziejowe Polski;	
tom III. Wydanie nakładem Akad. Umiejęt., opracowane przez	
lwow. grono czł. komisji histor. tejże Akademii	12 —
NIEWIAROWICZ, A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu	2 20
PAMIĘTNIK damy polskiej z XVIII wieku	1 80
SAS BERLICH MOZAICA. Gawędy szlacheckie dat ubiegłych 2 t.	3 80
SEWER, Bratnie dusze. Powieść	2 60
STADNICKI, K. Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina, W. ks. Litwy	2 40
Wilkońska. Na Teraz, Powieść	2 40
WIŚNIEWSKI. Sygurd. Powieści. Hidalgo. Odetta	2 60
WSPOMNIENIA Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w ocytadeli	
warszawskiej i na Syberyi	2 80
ZACHARJASIEWICZ JAN, Teorya Pana Filipa. Obrazek	2 40
ZAKRZEWSKI, W. Powstanie i wzrost ref. w Polsce	2 40
ZWIERCIADŁO GŁUPSTWA. Powieść, nap. Ignatus	3 20